

BIULETYN IPN

nr 3 (12)/2013

pamięć pol

Major „Bruzda” – Żołnierz Wyklęty

Reglamentowana codzienność

Bogdan Rymanowski o „Ubeku”

Jak Katowice stały się Stalinogrodem

Cena 6 zł (5% VAT)

ISSN 2084-7319



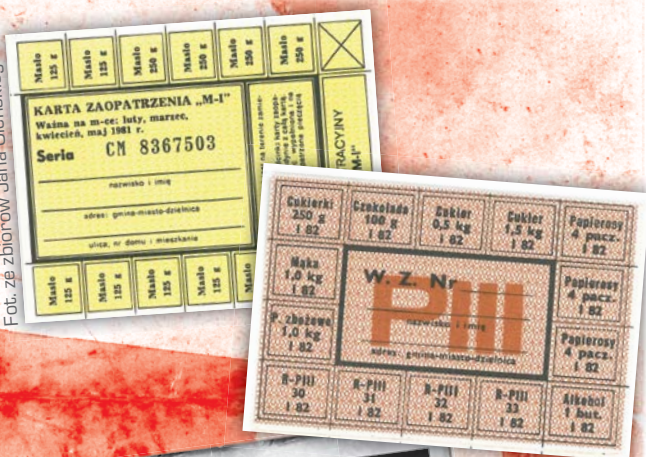
numer indeksu 284521
nakład 9500 egz.

Dodatek specjalny:
plakat z „Inką”



**3 AKTUALNOŚCI IPN****4 KALENDARIUM****6 Z PIERWSZEJ STRONY****FELIETON****8** Maciej Rosalak, **Marzec w samo południe****10** Krzysztof Gottesman, **Kur wie lepiej, wersja 2.0****Z ARCHIWUM IPN****12** Grzegorz Wolk,
Perlustracja korespondencji**STOPKLATKA****14** Jacek Zygmunt Sawicki,
Marzec '68 na esbeckich taśmach**WYWIAD****17** Podwójne życie Janusza Molki, rozmowa
z Bogdanem Rymanowskim, autorem książki *Ubek***WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU****22** Emilia Świętochowska,
„... ból nasz wielki po wielkim Stalinie”**25** Grzegorz Bębik, **Od Katowic do Stalinogrodu,
czyli zmiana na telefon****28** Łucja Marek, **Rodzina milicyjna
– wzorem rodziny socjalistycznej****32** Andrzej Zawistowski, **Uroki reglamentacji****37** Marcin Markiewicz, **Moja żona jest piłą drewnianą,
czyli „słaba pleć” przeciwko kolchozom****40** Joanna Hytrek-Hryciuk, **Wysoki Sejmie! Cui bono?
Milena Rudnyćka (1892–1976)**

Fot. AIPN

Fot. Kazimierz Seko/zbiory
Ośrodku KARTA**HEJ, KTO POLAK...****43** Sławomir Poleszak, **Major „Bruzda”
– symbol białostockiej konspiracji****PAMIĘTAM JAK DZIŚ****48** „... ja to wszystko przetrzymałem”
– relacja Stanisława Bogdanowicza**HISTORIA JEDNEGO ZDJĘCIA****51** Paweł Sasanka,
Demokracja upadająca wśród oklasków**PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKRANU****53** Jerzy Eisler, **Akcja pod Arsenalem****PRZEMINĘŁO Z PEERELEM****56** Jerzy Kochanowski, **Chłoporobotnik****Z BRONIĄ W RĘKĘ****58** Michał Mackiewicz, **Arsenal Wyklętych****ORZEŁ BIAŁY****60** Tomasz Zawistowski,
Polskie oznaki w Legionie Puławskim**EDUKACJA HISTORYCZNA****64** Łukasz Michalski,
Żołnierze Wyklęci – po co o nich uczyć**STRAŻNICY NARODOWEJ PAMIĘCI****67** Jerzy Morawski, **Dom Terroru****70 RECENZJE****73 BIBLIOTEKA IPN**

Fot. AIPN

Szanowni Czytelnicy!

Od dwóch lat 1 marca w Polsce to Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych – członków podziemia antykomunistycznego, którzy często wbrew rozkazom o rozwiązaniu oddziału, wbrew jakimkolwiek kalkulacjom, a nawet wbrew rozsądkowi nie złożyli broni, lecz stawili czoła nowemu okupantowi, nie dając się zwieść pozorom wyzwolenia. Bez nadziei na zwycięstwo, trwali i ginęli w przekonaniu o słuszności sprawy. „Bezwzględnie konieczne jest przybliżenie młodzieży doświadczenia i tradycji Żołnierzy Wyklętych. Bez tego nie może być bowiem mowy o zrozumieniu istoty komunizmu w Polsce po II wojnie światowej” – pisze w tym numerze w dziale Edukacji Historycznej dr Łukasz Michalski. Z Wyklętych została już zdjęta kłątwa – można (i trzeba!)

o nich uczyć, a także oczyszczać tę wiedzę z pozostałości komunistycznej propagandy. Nie tylko dlatego, że mogą stanowić wzorce osobowościowe dla następnych pokoleń, lecz także po to, by nie było wątpliwości, kto zasłużył na miano żołnierza drugiej konspiracji. Aby nikt nie mógł odmawiać im miejsca w panteonie bohaterów narodowych, przytaczając argumenty o przestępstwach dokonanych przez „leśnych” (przecież nie każdy „człowiek z lasu” z pepeszą w ręku był żołnierzem antykomunistycznego podziemia!). Wreszcie – aby nigdy już nie powtórzyła się niedawna haniebna dewastacja krakowskiego pomnika Danu-

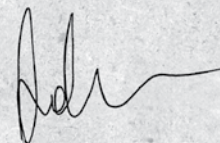
ty Siedzikówny „Inki”, sanitariuszki 5. Wileńskiej Brygady AK, zamordowanej przez UB, gdy miała niespełna 18 lat. Plakat z jej zdjęciem dołączamy do „Pamięci.pl”.

W numerze przypominamy także losy dwóch innych Żołnierzy Wyklętych: w artykule dr. Sławomira Poleszaka, który pisze o dokonaniach majora Jana Tabortowskiego „Bruzdy”, i w relacji Stanisława Bogdanowicza. Ten drugi tekst to fragmenty notacji – zapisu opowieści świadka historii – przygotowanej przez pracowników Sekcji Notacji i Opracowań Multimedialnych Biura Edukacji Publicznej IPN. W rubryce „Pamiętam jak dziś...” będziemy cyklicznie publikować fragmenty nagranych opowieści ludzi, wokół których rozgrywała się historia.

W marcu 1953 roku zmarł jeden z największych zbrodniarzy w dziejach, przywódca ZSRR Józef Stalin. Kult, jakim za życia otaczały go oglupione przez propagandę masy, w okresie żałoby przybierał kształty wręcz groteskowe. Jednym z przejawów nadgorliwych komunistycznych decydentów w Polsce była zmiana nazwy Katowic na Stalinogród. O kulisach tej decyzji i o reakcjach mieszkańców miasta pisze dr Grzegorz Bębniak. Pompowana przez komunistów histeria po śmierci generalissima ogarnęła cały kraj. Emilia Świętochowska przypomina, jak lokalne władze, gazety i instytucje prześcigały się w demonstrowaniu żałoby – i jak im się to często nie udawało.

W wywiadzie z Bogdanem Rymanowskim, autorem książki *Ubek*, będącej zapisem rozmowy z byłym tajnym współpracownikiem, a potem funkcjonariuszem SB, pytamy m.in. o to, jak rozmawiać z tak specyficznymi świadkami historii i czy ich świadectwo można uznać za wiarygodne. Zapraszam do lektury.

Redaktor naczelny
Andrzej Brzozowski



pamięć.pl

Wydawca:
Instytut Pamięci Narodowej
– Komisja Ścigania Zbrodni
przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Programowa:
dr hab. Grzegorz Berendt,
dr hab. Robert Klementowski,
dr Adam Dziurok, dr Krzysztof Kaczmarek,
dr Maciej Korcuć, dr Tomasz Łabuszewski,
dr Agnieszka Łuczak, dr Sławomir Poleszak,
dr Paweł Skubisz, dr Waldemar Wilczewski,
dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący),
dr Joanna Zelazko

Rada Redakcyjna:
Dawid Golik, Agnieszka Jaczyńska,
dr Andrzej Krajewski, Jan Olaszek,
Kamila Sachnowska, dr Paweł Sasanka,
Magdalena Semczyszyn,
Emilia Świętochowska, dr Daniel Wicenty

Redakcja:
Andrzej Brzozowski
(redaktor naczelny, tel. 22 431 83 56;
e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)
Maciej Foks, Filip Gańczak, Andrzej Sujka,
Karolina Wichowska

Sekretariat:
Maria Wiśniewska
tel. 22 431-83-47, faks 22 431 83 11

Korekta:
Magdalena Baj

Projekt graficzny:
Krzysztof Findziński, Marcin Koc,
Sylwia Szafrąńska

Redakcja techniczna:
Andrzej Broniak

Skład i łamanie:
Anna Zakrzewska

Siedziba redakcji: ul. Hrubieszowska 6a,
Warszawa

Adres do korespondencji:
ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa
www.ipn.gov.pl

Druk: Centrum Usług Wspólnych
ul. Powsińska 69/71, 02-903 Warszawa

Redakcja nie zwraca materiałów
niezamówionych i zastrzega sobie prawo
dokonywania zmian w nadesłanych tekstach.

W NASTĘPNYM NUMERZE MIĘDZY INNYMI:

DZIEDZICTWO NIEPODLEGŁOŚCI

Jan Benedykt Różycki (1901–1991) to piękny przykład patrioty: powstaniec śląski, uczestnik wojny z bolszewikami, żołnierz Września 1939 i Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, cichociemny, akowiec. W „ludowej” Polsce zrezygnował z konspiracji. Nie uchroniło go to przed komunistycznym więzieniem. Na mocy amnestii wyszedł jednak na wolność. Był potem wybitnym uczyńnym, profesorem Politechniki Wrocławskiej. Jego syn Bohdan (1931–1950), harcerz Szarych Szeregów i łącznik podczas Powstania Warszawskiego, wybrał czynny opór przeciwko komunizmowi. Zapłacił za to najwyższą cenę – zginął w strzelaninie z funkcjonariuszami MO i UB. Dramatyczne losy Różyckich przypomina dr hab. Filip Musiał.



Fot. AIPN

PODZIĘKOWANIE

Do poprzedniego numeru dołączyliśmy broszurę z biografią generała Augusta Emila Fieldorfa „Nila”. Zabrakło w niej informacji, że zamieszczone tam zdjęcia pochodzą ze zbiorów **Marii Fieldorf i Leszka Zachuty** z Krakowa, **Marka Ney-Krwawicza i Zofii Zarkadas**. Za brak tej adnotacji gorąco przepraszamy i dziękujemy za umożliwienie skorzystania z kolekcji.

Redakcja

■ 14 lutego, w 71. rocznicę utworzenia Armii Krajowej, prezes IPN dr Łukasz Kamiński ogłosił **konkurs na** dziennik, pamiętnik lub **wspomnienia dotyczące lat II wojny światowej** (1939–1945). Celem konkursu jest utrwalenie pamięci o losach Polscy i Polaków w okresie wojny i okupacji. Zgłaszane prace mogą mieć formę rękopisu lub maszynopisu (tradycyjnego bądź komputerowego). Muszą być dziełami indywidualnymi, nigdy niepublikowanymi w całości. Można również nadsyłać – znajdujące się w zbiorach prywatnych i rodzinnych – prace, których autorzy nie mieli szansy opublikować za życia. Zgłoszenia należy kierować do 14 lutego 2014 roku na adres: Biuro Edukacji Publicznej IPN, ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa z dopiskiem „Konkurs na wspomnienia drugowojenne”. Rozstrzygnięcie nastąpi w kwietniu przyszłego roku. Nagrodzone prace zostaną opublikowane przez IPN. Szczegółowy regulamin konkursu znajduje się na stronie internetowej <http://ipn.gov.pl/konkursy-i-nagrody/konk>. Dodatkowych informacji udziela Tomasz Sudoł: tomasz.sudol@ipn.gov.pl, tel. (22) 431-83-03.



■ Centrum Edukacyjne IPN im. Janusza Kurtyki „Przystanek Historia” zaprasza 9 kwietnia o godz. 17:30 na projekcję filmu *Niepodległy* w reżyserii Arkadiusza Gołębińskiego. Film poświęcony jest postaci Janusza Krupskiego – działacza opozycji demokratycznej w PRL, zastępcy Prezesa IPN (2000–2006) i kierownika Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych (2006–2010), tragicznie zmarłego w katastrofie smoleńskiej. W spotkaniu udział weźmie prezes IPN dr Łukasz Kamiński.

PRZYSTANEK HISTORIA

■ 20 lutego poznaliśmy nazwiska czterech kolejnych **ofiar komunistycznego terrorku**, których szczątki udało się odnaleźć w wyniku prac ekshumacyjnych, prowadzonych od lata ubiegłego roku w kwaterze „Ł” Cmentarza Wojskowego na Powązkach w Warszawie. **Stanisław Abramowski** (1922–1948) był żołnierzem Armii Krajowej, Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” oraz Narodowych Sił Zbrojnych. **Bolesław Budelewski** (1910–1948) służył w Armii Krajowej i Narodowym Zjednoczeniu Wojskowym. **Stanisław Kasznica** (1908–1948) to ostatni komendant NSZ, uczestnik Powstania Warszawskiego, kawaler orderu Virtuti Militari V klasy i dwukrotnie Krzyża Walecznych. **Tadeusz Pelak** (1922–1949) był porucznikiem Armii Krajowej oraz Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”. Wszyscy czterej zostali straceni w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie i pochowani w bezimiennych mogiłach.

– Ci ludzie zostali skazani nie tylko na śmierć, ale też na zapomnienie. Dzisiaj przełamujemy ten wyrok niepamięci – powiedział dr Łukasz Kamiński, prezes Instytutu Pamięci Narodowej.

Jednoznaczna identyfikacja odnajdywanych szczątków ofiar jest możliwa dzięki badaniom DNA. Te zaś są prowadzone w ramach Polskiej Bazy Genetycznej Ofiar Totalitaryzmów, powstałej na podstawie umowy między Instytutem Pamięci Narodowej a Pomorskim Uniwersytetem Medycznym. Pierwsze nazwiska ofiar, którym udało się w ten sposób przywrócić tożsamość, poznaliśmy w grudniu ubiegłego roku. Byli to: por. Edmund Bukowski, kpt. Stanisław Łukasik i inż. Eugeniusz Smoliński.

W okresie stalinowskim na terenie kwatery „Ł” pochowano kilkaset osób straconych na Mokotowie lub zakatowanych przez UB: żołnierzy powojennego podziemia niepodległościowego, a często również bohaterów walki o wolność z czasów II wojny światowej. W ubiegłym roku udało się wydobyć spod ziemi szczątki 117 osób. Kolejny etap ekshumacji na Powązkach rozpocznie się w kwietniu tego roku.

Na wrzesień są planowane prace ekshumacyjne na warszawskim Służewie. Projekt naukowo-badawczy „Poszukiwania nieznanych miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego z lat 1944–1956” jest realizowany przez Instytut Pamięci Narodowej, Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa oraz Ministerstwo Sprawiedliwości przy współpracy z Miastem Stołecznym Warszawa.



■ Na Rynku Kościuszki w Białymstoku do 21 marca można oglądać **wystawę „Żołnierze Wyklęci. Pamiętamy. Polskie podziemie niepodległościowe na Białostocczyźnie 1944–1957”**, przygotowaną przez tamtejsze Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej IPN.

Ekspozycja ukazuje sylwetki wybranych żołnierzy podziemia, którzy – nie godząc się z utratą przez Polskę niepodległości – trwali w walce o pełną suwerenność naszego kraju. Za niezłomną postawę płacili życiem lub długoletnim więzieniem. Wystawa prezentuje m.in. losy mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszk” czy kpt. Kazimierza Kamieńskiego „Huzara” – ale też szeregowych Wyklętych. Nie zabrakło sanitariuszki Danuty Siedzikówny „Inki”, która bardziej niż życie ceniła wierność swoim przekonaniom.

Symboliczną datę zakończenia działalności zbrojnego podziemia niepodległościowego w północno-wschodniej Polsce wyznacza śmierć ppor. Stanisława Marchewki „Ryby”, zabitego z rąk funkcjonariuszy komunistycznego aparatu bezpieczeństwa w marcu 1957 roku.



POSTAĆ MIESIACA



Fot. AIPN

▶ Anna Walentynowicz podczas strajku sierpniowego w Stoczni Gdańskiej

9 marca 1983: Przed Sądem Rejonowym w Grudziądzu rozpoczął się proces Anny Walentynowicz, legendarnej działaczki Wolnych Związków Zawodowych i Solidarności. Od 1950 roku Walentynowicz pracowała w Stoczni Gdańskiej: najpierw jako spawaczka, a później suwnicowa. W sierpniu 1980 roku za aktywność opozycyjną została zwolniona z pracy. Wydarzenie to zainicjowało falę strajków, które doprowadziły do powstania NSZZ „Solidarność”. Gdy w grudniu 1981 roku ekipa gen. Wojciecha Jaruzelskiego wprowadziła w PRL stan wojenny, Walentynowicz współorganizowała strajk w stoczni. Po jego pacyfikacji została internowana. W lipcu 1982 roku wyszła na wolność, ale już w sierpniu ponownie ją zatrzymano. Trafiła do aresztu śledczego w Gdańsku, a następnie w Warszawie Mokotowie i Grudziądzu. Prokuratura zarzuciła jej, że po 13 grudnia 1981 roku „kontynuowała działalność związkową oraz organizowała akcję protestacyjną skierowaną przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego i działaniom sił porządkowych”. 30 marca 1983 roku Walentynowicz została skazana na 15 miesięcy więzienia w zawieszeniu oraz karę grzywny. Wyrokiem z września tego samego roku postępowanie umorzono na mocy ustawy o amnestii. W 2003 roku Izba Wojskowa Sądu Najwyższego uchyliła oba wyroki, uniewinniając Walentynowicz. Dwa lata później Sąd Okręgowy w Toruniu przyznał byłej opozycjonistce odszkodowanie. Grudziądzki wyrok nie przestraszył Anny Walentynowicz. W grudniu 1983 roku znów została aresztowana – tym razem za próbę wmurowania tablicy ku czci poległych górników z kopalni „Wujek”. Areszt opuściła w kwietniu 1984 roku, nie zaprzestała jednak działalności opozycyjnej. W 2006 roku została odznaczona przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Orderem Orła Białego. Zginęła w katastrofie smoleńskiej w kwietniu 2010 roku. ■

2 marca 1948: Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie ogłosił wyroki w procesie kierownictwa Narodowych Sił Zbrojnych.

Rozprawa toczyła się od 11 lutego i miała charakter pokazowy. Na ławie oskarżonych zasiadli żołnierze, którzy po II wojnie światowej nie złożyli broni i walczyli przeciwko sowietyzacji Polski. W sześciuosobowej grupie byli m.in. pplk NSZ Stanisław Kasznica, ostatni komendant Narodowych Sił Zbrojnych, oraz jego bliski współpracownik, kpt. NSZ Lech Neyman. Komunistyczna propaganda kłamliwie zarzucała im, że „w czasie okupacji współpracowali z gestapo, zaś po wyzwoleniu kierowali akcją terrorystyczną i pozostawali na usługach obcego wywiadu”. Sąd pod przewodnictwem pplk. Alfreda Janowskiego skazał Kasznicę i Neymana na śmierć. Pozostali oskarżeni otrzymali wyroki od 7 do 15 lat więzienia. Prezydent Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski. 12 maja tego samego roku Kasznica i Neyman zostali straceni w więzieniu mokotowskim w Warszawie. Ich rodzin nie poinformowano, gdzie pochowano zwłoki. Sądy III RP unieważniły wyroki z 1948 roku. Cztery lata temu Kasznica i Neyman zostali pośmiertnie odznaczeni przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski. Szczątki pplk. Kasznicy udało się odnaleźć i zidentyfikować w wyniku prowadzonych od ubiegłego roku prac ekshumacyjnych na terenie kwatery „Ł” Cmentarza Wojskowego na warszawskich Powązkach (więcej na ten temat w rubryce „Aktualności IPN”). ■

1 marca 1943: W Moskwie powstał Komitet Organizacyjny Związku Patriotów Polskich (ZPP).

Na czele związku stanęła Wanda Wasilewska, działaczka polityczna, która już przed wojną sympatyzowała z komunizmem, a w 1939 roku gorąco poparła włączenie do ZSRR zajętych przez Armię Czerwoną wschodnich ziem II RP. W kierownictwie ZPP znaleźli się też m.in. płk Zygmunt Berling (dezerterski z armii gen. Władysława Andersa) i Andrzej Witos, zwolniony z łagru młodszy brat Wincentego Witosy, przywódcy polskiego ruchu ludowego. Związek Patriotów Polskich był *de facto* narzędziem sowieckiego dyktatora Józefa Stalina – miał przygotować grunt do przejęcia przez komunistów władzy w powojennej Polsce. Organizacja opowiadała się za sojuszem z ZSRR i przesunięciem granic Polski na zachód. Doraźnie zajęła się m.in. opieką nad ludnością polską w Związku Radzieckim i tworzeniem polskich jednostek wojskowych, niezależnych od emigracyjnego rządu RP w Londynie, które miały walczyć u boku Armii Czerwonej. W maju 1943 roku w Sielcach nad Oką rozpoczęło się formowanie pod dowództwem Berlinga 1. Polskiej Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, rozbudowanej z czasem do korpusu, a potem 1. Armii Wojska Polskiego.

Rola ZPP wyraźnie zmalała w roku 1944, gdy pod kontrolą polskich komunistów powstały kolejne ciała polityczne – Krajowa Rada Narodowa, a później Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego. Głównym zadaniem Związku Patriotów Polskich stało się nadzorowanie przesiedleń Polaków z terenów, które po II wojnie światowej miały przypaść ZSRR. Latem 1946 roku organizacja zaprzestała działalności. ■



Fot. NAC

▶ Przewodnicząca ZPP Wanda Wasilewska przemawia w Sielcach do żołnierzy 1. Polskiej Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, 1943 rok



Fot. AIPN

▶ Stanisław Kasznica (1908–1948), zdjęcie więzienne

17 marca 1938: Polska ogłosiła ultimatum wobec sąsiedniej Litwy.

W okresie międzywojennym te dwa państwa dzielił głęboki spór terytorialny. W 1920 roku polskie oddziały gen. Lucjana Żeligowskiego zajęły Wileńszczyznę, zamieszkaną w większości przez Polaków. Władze litewskie nadal jednak uważały Wilno za swoją stolicę i nie utrzymywały z Polską żadnych kontaktów oficjalnych.

11 marca 1938 roku z rąk litewskiego pogranicznika zginął żołnierz polskiego Korpusu Ochrony Pogranicza, Stanisław Serafin. Incydent ten stał się dla władz w Warszawie pretekstem, by zażądać od Litwy nawiązania normalnych stosunków dyplomatycznych, czyli pośrednio uznania przez rząd w Kownie aktualnych granic – z Wileńszczyzną po stronie polskiej. W kilku dużych miastach II RP odbyły się demonstracje poparcia dla twardego kursu rodzimych władz. „Wodzu, prowadź nas na Kowno!” – krzyżano pod oknem marsz. Edwarda Śmigłego-Rydza w Warszawie. Na Rynku Głównym w Krakowie pojawił się transparent: „Włączyc Litwę do Polski”.

Rząd w Kownie przyjął polskie ultimatum. Zwaśnione państwa „wymieniły poselstwa, przywróciły komunikację drogową i kolejową, nawiązały łączność pocztową i telefoniczną, a następnie relacje handlowe i kulturalne” – wylicza w książce *Od niepodległości do niepodległości* dr Marek Gałęzowski. W 1939 roku Wileńszczyzna została zajęta przez Armię Czerwoną i w październiku przekazana Litwie. Niespełna rok później Litwa została wchłonięta przez ZSRR. ■



Fot. NAC

► Cokół pomnika Adama Mickiewicza w Krakowie z zatkniętym transparentem „Włączyc Litwę do Polski”, marzec 1938 roku

18 marca 1943: Kierownictwo Walki Cywilnej ogłosiło, że szmalcownictwo będzie karane „z całą surowością prawa”.

„Społeczeństwo polskie, mimo iż samo jest ofiarą okropnego terroru, ze zgrozą i głębokim współczuciem patrzy na mordowanie przez Niemców resztek ludności żydowskiej w Polsce. [...] Niemniej znalazły się jednostki, wyzute ze czci i sumienia, rekrutujące się ze świata przestępczego, które stworzyły sobie nowe źródło występnego dochodu przez szantażowanie Polaków ukrywających Żydów i Żydów samych” – głosił komunikat opublikowany w konspiracyjnym „Biuletynie Informacyjnym”. Kierownictwo Walki Cywilnej, będące instytucją Polskiego Państwa Podziemnego, ostrzegało, że takie przypadki będą rejestrowane. W praktyce okazało się to bardzo trudne – i nie mogło odstraszyc szantażystów.

Kanadyjski historyk dr Gunnar S. Paulsson szacuje, że tylko w Warszawie gangi szmalcowników liczyły 3–4 tys. osób. Jednocześnie podaje, że w mieście było 70–90 tys. Polaków pomagających Żydom. Jesienią 1943 roku polskie podziemie zaczęło wykonywać na szmalcownikach wyroki śmierci. Dziś pojawiają się jednak opinie, że walka z takimi szantażystami nie była dla Polskiego Państwa Podziemnego priorytetem i została ogłoszona zbyt późno – gdy dziesiątki tysięcy Żydów zginęły już w obozach zagłady. W 1956 roku tych szmalcowników, którzy nie mieli na sumieniu udziału w zabójstwie, objęła w PRL amnestia. ■

Marzec 1983: Z Wisły wyłowiono zwłoki czterdziestoczteroletniego Ryszarda Kowalskiego, jednego z liderów Solidarności w Hucie Katowice. Kowalski był wcześniej nauczycielem historii w małopolskim Wygielzowie. W poszukiwaniu pracy i mieszkania zawędrował do Zagłębia Dąbrowskiego. W 1977 roku zatrudnił się w Hucie Katowice – w Hutniczym Przedsiębiorstwie Remontowym nr 4. Załoga wybrała go na przewodniczącego tamtejszej Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność”. Po wprowadzeniu



Fot. AIPN

► Ryszard Kowalski w PRL w grudniu 1981 roku stanu wojennego Kowalski był jednym z przywódców strajku w Hucie Katowice. Wkrótce został zatrzymany i trafił do aresztu w Sosnowcu, gdzie z czasem podjął głodówkę. „Siniaki na twarzy wskazywały, że znęcali się nad nim” – wspominał potem jego syn Tadeusz. Proces zakończył się kompromitacją prokuratury. W styczniu 1983 roku Ryszard Kowalski wyszedł na wolność. Nie mógł jednak znaleźć pracy. Koledze spotkanemu w autobusie poskarżył się, że jest śledzony przez Służbę Bezpieczeństwa. 7 lutego zaginął. Specjaliści Zakładu Medycyny Sądowej w Krakowie orzekli potem śmierć przez utopienie. Śledztwo ograniczyło się do przesłuchania dwóch świadków, oględzin i sekcji zwłok. ■

19 marca 1901 roku

Na łamach wieczornego wydania krakowskiego „Czasu” 19 marca 1901 roku ukazała się pierwsza część niezwykle entuzjastycznej recenzji prapremiery *Wesela* Stanisława Wyspiańskiego. Czekali na nią wszyscy, którym niedane było obejrzeć spektaklu wystawionego trzy dni wcześniej na deskach Teatru Miejskiego. Autorem recenzji był Rudolf Starzewski – krakowski dziennikarz i publicysta oraz jeden z gości wesela poety Lucjana Rydla i chłopki Jadwigi Mikołajczykówny, które stało się podstawą do napisania bodaj najważniejszego polskiego dramatu XX wieku. Znaczną część tekstu Starzewski poświęcił utworowi Wyspiańskiego, nazywając go „wędrówką duszy polskiej z wyciśniętym na niej wizerunkiem kosyniera”. Do samego spektaklu odniósł się dopiero w ostatniej, piątej części recenzji, która ukazała się na łamach dziennika 26 marca. Pisał: „Cały poziom przedstawienia, jak niemniej szybkie wystawienie oryginalnego dzieła poety, świadczą, że obecna dyrekcja ma świadomość literackich, artystycznych zadań teatru krakowskiego, że dobrą tradycję utrzymuje i w dalszym postępie rozwija”. Recenzja odbiła się szerokim i niezwykle pozytywnym echem wśród czytelników oraz w środowisku krytyków literackich. Adam Grzymała-Siedlecki nazwał ją nawet „datą w historii krytyki polskiej”. Nic więc dziwnego, że niedługo po opublikowaniu ostatniej części wydawcy „Czasu” wypuścili cały tekst Starzewskiego w postaci specjalnej nadbitki dziennika.

11 marca 1915 roku

„Od chwili, gdy okręty francuskie i angielskie rozpoczęły systematyczne ostrzeliwanie cieśniny dardaneelskiej, powstało ogromne poruszenie wśród państw dotąd neutralnych przytykających do Morza Śródziemnego” – pisano na łamach „Gazety Gdańskiej” z 11 marca 1915 roku. Zmianowany atak największych potęg morskich świata na cieśninę, pozostającą pod kontrolą Turcji, odbił się szerokim echem w ówczesnej prasie. Największe i najpoczytniejsze tytuły codziennie donosiły o sytuacji na dalekim froncie. Naprzeciw oczekiwaniom czytelników wyszła także „Gazeta Gdańska”, która w artykule *Atak na Dardanale* nie tylko informowała o ciężkich bojach na morzu i lądzie, ale także o znaczeniu cieśniny dla międzynarodowego handlu oraz o ewentualnym przełamaniu tureckiej blokady. „Gdyby to nastąpiło, natenczas wypłynęłyby nowe kwestie i zawiąłyby się ogromne interesy”. Sądził o zaniepokojeniu w państwach zainteresowanych, jak Włochy, Rumunia i Grecja, zaniepokojeniu, które wymagać będzie czynów, gdy dzieło będzie dokonane, gdy cieśnina będzie wzięta. Na razie toczy się o nią zacięta walka i Turcy wszelkich dokładają starań, by do zajęcia jej nie dopuścić, wiedzą bowiem dobrze, że walka ta zdecydowanie o losie Carogrodu i o dalszym niepodległym bycie Turcji” – donosił dziennik. Gdańszczanie z zainteresowaniem wertowali karty kolejnych numerów dziennika, szukając doniesień z walk, które zakończyły się zwycięstwem Turcji niemal rok później.

21 marca 1927 roku

Uwagę czytelników „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” z 21 marca 1927 roku przykuły dwie fotografie, zamieszczone na pierwszej stronie dziennika. Przedstawiały one obchody imienin Józefa Piłsudskiego w królewskim Krakowie i w stołecznej Warszawie. Popularny „ikac” czy – jak kto woli – „czerwonak”, poświęcił tego dnia znaczną część łamów na szczegółowe omówienie uroczystości organizowanych w całym kraju dla uczczenia imienin pierwszego marszałka Polski. Dziennik informował o nabożeństwach odprawianych w intencji solenizanta, pochodach oraz akademiach. Jedną z nich odbyła się w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie: „Wystarczyło popatrzeć na salę w chwili, gdy z przybranej zielenią sceny, na której wartę honorową trzymali Strzelcy, spojrzeli z wielkimi portretami głębokie, przenikłe oczy Solenizanta – aby się przekonać, że akademii imieninowa to nie czczy formalny obchód oficjalny, ale uroczystość, w której biorą udział nie tylko osoby uczestników, ale i ich serca. Nastroj ten pełen serdecznego uczucia dla Marszałka ujął we właściwych słowach w swym przemówieniu inauguracyjnym prezydent Rolle. [...] Następnie wygłosił głęboko przemysłane przemówienie marszałek powiatu p. Skrzyński, podnosząc to znaczenie, jakie Marsz. Piłsudski ma dla polskiej pracy państwowotwórczej. Poseł Emil Bobrowski dał wyraz tej ufności, jaką lud pracujący pokłada w Józefie Piłsudskim”. W podobnym tonie wypowiadała się niemal cała ówczesna prasa prorządowa. Dzienniki i gazety skrupulatnie relacjonowały przebieg uroczystości, a także zwracały uwagę na znaczący i bezsporny wkład Piłsudskiego w odzyskanie przez Polaków upragnionej państwowości.



21 marca 1943 roku

O sytuacji polskich bibliotek oraz instytucjach naukowych na ziemiach przyłączonych do III Rzeszy informowały wydawane w Londynie „Wiadomości Polskie, Polityczne i Literackie” z 21 marca 1943 roku. Opublikowany na pierwszej stronie tygodnika artykuł poetki Marii Danilewiczowej jest o tyle interesujący, że został napisany przez osobę, która całe swoje życie poświęciła księżnicom. W artykule zatytułowanym *Biblioteki polskie pod okupacją niemiecką* Danilewiczowa opisuje m.in. wojenne losy dyrektorów największych polskich składnic książek, a także w przejmujący sposób ukazuje dzieje zbiorów bibliotecznych i archiwalnych, które bądź to zostały zniszczone podczas wojny obronnej Polski we wrześniu 1939 roku, bądź wywiezione w głąb Rzeszy. „Z murów, które dotąd służyły nauce i oświacie, wyszły już w pierwszych tygodniach okupacji haniebne rozporządzenia, zamykające polskie instytucje naukowe i zabraniające wstępu do nich dawnemu personelowi. [...] Etap wojennych rekwizycji budynków nie zamyka jednak bynajmniej długiej i urozmaiconej litanii szkód. W ślad za armią okupacyjną i gestapo zjawily się w polskich instytucjach naukowych ekipy uczonych-szakali, przystępujących na zimno do aktów samowoli i grabieży, sprzecznych z postanowieniami konwencji haskiej. Niemiecka komisja specjalna rozwinęła bez straty czasu ożywioną działalność, polegającą na wycofywaniu z bibliotek polskich obiektów o walorach artystycznych, jak np. iluminowane rękopisy średniowieczne, ryciny, rysunki itp.” – pisała Danilewiczowa. Zamieszczony w tygodniku tekst stanowił fragment broszury zatytułowanej *Losy bibliotek polskich*, wydanej w Londynie w tym samym roku. ■



11 marca 1968 roku

„Trybuna Ludu” opublikowała 11 marca 1968 roku artykuł zatytułowany *Wokół zająć na Uniwersytecie Warszawskim*. Tym samym centralny organ KC PZPR dał początek zmasowanej, prasowej kampanii propagandowej, której ostrze wymierzono w studentów, młodych intelektualistów i osoby pochodzenia żydowskiego, protestujących przeciw prowadzonej przez ekipę Władysława Gomułki polityce społecznej i kulturalnej. W kolejnych numerach dziennika ukazywały się informacje na temat „szerokiego poparcia”, jakiego partii i jej kierownictwu udzielano podczas organizowanych w całym kraju licznych wieców i masówek. Za „towarzyszem Wiesławem” – jak nazywano Gomułkę – stanęły murem załogi przeróżnych fabryk i przedsiębiorstw, inteligencja – oczywiście – pracująca, nauczyciele i wychowawcy młodzieży, kombatanci. Dziennik potępiał przy tym „inspiratorów i przewodników ekscesów”, „burzycieli społecznego ładu”, dla których – rzecz jasna – „nie było pobłażania”. Dostało się także Niemcom. W artykule *Znamienne poparcie dla sprawców zająć w Warszawie. Antypolska demonstracja w Berlinie Zachodnim* z 14 marca „Trybuna Ludu” donosiła: „Liczni uczestnicy demonstracji, zachęceni najwyraźniej poparciem, jakiego nie szczędzą ekscesom neohitlerowskie i skrajnie antypolskie dzienniki zachodnioniemieckie, wznosili okrzyki oraz nieśli transparenty, szkalujące nasz kraj. W demonstracji wzięła udział liczna grupa reprezentantów organizacji syjonistycznych Berlina Zachodniego, która niosła transparenty, skierowane przeciwko budownictwu socjalistycznemu w Polsce, przeciwko PZPR i polskim przywódcom”. ■



dr Mariusz Żuławnik – historyk, naczelnik Wydziału Informacji i Sprawżeń BuIAI IPN

Marzec w samo południe

Maciej Rosalak

Zegar na Bibliotece UW wskazywał godzinę 12.13, gdy przez bramę od Krakowskiego Przedmieścia wjechało na dziedziniec uniwersytetu siedem autokarów z napisem „wycieczka”. Wyszło z nich ponad trzysta „pasażerów”. Byli to ormowcy (Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej), zwani później w mediach i na masówkach „aktywem robotniczym”.

Najpierw namawiali studentów do rozejścia się. Potem zaczęli popychać. Posypały się na nich piguły śnieżne. Wszystko to wyglądało i dramatycznie, i komicznie, a działo się jakby w zwolnionym tempie. Czy tak rodzi się historia? – dziwili się studenci historii. Przepychanki stawały się brutalne. Jeden kopnął, drugi walnął pałką wyciągniętą z rękawa, a trzeci złapał dziewczynę za włosy. Przewróciła się, no to ją pociągnął po śnieżnej brei, brudząc jej kożuch... Ormowców stopniowo ogarniał szal. Do mnie i przyjaciela podbiegł kwadratowy osobnik. Zatrzymał się na chwilę, popatrzył. Miałem włosy jasne, przyjaciel – ciemne. W ślepiach błysnęło coś na kształt myśli i... kopnął przyjaciela. Przypadek? Tę scenę najwyraźniej pamiętam z 8 marca 1968 roku.

S
i
Ó
D
M
Y
K
R
Z
Y
Ż
Y
K

Zepchnięta na tyły BUW młodzież znalazła się przed Pałacem Kazimierzowskim, szukając wsparcia u rektora. Na balkonie ukazał się nie on, ale znakomity historyk Stanisław Herbst. W todzie, z łańcuchem rektorskim na piersi, wzywał do zachowania spokoju. I wszystko bez większych dramatów rozeszłoby się wraz z ludźmi, gdyby nagle nie wtargnęło ZOMO (utworzone przez Władysława Gomułkę Zmotoryzowane Odwoływanie Milicji Obywatelskiej – najtrwalsze jego dokonanie w Październiku '56) w bojowym rynsztunku, i nie przeprowadziło regularnego bicia kogo popadnie, z profesorami włącznie, wbiegając na teren poszczególnych wydziałów. To nie od kilkusetosobowego z początku wiecu, ale od pałowania i kłamstwa o nim zaczął się masowy protest studencki, zwany później Marcem '68.

Zobaczyliśmy po raz pierwszy prawdziwe oblicze tzw. władzy ludowej. Nie do końca wierzyliśmy rodzicom, którzy całe zamieszanie traktowali jako rezultat rozgrywek wewnątrz władzy komunistycznej. – Przecież to jedna banda! – mówili. Dopiero po latach w pełni zrozumiałem ojca, który przeżył wojnę, okupację niemiecką i sowiecką, terror epoki Bieruta i oszustwo Gomułki. Ale nasze roczniki dopiero w Marcu '68 po raz pierwszy w życiu przyglądały się dziejowym wypadkom...

Następnego dnia (sobota, 9 marca) tylko krótka notka schowana na dalekiej stronie „Sztandaru Młodych” odniosła się do wydarzeń. Zrobiono z nas „wichrycieli”. Usłyszałem: Prasa kłamie! Rzesze rozgoryczonych studentów ruszyły na wiec solidarnościowy pod Politechnikę (jak 11 lat wcześniej protestujący przeciw rozwiązaniu „Po Prostu”). Potem wielotysięczny pochód z biało-czerwonym sztandarem ruszył w kierunku pobliskiego akademika „Riwiera”. Z boku stały stalowosine szeregi ZOMO, a ich dowódca wzywał przez megafon do rozejścia się. Aż dostał w głowę brukowcem lub cegłą. Bo oto, nie wiadomo skąd, nie wiadomo kto, obrzucił milicjantów kamiennym gradem. I tak po raz pierwszy w życiu zobaczyłem prowokację.

Zomowcy tylko na to czekali. Zaczęły wybuchać granaty z gazem łzawiącym, a szeregi chłopców z Gołędzinowa ruszyły z pałami. – Czer-wo-ne ges-ta-po! – skandowali studenci.

I bardzo szybko pochód młodych, zdeterminowanych ludzi zamienił się w opanowany paniką tłum. Na próżno jakiś dojrzały mężczyzna z otwartymi szeroko ramionami

► Dziedziniec Uniwersytetu Warszawskiego, wiec przed budynkiem BUW, 8 marca 1968 roku



► Gaz łzawiący na schodach kościoła Świętego Krzyża, w którym schronili się manifestanci

Fot. AIPN

głośno krzyczał, usiłując zatrzymać uciekających. To był żywioł nie do powstrzymania; pojedynczy człowiek pozostawał całkowicie bezradny. Tak to chyba wygląda podczas fali tsunami. Od tamtej pory – kiedy tylko mogę – unikam tłumu. Wtedy pomyślałem, że drapieżniki gonią tylko tego, kto ucieka, wziąłem pod rękę koleżanki Halinkę i Marysię, i stanąłem z nimi pod sklepem mięsnym wśród gapiów (dziś biegnie tędy Trasa Łazienkowska), bezczelnie udając jednego z nich. Rumiana sprzedawczyni o potężnym zadzie przyglądała się podejrzliwie naszej trójce i gromko pouczała zebranych: – Krzyczą „gestapo”, studenci! zafajdane! Okupacji nie widzieli! W głowie im się p....! Ale nie wydała nas zomowcom, gdy przechodzili mimo, obrzucając stojących półprzytomnym spojrzaniem przekrwionych oczu.

Z daleka widziałem kołyszącą się gwałtownie białą-czerwoną chorągiew, jakby dawała jakieś znaki; wreszcie zniknęła szczęśliwie w mrocznym wejściu do kina „Luna”. A to Polska właśnie – myślałem uporczywie i z pewnym zdziwieniem. Chłopiec ze sztandarem, funkcjonariusz z pałką, tęga dama z mięsnego – to wszystko rodacy. W 1968 roku byłem zaskoczony. W latach 1970, 1976, 1981/1982 – już mniej.

Wzrokiem hien wpatrywali się w nas cuchnący wódką ormowcy, kiedy w poniedziałek 11 marca wychodziliśmy po zajęciach bocznym wyjściem z uniwersytetu. Upijano ich w pobliskim „Kuchciku”, następnie ustawiano w dwóch rzędach, między którymi przechodzili pojedynczo studenci. Gdy ktoś spojrział na nich krzywo – bili pałkami w kark. Jak w carskim wojsku. Z tą różnicą, że bili także dziewczyny.

Z tego dnia doskonale pamiętam kościół Świętego Krzyża na Krakowskim Przedmieściu. W ciżbie szamocącej się na schodach widziałem wznoszące się i opadające z rozmachem pałki. I postać Chrystusa idącego na Golgotę w dymach gazu łzawiącego...

Przypomina się pogrom Żydów w Boże Narodzenie 1881 roku, który wywołał wielkie poruszenie w Warszawie. Eliza Orzeszkowa pisała w liście do T.T. Jeża o jakichś dziwnych, obcych osobnikach w „rubachach”, niemówiących po polsku, z zakazanymi gębami, którzy pojawili się w mieście przed katolickimi świętami. To oni spowodowali potworny ścisk i zamęt na schodach prowadzących właśnie do kościoła Świętego Krzyża, gdy wierni opuszczali świątynię po mszy. Wśród jęków tratowanych i bitych ludzi usłyszano okrzyki: – To Żydzi winni! Bij Żyda! W ciągu trzech dni zamieszek bito i zabijano. Rabowano i demolowano żydowskie sklepy i domy. Niektórzy przerażeni obywatele pochodzenia żydowskiego szukali ratunku w mieszkaniach polskich znajomych i przyjaciół. Z opisu wyraźnie wyziera przerażenie i oburzenie, że prowokacja trafiła na podatny grunt wśród warszawskiej ludności. Obcy szczuł, ale Polak bił.

Dodam jeszcze, że w samo południe 8 marca akurat kończyliśmy zajęcia z filozofii, które prowadził Tadeusz Płużański. Nikt z nas – studentów historii! – nie wiedział wtedy o ranach, które odniósł on we Wrześniu, głodzie i katowaniu w Stutthofie, kurierskich misjach żołnierza AK i WiN od rtm. Witolda Pileckiego do gen. Władysława Andersa, makabrze śledztwa w UB, karze śmierci, na szczęście niewykonanej, wieloletnim więzieniu. Dopiero od niedawna zastanawia mnie, co w 1968 roku – dwadzieścia lat (aż? załedwie?) po pokazowym procesie – myślał ów filozof, patrząc przez okno na dziedziniec uniwersytetu. I po tylu latach widzę coraz wyraźniej jego kamienną, przeciętą bliźną twarz. Jak punkt odniesienia. 🍷

Kur wie lepiej, wersja 2.0

Krzysztof Gottesman

Czy ktoś dzisiaj pamięta takie gazety, jak „Prawo i Życie”, „Argumenty”, „Słowo Powszechne”, „Walka Młodych”? Nie sądzę. Odeszły w niebyt, mało kto po nich płacze. Czy ktoś dzisiaj pamięta takie nazwiska, jak Gontarz, Mysiek, Osiadacz czy tytułowy bohater tego tekstu? Też tylko historycy i niektórzy publicyści. Ale raz do roku, właśnie w marcu, tytuły te i nazwiska są przywoływane. W jak najgorszym kontekście.

Marzec 1968 to dla polskiej prasy czas najpodlejszy. Nigdy już potem – nawet w stanie wojennym – nie było w mediach tyle nienawiści, kłamstwa, wulgarności, odwoływania się do najniższych instynktów. Do dziś pamiętam starszych ludzi, którzy wówczas po prostu potwornie się bali czytać gazety, oglądać telewizję, słuchać radia. Ćwierć wieku po najstraszliwszej w dziejach ludzkości zbrodni Holocaustu ponowne wskazywanie na Żydów w Polsce jako na złych i obcych musiało wywoływać jak najgorsze skojarzenia.

Nienawiść zorganizowana

Nienawiść zwykle jest prymitywna i tępa. W kolejnych publikacjach „Trybuny Ludu”, „Żołnierza Wolności”, „Walki

Młodych”, „Prawa i Życia”, „Stolicy” czy „Kuriera Polskiego” pojawiały się wypełniane przez Witolda Fillera, Klaudiusza Hrabyka, Ignacego Krasickiego, Ryszarda Gontarza i innych te same kalki: „zagraniczni inspiratorzy”, „młodzież o koneksjach syjonistycznych”, „ręce polskich studentów nie będą wyciągały z ognia kasztanów dla tych, którzy nie polski i nie socjalistyczny interes mają na względzie”, „chłoptysie i dziewczątka z tatusiowych limuzyn”, „syjoniści”, „rewizjoniści”. Było także – o ironio! – odwoływanie się do antykomunistycznego stereotypu „żydokomuny”. I ciągle podawanie z lubością obco brzmiących nazwisk, najlepiej, gdy zostały one odkryte, a ich właściciele skarzeni za podszywanie się pod Kowalskich, Wiśniewskich, Malinowskich...

Niestety, nie można powiedzieć, żeby ta zorganizowana nienawiść nie bolała i nie czyniła szkód. Tym bardziej że trafiała na podatny grunt. Tysiące wieców w całej Polsce, na których potępiano „inspiratorów antypolskich działań”, były z pewnością reżyserowane. Podobnie zresztą jak partyjne zebrania i narady w zakładach pracy, na których zmuszano ludzi do „opowiedzenia się po właściwej stronie”. W Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i aparacie państwowym toczyła się bezwzględna walka o władzę, wpływy, stanowiska. Ale zawsze są gdzieś granice reżyserii i inspiracji. Dobrym testem na to, w jakim stopniu te postawy były narzucone, a w jakim własne, może być atmosfera w szkołach. Dzieci zawsze przynoszą tam zachowania i wartości zaobserwowane



► Wiec na Rynku Głównym w Krakowie potępiający wydarzenia marcowe

i wyznawane w domu. Jako noszący „niepolskie nazwisko” co jakiś czas miałem do tornistra przyczepianą gwiazdę Dawida, a mój kolega, który wyglądem – ciemna cera i kręcone włosy – odpowiadał ludowemu wyobrażeniu Żyda, choć nazwisko miał polskie, obrywał z tego samego paragrafu. Jak napisał jeden z badaczy tego okresu, „ponad głowami Żydów władza zawarła knajackie porozumienie z resztą społeczeństwa”.

Jak głębokie to było porozumienie? Tygodnik „Polityka” nie należał do czołówki antysemitycznej nagonki. Wręcz przeciwnie, o czym będzie jeszcze mowa, starał się wówczas zachowywać przyzwoicie. Czy czytelnicy to widzieli? Analizę listów nadesłanych od marca do maja 1968 roku do „Polityki” czyta się jeszcze dziś z przerażeniem. W tych listach mowa jest o Żydach jako „uciążliwych gościach, nadużywających dobroci i cierpliwości gospodarzy, o atawistycznej skłonności do zdrady, szczególnej niechęci i nienawiści Żydów do Polaków, ciągotach filoniemieckich, znanej cechy Żydów – niechęci do pracy na roli, w zawodach uciążliwych wymagających ciężkiego trudu, słowem o pasożytniczej naturze tego narodu [...]”.

Słonimski nie, Kępa tak

„Polityka” w Marcu przeżyła jeden z najważniejszych i najtrudniejszych momentów swego istnienia, swoisty mit założycielski środowiska. 12 marca 1968 roku – czyli w szczycie antysemitycznej kampanii – dostała z Komitetu Centralnego PZPR polecenie wydrukowania felietonu An-

toniego Słonimskiego z „Wiadomości Literackich” z 1924 roku pod tytułem *O drażliwości Żydów*, krytykującego ortodoksyjnych wyznawców judaizmu. Zamyśl był tyleż prosty, ile prostacki: skompromitować jawnie krytykującego partię Słonimskiego i pokazać niejako „obiektywnie” zło Żydów. Kolegium tygodnika postawiło się i prawie jak jeden mąż odmówiło druku. Przez długie godziny toczyły się gorączkowe negocjacje między redaktorem naczelnym Mieczysławem Rakowskim i kierownictwem partii. „Słuchajcie, postanowiliśmy nie drukować tego tekstu” – tuż przed puszczeniem w ruch maszyn drukarskich Zenon Kliszko, członek Biura Politycznego KC PZPR, przekazał naczelnemu decyzję. Historię tę – i słusznie – do dziś przypomina się jako ilustrację odwagi i honoru dziennikarzy i redaktorów tygodnika. Na ile jednak ta odważna postawa trafiała do czytelników? Czy wiedział o niej inżynier z Wrocławia, lekarz z Białegostoku, nauczyciel ze Szczecina? Mogli nie wiedzieć. W tym samym czasie na łamach swojego ulubionego tygodnika znaleźli jedno z obrzydliwszych przemówień Marca – wystąpienie Józefa Kępy, I sekretarza Komitetu Warszawskiego PZPR, z pełną gamą antysemitycznych fraz. Fragmenty ze Słonimskiego mogli zaś przeczytać w wydrukowanym przemówieniu Władysława Gomułki w Sali Kongresowej, które zostało przez redakcję zaliczone „do rzędu najważniejszych wydarzeń politycznych naszych dni” – z zaznaczeniem, że „sformułowana przez niego ocena marcowych dni musi być bliska każdemu, kto swój indywidualny los oraz szczęście i przyszłość związał z socjalizmem”. Zespół zapewniał: „My z Wami, towarzyszu Wiesławie”. Może i trochę dlatego w skrzynce „Polityki” znalazły się takie listy. Mimo że na przykład tekst *Ludzie i socjalizm* Rakowskiego, również z marca 1968 roku, mimo okropnej ornamentyki wyróżniał się pozytywnie na tle ówczesnej publicystyki.

Nie ma sensu przykładanie dzisiejszych kryteriów do marcowej sytuacji i marcowych wyborów. „Polityka” przez kilkadziesiąt lat funkcjonowania w PRL była pismem wyjątkowym. Do dziś sobie cenię, że mój publicystyczny debiut w lipcu 1980 roku miał właśnie tam miejsce. Dariusz Fikus, jedna z czołowych postaci „Polityki” – który jednak po 13 grudnia 1981 roku odszedł z tego pisma – napisał w pamiętnym Marcu słynny tekst pod tytułem *Kur wie lepiej*, polemizujący z tekstem o encyklopedystach Tadeusza Kura, jednego z najgorszych marcowych pałkarzy. Cenzura oczywiście tekst Fikusa zdjęła. Po latach, gdy miałem szczęście już w wolnej Polsce pracować pod kierownictwem Darka w „Rzeczpospolitej”, oczywiście był z niego dumny, zwłaszcza z tytułu, który szybko nabral symbolicznego znaczenia. Ale powiedział mi też, że w ówczesnej atmosferze wiele z tego nie wynikało. 🍷

Krzysztof Gottesman – dziennikarz i publicysta, pracuje w Wydziale Komunikacji Społecznej IPN



Fot. Stanisław Gawliński/ze zbiorów Ośrodka KARTA

W erze galopującej cyfryzacji coraz rzadziej wysyłamy tradycyjne listy. Tymczasem kilkadziesiąt lat temu był to jeden z podstawowych sposobów komunikacji, w PRL ściśle kontrolowany przez aparat represji. Powszechną praktyką było czytanie przez funkcjonariuszy UB (a później SB) prywatnych listów.

Przyjmuje się, że głównym źródłem wiedzy Służby Bezpieczeństwa (wcześniej Urzędu Bezpieczeństwa) byli jej agenci. Często zapominamy, że policja polityczna korzystała również z dostępnych jej środków technicznych, by podsłuchiwać i podglądać ludzi. Najczęściej jednak esbecy czytali prywatne listy, ale tak, żeby nie pozostawić żadnego śladu. Początki perlustracji korespondencji, bo tak fachowo nazywano czytanie cudzych listów przez bezpiekę, sięgają września 1944 roku, kiedy to w ramach tworzonego przez komunistów Resortu Bezpieczeństwa Publicznego powstał Wydział Cenzury. Zmieniał on nazwy, m.in. na Wydział Cenzury Wojennej, Główny Urząd Cenzury Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, aż w końcu w grudniu 1955 roku przyjął tajemniczo brzmiącą nazwę Biuro „W”. Od początku ten fragment działalności UB był ściśle utajniony. W biurze pracowało niewiele osób (w maju 1945 roku około tysiąca, z czego prawie sześćset było rozsianych po kraju).

Właśnie z powodu zbyt małej liczby pracowników pionu „W” komuniści nie byli w stanie objąć kontrolą całej korespondencji. Na przykład w 1953 roku, a więc w okresie największego terroru stalinowskiego, przeczytano 12,4 mln listów krążących po kraju oraz 3,6 mln wysyłanych za granicę lub stamtąd przychodzących. Na pierwszy rzut oka liczby te robią wrażenie, ale było to zaledwie 1,4 proc. korespondencji krajowej i 16 proc. zagranicznej. Dla funkcjonariuszy bezpieki ważniejsza była kontrola listów kierowanych na Zachód. Miało to ścisły związek z „zimną wojną” i konfliktem między komunistycznym Wschodem a demokratycznym Zachodem. Pod pozorem wyłapywania szpiegów kontrolowano

niewinnych obywateli. Wielu z nich trafiło do więzień za opisywanie komunistycznej rzeczywistości.

Po zmianach politycznych w roku 1956 ilość kontrolowanej korespondencji się zmniejszyła. Zmalała również liczba funkcjonariuszy ją kontrolujących. W dalszym ciągu jednak liczba sprawdzanych listów przyprawiała o zawrót głowy – pracujący na dwie lub trzy zmiany funkcjonariusze jednostek „W” przeglądali codziennie kilkadziesiąt tysięcy listów! Niektóre z nich konfiskowali. Zdarzało się tak m.in. z listami wysyłanymi do Radia Wolna Europa. W samym tylko roku 1966 roku zatrzymano 260 tys. takich przesyłek.

Wykorzystywano je do działań tzw. pionów operacyjnych SB. Mówiąc wprost: kopia lub streszczenie listu trafiały na biurko funkcjonariusza, który miał za zadanie podjąć konkretne czynności wobec autora. Obejmował go inwigilacja i szukał dowodów na prowadzenie przez niego „wroziej działalności wobec PRL”. Tak osaczona ofiara często nie zdawała sobie sprawy z tego, że początkiem jej kłopotów był list wysłany do krewnego mieszkającego za granicą. Na przykład w 1975 roku student KUL Stanisław Kruszyński, który w liście do brata krytycznie ocenił system polityczny PRL, został skazany na dziesięć miesięcy więzienia.

Paradoksalnie, dopiero w stanie wojennym obywatel był informowany o otwarciu korespondencji. Na kopertach wbijano pieczęć „ocenzurowano”. W samym tylko 1982 roku funkcjonariusze rozrastającego się pionu „W” przejrzyli 82 mln listów, co stanowiło 15 proc. ogółu wysyłanych. Prawie milion zatrzymano, a ponad 9 tys. posłużyło do wytoczenia procesów politycznych.

Materiały wytwarzane przez pion „W” podlegały szczególnej ochronie

i dlatego ich pochodzenie maskowano dokładniej niż donosy tajnych współpracowników! Przeglądając więc dziś poszczególne sprawy operacyjne, możemy zauważyć, że zwykle dokumenty pochodzące z perlustracji zostały wybrakowane (zniszczone) lub ich opis nie wskazuje źródła pochodzenia.

Prezentowany dokument powstał w wyniku kontroli prowadzonej przez Biuro „W” wobec ambasady Australii w Warszawie. Jest to klasyczny przykład tzw. kontroli adresu, czyli perlustracji listów wysyłanych „na” konkretny adres lub „spod” tego adresu. Był to jeden z dwóch sposobów kontrolowania listów. Innym było ich ryrykowe sprawdzanie. Odpowiadał za to cały system, który stworzono w MBP, a później w MSW. Jednym z jego elementów byli m.in. funkcjonariusze na etatach niejawnych. Częścią systemu była również wyspecjalizowana komórka, w której opracowywano środki chemiczne, pozwalające na otwieranie i zamykanie listów bez pozostawiania śladów.

Kontrola prowadzona na tak dużą skalę powodowała, że jednostki operacyjne były wręcz zaśmiecanie błahymi informacjami. W przypadku słynnego żeglarza, kapitana Romana Paszke, wystarczyło, że na adres ambasady wysłał gratulacje załodze jachtu „Australia II” z powodu wygranych regat. Czytająca ten list funkcjonariuszka SB uznała, że jest to na tyle ważna informacja, iż należy przekazać ją odpowiedniej komórce kontrwywiadu (Departamentu II MSW). Jak widać z analizy dokumentu, faktycznie trafił on do komórki kontrwywiadu, ale nie wiemy, czy kapitan Paszke stał się później przedmiotem inwigilacji ze strony SB. ■

Numer kancelaryjny, pod którym zarejestrowano pismo

Pieczęć nagłkowa Komendy Stołecznej MO

Pieczętka umieszczana głównie na dokumentach pochodzących z perlustracji: „W żadnym wypadku nie wolno wobec osób trzecich ujawniać pochodzenia tej informacji”

Data i miejsce wytworzenia dokumentu

Pierwotna paginacja nadana w archiwum SB

Pieczęć kancelaryjna Wydziału II Departamentu II MSW, który odpowiadał za „osłonę kontrwywiadowczą” przed działaniem takich państw, jak Australia, Kanada i Wielka Brytania

Paginacja nadana w momencie mikrofilmowania

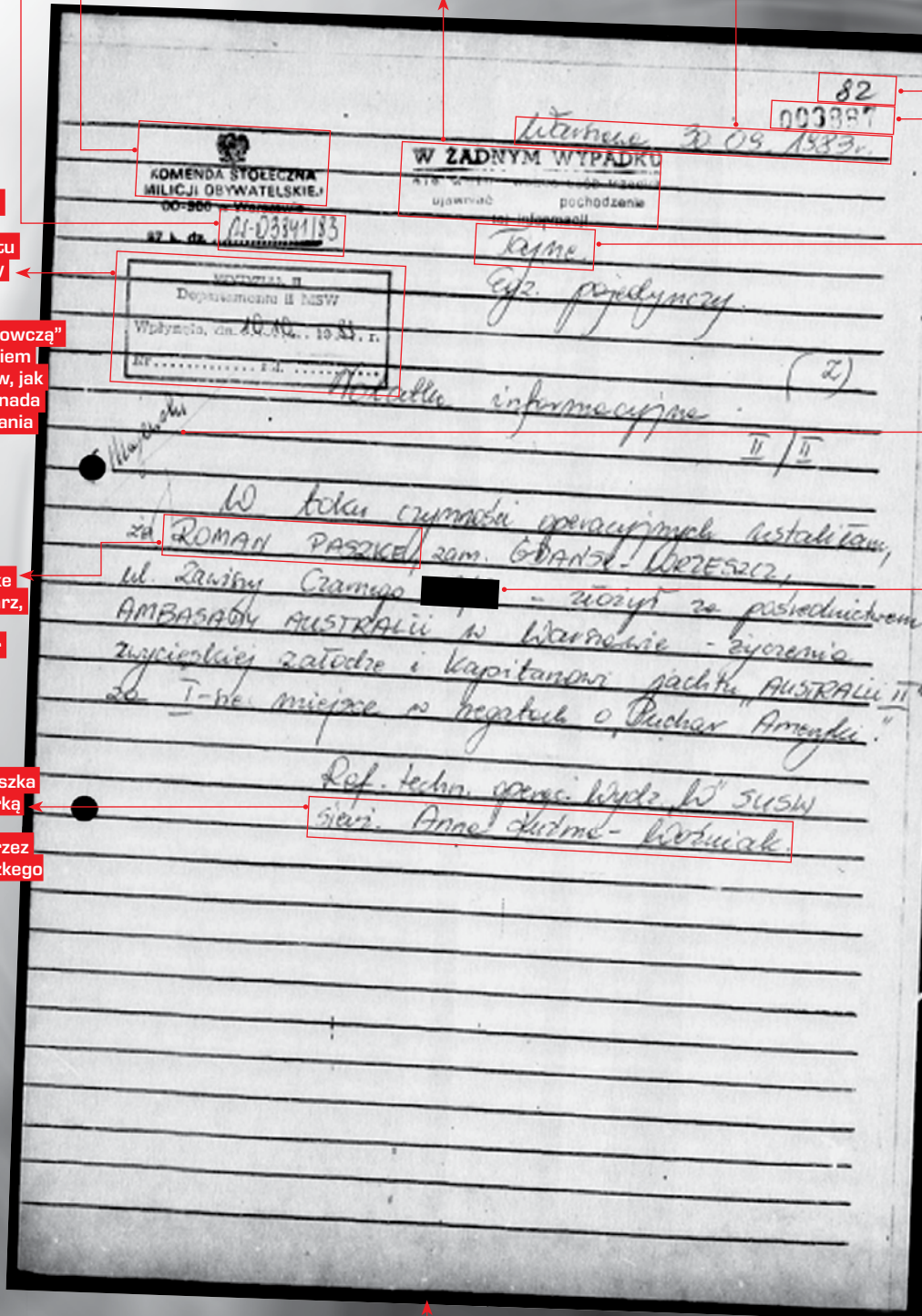
Klauzula tajności dokumentu

Nazwisko funkcjonariusza Wydziału II Departamentu II MSW, do którego trafiło streszczenie listu

Roman Paszke – polski żeglarz, kapitan i konstruktor jachtów

Dokładny adres został zaczerpnięty przez redakcję „Pamięci.pl”

Funkcjonariuszka będąca autorką odpisu listu wysłanego przez Romana Paszkego



Dokument zachował się jedynie w formie mikrofilmu, stąd szara kolorystyka i ciemne obwódki wokół fotografowanej kartki

Marzec '68 na esbeckich taśmach

Jacek Zygmunt Sawicki



Wydarzenia Marca '68 mają stosunkowo obszerną dokumentację fotograficzną i filmową oraz bogatą już literaturę. Tutaj przypomnę tylko wydane przez IPN w 2006 roku opracowanie Jerzego Eislera *Polski rok 1968* tudzież filmy dokumentalne: *Dworzec Gdański* (TVN 2007) Marii Zmarz-Koczanowicz, *Niedokończona historia* (TVP 2008) Jacka Chojeckiego oraz *Marzec '68. Tajne!* (TVP 1998) i *Taśmy marca* (TVP 2008) w mojej reżyserii. Na potrzeby tego artykułu wybrałem cztery klatki z materiałów nakręconych przez operatorów Służby Bezpieczeństwa na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie.

P przed południem 9 marca 1968 roku tłum zbiera się w rejonie politechniki i w pobliżu uniwersytetu na Krakowskim Przedmieściu. Demonstranci i gapie zajmują całą szerokość chodników. Studenci palą gazety. Tak manifestują przeciw kłamstwom prasy. W następnych dniach protestu często będzie powtarzany ten sposób wyładowywania emocji oraz wyrażania swojego stosunku do władz i uzależnionej od nich prasy.

W tym dniu służby nie dają się zaskoczyć, są przygotowane do zdławienia protestu.

Pojawiają się pierwsze petardy i gazy łzawiące. Esbeccy „operatorzy filmowi” mają ręce pełne roboty, kręcą z ukrycia. Zachowane ujęcia pokazują zamkniętą bramę uniwersytetu i drugą stronę Krakowskiego Przedmieścia. Schody prowadzące do kościoła św. Krzyża stają się dla manifestantów ważną trybuną, gdy obok toczy się jeszcze w miarę normalne życie miasta: kursuje komunikacja miejska, otwarte są sklepy. Chociaż widać rosnące napięcie...

I znowu dochodzi do konfrontacji. Po południu milicja siłą rozprasza tłum. Kilkakrotnie szarżuje na gromadzących się na Krakowskim Przedmieściu ludzi, zwłaszcza przed uniwersytetem. Do akcji wkraczają siły tzw. aktywu społecznego – formacje cywilów

uzbrojonych w gumowe pałki. Na filmie widać, jak są brutalni, wręcz żądni krwi. To przebrani słuchacze uczelni milicyjnych, żołnierze Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i aktywi partyjni. Pod ich ciosami ludzie rozbiegają się, uciekają w kierunku Nowego Świata.

Od rana młodzież gromadzi się w rejonie Krakowskiego Przedmieścia. Przeważają studenci. Zachowują się spokojnie. Jak zwykle dużo tu przypadkowych gapiów. Wszyscy sprawiają wrażenie, jakby na coś lub na kogoś czekali. Liczą, że tym razem władza zareaguje na protest inaczej niż tylko siłą. Jednak to uluda.

W południe SB szacuje, że tłum zebrany na Krakowskim Przedmieściu liczy już ponad 3 tys. osób. Najgęściej jest pod bramą Uniwersytetu Warszawskiego. Zmobilizowane przez MSW ekipy filmują z ukrycia rozwój wydarzeń: z przejeżdżających samochodów, z potajemnie wynajętych mieszkań, zza kordonu milicji.

EPIZOD 1



► Milicjanci biją pałkami przypadkowe osoby z lewej i prawej strony kiosku „Ruchu”, który ma zbitą szybę; od przystanku zbliżają się nieświadomi zagrożenia ludzie (na pierwszym planie kobiety, bliżej z lewej milicjanci pałują młodzież)

EPIZOD 2



► Funkcjonariusze MO i SB obrzucili teren Uniwersytetu Warszawskiego świecami dymnymi i gazem (tuż za bramą wejściową), prawdopodobnie studenci odrzucili jedną z nich; widać, jak milicjant (w środku kadru) gasi nogami świecę dymną; obok – pod drzewem – milicjanci rozmawiają z tajniakiem; z lewej – szarpną kolejną młodą osobę

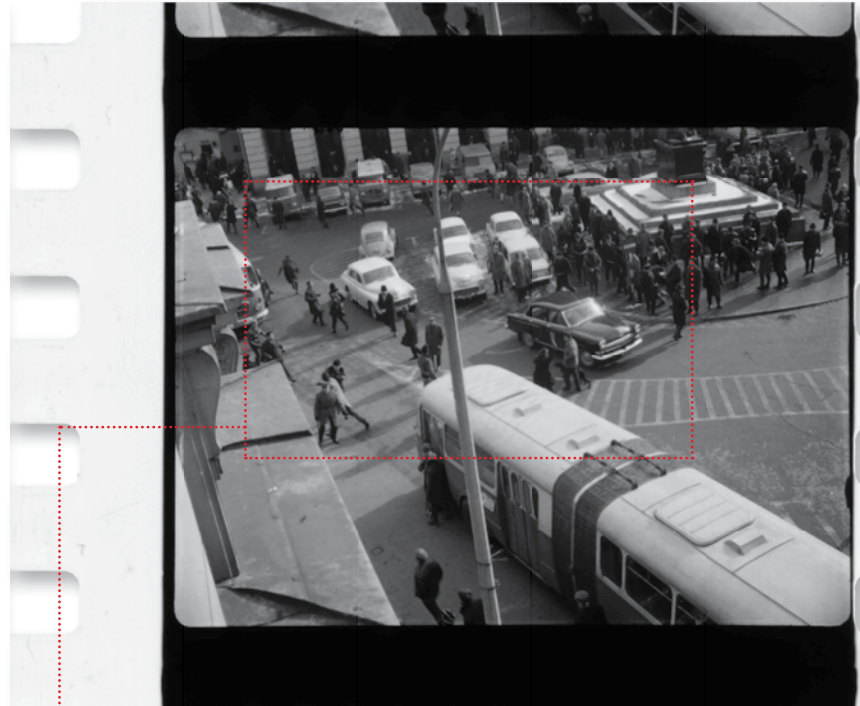
Milicjanci ruszają do akcji. Wypychają manifestantów spod bramy uniwersyteckiej. Agresorów spotyka gwałtowna reakcja: gwizdy, okrzyki „pachołki” i „gestapo”. Ktoś z tłumu rzuca w milicjantów kamieniami. Ci odpowiadają pałkami i granatami z gazem łzawiącym. Trwa szamotaniina. Tłum rusza w kierunku Nowego Świata. Kamery utrwaliły, jak milicjanci ostrzeliwują świecami dymnymi i gazem łzawiącym dziedziniec Uniwersytetu Warszawskiego.

W ciągu kilkudziesięciu minut milicji udało się wyprzeć manifestantów z Krakowskiego Przedmieścia. Odcinek między hotelem „Bristol” a Nowym Światem to teraz teren opany przez zbrojne ramię władzy. Tłum, rozbity na grupy, przeganiany z miejsca na miejsce, kolejnymi falami ucieka w kierunku ulic Królewskiej, Nowego Świata i na tyły zabudowań uniwersyteckich.

Środkiem opustoszałego Krakowskiego Przedmieścia przejeżdża kolumna pojazdów milicyjnych, wzmocniona opancerzonym pojazdem uzbrojonym w armatkę wodną. To klasyczna demonstracja siły, ostrzeżenie czytelne dla wszystkich. Ludzie chronią się po podwórkach i bramach, uciekają do kościoła. I znowu, w ciągu następnych kilkudziesięciu minut zbierają się w rejonie ulicy Traugutta, przy zbiegu Czackiego i Świętokrzyskiej, na rogu Królewskiej i Krakowskiego Przedmieścia. Milicja rozprasza ich, używając pałek i granatów z gazem łzawiącym.

W jednym z milicyjnych raportów napisano później: „[...] w okolicy uniwersytetu sytuacja zmieniała się co kilka minut. Bywały chwile, że w okolicach prowadzonych działań było pusto, za chwilę jednak pojawiali się manifestanci, których kolejny raz rozpraszano”. **Kamery utrwalają miejsca starć, działania milicji, ucieczkę tłumu, bicie i szarpanie ludzi.**

EPIZOD 3



▶ Akcja „aktywu robotniczego”; „cywile” z pałkami skupili się przy pomniku i przy budynku; z lewej – widać, jak atakują pałkami ludzi idących od strony uniwersytetu; w centrum kadru – przy czarnej wóldze esbek bije pałką młodego człowieka, który wyprowadził psa na spacer i przypadkowo znalazł się w tym miejscu

EPIZOD 4



Schody kościoła św. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu są filmowane często i chętnie. Zdjęcia pokazują bardzo młode twarze. Nie był to – wydaje się – tylko bunt studentów, ale rewolta młodzieży. Milicjanci filmują już osontacyjnie. Nie kryją się.

Materiał filmowy może być dowodem w sprawie. Może dlatego właśnie na ulicy odbywa się prawdziwe polowanie? Milicjanci szczególnie brutalnie atakują młode osoby. Ich agresja dosięga jednak wszystkich: starszą kobietę – bo się zagapiła, młodego chłopaka – bo w złym momencie wyprowadził psa, starszego mężczyznę – bo za wolno uciekał za tłumem... 🍌

dr hab. Jacek Zygmunt Sawicki – historyk, filmowiec dokumentalista; badacz dziejów Polskiego Państwa Podziemnego, Powstania Warszawskiego i PRL; pracownik Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN; autor m.in. albumu *Kolory wojny* (2010) oraz filmów dokumentalnych

▶ Materiał filmowy może być dowodem w sprawie

Podwójne życie Janusza Molki

W środowisku ludzi z SB panuje zmowa milczenia. Mój rozmówca złamał ją jak nikt inny – przekonuje **Bogdan Rymanowski**, autor książki *Ubek*, w rozmowie z Filipem Gańczakiem i Grzegorzem Wołkiem

Pan jest kombatantem...

Tak bym siebie nie nazwał. Ale jako nastolatek działałem w Federacji Młodzieży Walczącej w Nowej Hucie. To było w latach osiemdziesiątych. Poznałem chłopaków, którzy walczyli na ulicach z ZOMO. Później wspólnie rozrzucaliśmy ulotki, malowaliśmy hasła na murach, redagowaliśmy piśmko młodzieżowe. Pisałem, drukowałem, kolportowałem – raz nawet zostałem zatrzymany na 48 godzin. Starałem się pomóc wielkiemu ruchowi Solidarności. Wtedy różnice poglądów politycznych w opozycji nie miały jeszcze znaczenia. Ważne było, że walczy się ze wspólnym wrogiem – z systemem komunistycznym, reprezentowanym przez generałów Jaruzelskiego i Kiszczaka. To była przygoda, którą bardzo miło wspominam.

Janusz Molka, bohater Pana książki *Ubek*, też był w młodości opozycjonistą – tyle że dekadę wcześniej.

Zgadza się. To był początek lat siedemdziesiątych: wydarzenia na Wybrzeżu, załączki Ruchu Młodej Polski. Janusz Molka malował napisy na siedzibie Służby Bezpieczeństwa przy ulicy Okopowej w Gdańsku. W porównaniu z tym, co my robiliśmy w latach osiemdziesiątych, był to akt wielkiej odwagi. Po pierwsze, ludzi zaangażowanych w opozycję było zdecydowanie mniej. Po drugie, nie było jeszcze *Malęgo konspiratora* – konkretnego poradnika, jak zachować się w momencie wpadki. W tych warunkach Molka nawiązał współpracę z ważnymi postaciami gdańskiej opozycji – Aleksandrem Hallem i braćmi Rybickimi. Zapłacił za to wysoką cenę: choć był prymusem, po studiach nie został przyjęty jako pracownik naukowy do Instytutu Historii Uniwersytetu Gdańskiego.

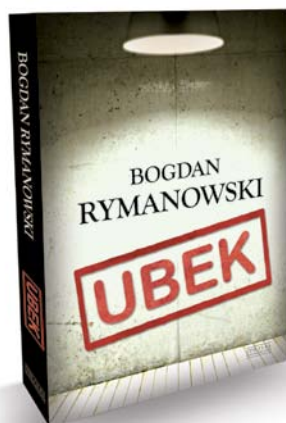
W maju 1983 roku Molka został złamany i pozyskany przez SB jako tajny współpracownik. Jak to się stało, że człowiek, który wykazywał się wcześniej dużą odwagą, w konfronta-

Fot. P. Życieński

Bogdan Rymanowski (ur. 1967) – dziennikarz, absolwent Wydziału Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego; jest gospodarzem programów „Kawa na ławę” i „Jeden na jeden” w telewizji TVN24; wcześniej prowadził m.in. „Fakty” TVN; otrzymał wiele nagród dziennikarskich, w tym tytuł Dziennikarza Roku Grand Press (2008); zanim wydał *Ubeka* (2012), razem z Pawłem Siennickim napisał książkę *Towarzystwo Lwa Rywina* (2004); jest też współautorem filmu dokumentalnego *Szpieg* o Marianie Zacharskim (2008)

cji z funkcjonariuszami Służby Bezpieczeństwa poddał się już w trakcie pierwszego przesłuchania?

Nikt z nas do końca nie wie, jak zachowałby się w takiej sytuacji. Prawdziwe jest chyba powiedzenie, że znamy siebie na tyle, na ile nas sprawdzono. W maju 1983 roku Janusz Molka został sprawdzony. Znalaziono przy nim jakieś opozycyjne gazetki, druki, informacje dotyczące jego kolegów z podziemia. Został przewieziony na Okopową. Tam esbecy zagrali dobrego i złego policjanta. Grozili Molce, że nie tylko on straci pracę, lecz problemy będzie miała także jego rodzina. Oczywiście można się zastanawiać, dlaczego Janusz Molka tak szybko pękł. Inni opozycjoniści też przeżywali przesłuchania i często nie godzili się na współpracę, tylko po prostu szli do więzienia. Wydaje mi się, że on ➤



był słabszy psychicznie i nie wytrzymał presji wiedzy, którą miała o nim Służba Bezpieczeństwa.

A jak wytłumaczyłby Pan to, że podpisawszy zobowiązanie do współpracy, Molka tak płynnie przeszedł do nowej roli donosiciela?

On sam twierdzi, że w 1983 roku podpisał pakt z diabłem i czerpał z tego korzyści. Myślę, że kluczem jest tu jego psychika. Po pierwsze, Molka miał predyspozycje do tego, żeby prowadzić podwójną grę. Czerpał z tego satysfakcję – takie poczucie dumy, że może być kimś, kto wpływa na rzeczywistość. Po drugie, kto wkracza między wrony, zaczyna krakać tak jak one. Molka zaczął myśleć tak jak jego nowi koledzy z SB. Ci ludzie mu imponowali. Można powiedzieć, że zarazili go dekalogiem *à rebours*, przedstawiając jego dawnych kolegów z Solidarności, przed którymi on ciągle grał opozycjonistę, jako albo agentów obcego wywiadu, albo dziwkarzy, albo geszefciarzy, którzy defraudują pieniądze przychodzące z USA na rzecz podziemia. To pomagało mu się usprawiedliwiać. Kolejna sprawa, która miała znaczenie, to alkohol.



Fot. Leszek Biernacki

Janusz Molka (ur. 1954) – historyk, działacz opozycji demokratycznej, od wiosny 1983 roku tajny współpracownik Służby Bezpieczeństwa o pseudonimach „Majewski”, „C-15” i „Romkowski”, a od grudnia 1984 roku do maja 1990 roku etatowy funkcjonariusz SB na etacie niejawnym (ps. „Nowak”); w III RP pracował m.in. jako nocny stróż i ochroniarz w muzeum

Molka mówi mi wprost: „Moje wyrzuty sumienia były unicestwiane przez wódkę”. Przewoził więc z Warszawy do Gdańska nielegalne wydawnictwa, był traktowany przez kolegów z Solidarności jak bohater – a chwilę po rozmowie z opozycjonistą potrafił pójść kilka bloków dalej, do oficera prowadzącego z SB.

Bardzo szybko zrobił w SB karierę – taką niemal bez precedensu, bo z tajnego współpracownika stał się etatowym funkcjonariuszem.

Molka zdał sobie sprawę z tego, że jego sytuacja jako tajnego współpracownika nie jest rewelacyjna, dlatego że kapusia w każdym momencie można spalić – po to na przykład, by ochronić innego agenta. Poza tym bycie etatowym funkcjonariuszem to także kwestia zdecydowanie większych pieniędzy. Molka z zazdrością patrzył na swoich nowych kolegów, którzy byli oficerami SB. Złożył więc wniosek o przyjęcie w poczet pracowników Służby Bezpieczeństwa. Bardzo szybko zdał egzaminy, bardzo szybko rosło też jego wynagrodzenie. Działo się

tak, ponieważ miał znakomite wyniki jako tajny współpracownik „Romkowski”, a potem jako inspektor „Nowak”. Był, można powiedzieć, wybitnym funkcjonariuszem – i to nie są tylko jego słowa. Także z dokumentów, które zachowały się w Instytucie Pamięci Narodowej, jednoznacznie wynika, że Janusz Molka miał dostęp do każdego ważnego środowiska opozycyjnego w Gdańsku, a w pewnym stopniu również w Warszawie. Wymieńmy kilka nazwisk: Lech Kaczyński, Aleksander Hall, Andrzej Kołodziej, Jan Lityński.

W jaki sposób weryfikować wiarygodność takich źródeł informacji jak byli funkcjonariusze SB? Czy nie obawia się Pan, że w trakcie prac nad książką mógł Pan być manipulowany?

Pytanie, czy Janusz Molka będzie mną manipulował, towarzyszyło mi od początku rozmów. Rozmawiałem z nim przez kilka lat. I przed każdą rozmową powtarzałem sobie, że muszę być świadomy, że rozmawiam z fachowcem od manipulacji. Oczywiście, cały czas starałem się być czujny. Używałem znanych mi technik dziennikarskich. Powtarzałem wiele razy pytania i powracałem wielokrotnie do tych samych sytuacji, żeby sprawdzić prawdziwość rozmowy. Próbowałem konfrontować to, co powiedział mi Molka, z zachowanymi dokumentami. I – chyba najważniejsza rzecz – konfrontowałem jego słowa z tym, co mówią jego dawni

24470/1

Akta osobowe
Nr _____ Przebieg służby (pracy)

Janusz
Golonski
ul. Slesarska w Klaszku

W jakiej
Jednostce

Przebieg służby

Wypor. w SB
u Golonskiego

AKTA OSOBOWE

Nr _____

Ob. MOLKA JANUSZ
s. Franciszka

ARCHIWUM
N. 24470/1

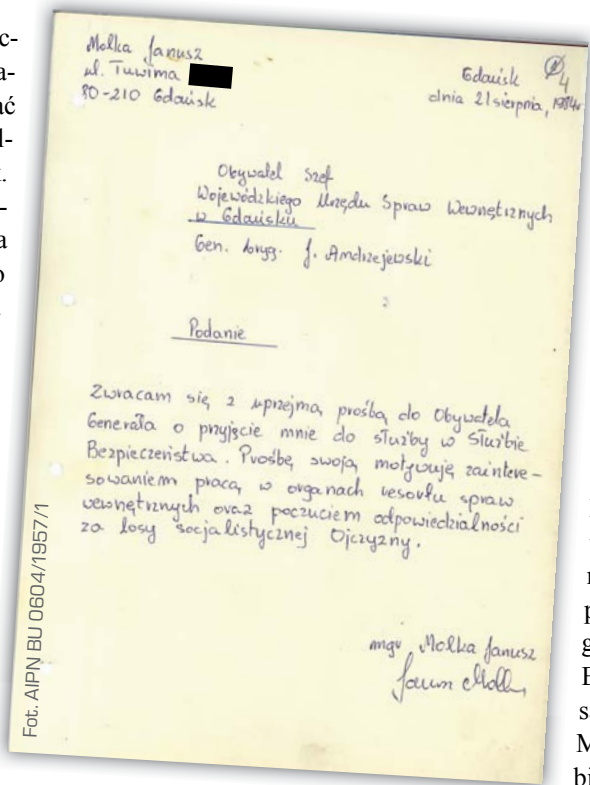
18W0604/1957 t.1

przyjaciele z opozycji: Grzegorz Biercki, Jan Lityński czy prof. Marek Czachor. Staralem się również rozmawiać z ludźmi z SB, którzy pracowali z Molką, takimi jak płk Antoni Rzeźniczek.

Moim zadaniem było danie Januszowi Molce szansy opowiedzenia o tym, co przeżył. Czy wszystko, co mówi, jest prawdą? Być może nie. Nikt nie chce obnażać się do końca. Jest też taka tendencja, żeby usprawiedliwiać to, co się robiło w przeszłości – nawet jeśli Molka nazywa swoje postępowanie złem, a w pewnym momencie wręcz skurwysyństwem. Wiele razy pytałem go o ludzi odgrywających dziś ważną rolę w polityce – o znanych mu dawnych opozycjonistów, którzy mieli kontakty z esbecją. Nie chciał rozmawiać o nazwiskach. Z jego punktu widzenia jest to wiedza zasłyszana od kolegów z SB. Molka w dużej mierze traktuje ją dziś jako swego rodzaju polisę ubezpieczeniową. Mimo że złamał znowę milczenia jak nikt inny z jego kolegów z SB, to wciąż są rzeczy, o których nie odważy się mówić. Chce mieć święty spokój.

Czytając Pana książkę, można wręcz odnieść wrażenie, że Molka – poza pewnymi wyjątkami – nie mówi rzeczy zupełnie nowych.

Z tym akurat się nie zgodzę. Molka jest pierwszym esbekiem, który opowiada wprost o kombinacjach operacyjnych organizowanych przez Służbę Bezpieczeństwa w roku 1989 – najpierw wobec Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”, a potem już wobec legalnie działającej Solidarności i ludzi, którzy z podziemnych opozycjonistów zamienili się w posłów. Mówi o swoich kontaktach z agentem umieszczonym w sejmie kontraktowym. Mówi o pomocy, jakiej Służba Bezpieczeństwa udzieliła kandydującemu do senatu Janowi Józefowi Lipskiemu, który rywalizował wtedy w Radomiu z popieranym przez Kościół Janem Pająkiem. Słowa Molki są pierwszym tego typu świadectwem, że w 1989 roku Służba Bezpieczeństwa wciąż bardzo mocno ingerowała w rzeczywistość polityczną. Nie przypominam sobie innego człowieka z SB, który przyznałby się do tego, że przeprowadzał operacje wobec legalnie działających ugrupowań. Molka opowiada wprost, że za rządów Tadeusza Mazowieckiego SB nadal pracowała. Owszem, ta robota była już inna niż przed wyborami z czerwca 1989 roku, ale twierdzenie, że mieliśmy już wtedy pełną wolność i operacja przekazywania władzy nie była kontrolowana, w świetle słów Janusza Molki jest nieprawdą.



Fot. AIPN BU 0604/1957/1

Po rozwiązaniu SB w 1990 roku Molka chciał wstąpić do nowo utworzonego Urzędu Ochrony Państwa.

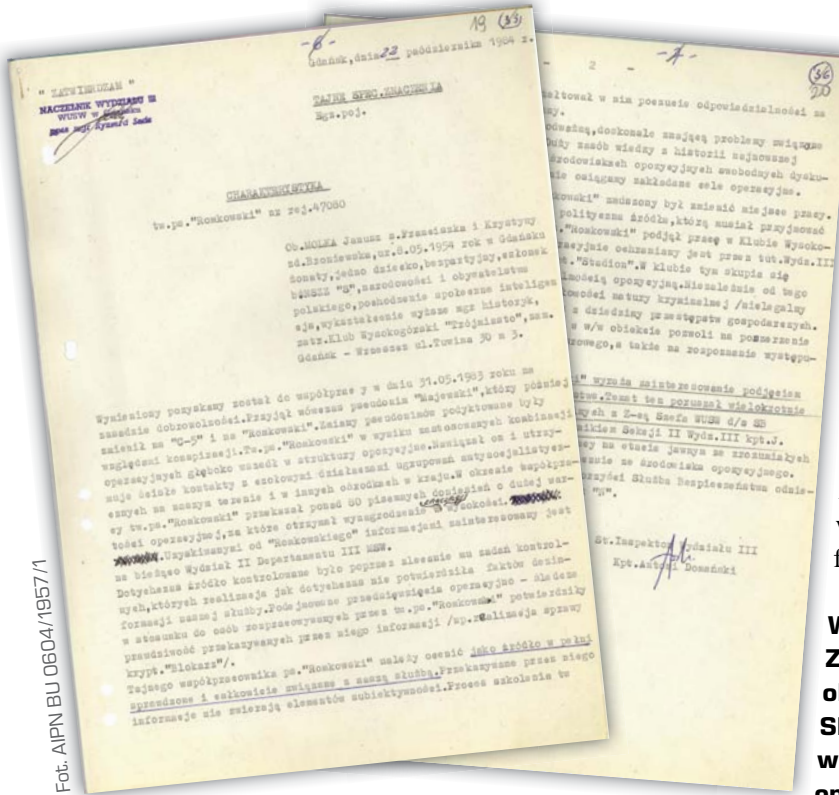
Do dziś jest dla mnie wielką tajemnicą, dlaczego – wiedząc, że w aktach bezpieki gromadzone było dossier na jego temat – złożył podanie o przyjęcie do UOP. Wydaje mi się, że przyczyn było kilka. Po pierwsze, Molka był przekonany, że jego teczka została wyczyszczona. Po drugie, poddał się presji swojego przełożonego z SB, płk. Wacława Króla. Był to dalszy ciąg gry. Molka sam do końca nie wie, jakiej. Mam wrażenie, że tu się zagubił. Dawał mi do zrozumienia, że być może płk Król – mający

ponoć doskonałe kontakty z rezydenturą KGB w Warszawie – chciał go zamrozić w nowych służbach.

Molka – wciąż uchodzący wtedy za wybitnego opozycjonistę – dostał rekomendację do pracy w UOP od znanych działaczy Solidarności z Warszawy i Gdańska. Najprawdopodobniej jednak doniósł na niego jeden z jego kolegów z SB, który znalazł zatrudnienie w Urzędzie Ochrony Państwa i chciał się przypodobać nowym szefom. Molka został wezwany na poważną rozmowę z twórcami UOP – Andrzejem Milczanowskim i Konstantym Miodowiczem. Twierdzi, że szantażowano go usunięciem ze służbowego mieszkania SB, jeśli nie zgodzi się zostać tajnym współpracownikiem Urzędu Ochrony Państwa. Milczanowski i Miodowicz twierdzą, że takiej oferty w ogóle nie było.



Fot. AIPN BU 0604/1957/1



Fot. AIPN BU 0604/1957/1

Zalóżmy, że była. Dlaczego Janusz Molka odmówił współpracy z UOP?

Gdyby – nawet po zdemaskowaniu go przez kierownictwo UOP – dostał ofertę pracy w nowej służbie jako etatowy funkcjonariusz, to być może przyjąłby taką propozycję. Ale zwykłym TW być nie chciał. Patrzył zresztą z pogardą na szefów Urzędu Ochrony Państwa. Dla niego to były solidaruchy.

Gdy – jak twierdzi – odrzucił ich propozycję, w obieg została puszczona informacja, że był człowiekiem SB. W tym momencie był podwójnie przegrany: stracił nie tylko pracę, ale i kolegów z Solidarności, którzy do tego momentu uważali go za przyjaciela, a dla których okazał się zdrajcą. Był potem ogromnie rozgoryczony. Z jednej strony nienawidził swoich kolegów z niedawnej opozycji, a z drugiej strony miał żal do kolegów z SB, że mu nie pomogli. Co więcej, Molka mówi dziś, że przy ludziach z SB, którzy znaleźli pracę w UOP, on był karzełkiem. Stąd ten olbrzymi żal, że im się udało, a jemu nie.

W książce pojawia się teza, że części agentów SB, którzy działali w kręgach opozycji, nie udało się ujawnić, ponieważ zostali przewerbowani przez UOP. Czy Molka mówi prawdę i czy może mieć wiedzę na ten temat?

Wydaje mi się to bardzo prawdopodobne. Wprawdzie Andrzej Milczanowski i Konstanty Miodowicz zaprzeczają, że próbowali zwerbować Molkę, zarazem jednak wyznali mi, że były przypadki werbowania dawnych agentów SB

przez UOP. Ich słowa potwierdzają coś, co dla ludzi zajmujących się służbami specjalnymi jest oczywistością – że nowe służby w momentach transformacji korzystają z zasobów dawnej agentury. Wielu niemieckich oficerów z czasów III Rzeszy znalazło pracę w służbach specjalnych RFN. Tylko ktoś naiwny mógłby myśleć, że podobne przypadki nie miały miejsca w Polsce. Tożsamość osób, które były tajnymi współpracownikami SB, a później dały się przewerбовать przez UOP, jest jednak w naturalny sposób chroniona przez nowe służby. Uważam, że jest z tym problem. Bo ja na przykład chciałbym wiedzieć, czy ludzie, którzy pełnią dziś ważne funkcje publiczne, nie byli agentami.

Wróćmy jeszcze do lat osiemdziesiątych. Z opowieści Janusza Molki wyłania się obraz bardzo profesjonalnie działającej SB – wręcz ostatniej sprawnej instytucji w PRL-u – i dość nieudolnie konspiracyjnej opozycji. Ile w tym jest prawdy? Bo z drugiej strony mamy wspomnienia dawnych opozycjonistów, którzy chwalać się, jak to udawało im się przechytrzyć SB.

Prawda leży gdzieś pośrodku. Fakt, że SB w dużej mierze kontrolowała działalność opozycji, że miała agentów właściwie w każdej grupie opozycyjnej, jest dla mnie oczywisty. Potwierdza to choćby lektura teczek, które zachowały się w IPN. Wydaje mi się, że Molka mówi prawdę, gdy opowiada o tym, że w tym całym PRL-owskim bałaganie SB była jedyną instytucją, która przekazywała sprawdzone informacje. Nie przypadkiem gen. Wojciech Jaruzelski zdecydował, że Okrągły Stół zorganizuje gen. Czesław Kiszczak, odpowiadający – jako minister spraw wewnętrznych – za tajne służby. SB, jak sądzę, wiedziała więcej, niż myśleli wtedy opozycjoniści. Nie wiedziała wszystkiego, ale wiedziała bardzo dużo. Molka opowiada też o mechanizmach, jakie Służba Bezpieczeństwa stosowała wobec opozycjonistów. Czyli – jednych „wspieramy”, drugich „kasujemy”. Jednym pozwalamy – mimo że wiemy, gdzie się ukrywają – żeby nadal działali w podziemiu; za to innych pakujemy do więzienia. To była normalna gra. Bezpieka nie była bandą kretynów, tępych rzeźmieszaków i sadystów. To byli bardzo inteligentni fachowcy, którzy w jakimś sensie prowadzili politykę przy użyciu tajnych służb. Wiedzieli, że promuje się opozycjonistów bardziej umiarkowanych, którzy nie chcą iść na barykady, a nie „jastrzębi”, którzy mówią, że nigdy nie będą z komunistami rozmawiać i zastanawiają się nawet nad twardymi metodami rozprawy z władzą. Molka przynajmniej, że realizował takie zadania dla SB. Miał też

za zadanie skłócać środowiska opozycyjne. Wystarczyło, że sęczył pewne wątpliwości dotyczące różnych działaczy Solidarności – że ktoś jest agentem, że ktoś inny jest złodziejem i oszustem – i w ten sposób w szeregach opozycji wzmagala się atmosfera nieufności.

Owszem, opozycjoniści stosowali rozmaite metody konspiracji. Nie rozmawiano w domu. Starano się czasami pisać na kartkach, podejrzewając, że w mieszkaniu może być podsłuch. Ale już np. gadulstwo opozycjonistów było nieprawdopodobne. W jakimś sensie to zrozumiałe. W niemal każdym człowieku jest potrzeba pochwalenia się tym, co się zrobiło. Dzisiaj wiele osób z opozycji, z którymi rozmawiał Molka, przekonuje mnie, że niewiele mu mówili. Rozumiem ich, bo nikt nie chce przecież wyjść na kogoś, kto został ograny. Ale z drugiej strony są tylko ludźmi. Nikt nie uczył ich profesjonalnych zasad konspiracji. Nie mówię tego po to, żeby deprecjonować opozycjonistów. Oni dawali z siebie wszystko i większość z nich to bohaterowie. To Molka jest odpowiedzialny za to, że wykorzystywał uzyskane od nich informacje i pisał na ten temat raporty.

Janusz Molka mówi też o historiach wstydlivych dla opozycji, takich jak np. przywłaszczanie funduszy przeznaczonych na działalność wydawniczą. Czy można powiedzieć, że w historiografii opozycji w PRL jest to wciąż temat tabu?

Myślę, że tak. Aczkolwiek moim celem nie było wcale odbrązawianie opozycji. Nie chciałem pokazać, że opozycja była bandą oszustów, którzy grabili pieniądze z Zachodu. Bo przecież tak nie było. Byli w opozycji ludzie uczciwi, szlachetni, bohaterowie, którym trzeba stawiać pomniki. Ale zdarzały się też przypadki defraudowania pieniędzy. Z oczywistych powodów opozycja nie mogła prowadzić księgowości, tak jak to robią funkcjonujące dzisiaj firmy. Nie mogła odnotowywać, kto otrzymał ile pieniędzy, a potem rozliczać wydatków. Nie mogła, bo bała się, że w momencie wpadki to wszystko zostanie zdobyte i wykorzystane przez SB. W związku z tym działalność opozycji opierała się na zaufaniu. Jeżeli nie miało się do kogoś zaufania, to się z nim nie współpracowało. Zdarzało się jednak, że ludzie nieuczciwi – albo agenci SB – brali np. dwa tysiące dolarów, mieli przekazać komuś określoną sumę, a później okazywało się, że te pieniądze gdzieś po drodze ginęły. Mam wrażenie, że niektórzy dawni opozycjoniści pełniący dzisiaj funkcje państwowe chcieliby, żeby opowieść o czasach podziemnej Solidarności była opowieścią o świętych. Taka opowieść byłaby jednak fałszywa. Z komuną walczyła grupa ludzi o różnych charakterach i słabościach.

Czy paradoksalnie nie jest tak, że postawa zmierzania się z własną przeszłością, jaką wybrał Molka, jest dzisiaj mniej oplacalna – że w lepszej sytuacji są ci,

k którzy konsekwentnie wypierają się współpracy z SB, choć zachowały się obciążające ich materiały?

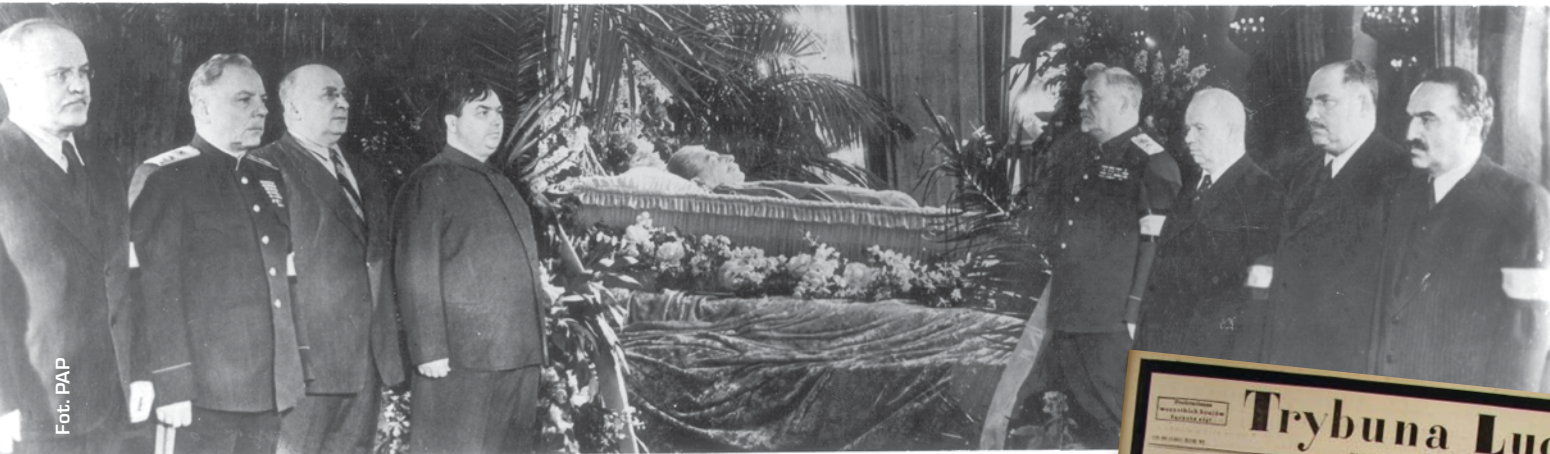
Rzeczywiście. Dzisiaj Janusz Molka jest pewnie uważany przez wielu za frajera – za osobę, która niepotrzebnie biczuje się publicznie. Jego koledzy z SB myślą prawdopodobnie, że po pierwsze, nie ma się z czego spowiadać, bo wszystkie tajne służby na świecie używają takich samych metod, a po drugie – Molka jest osobą przegraną, bo nie korzysta dziś z kontaktów ze swoimi dawnymi znajomymi ze Służby Bezpieczeństwa, tylko żyje własnym życiem. Wielu byłych przyjaciół z Solidarności w dalszym ciągu uważa go za zdrajcę. Z kolei ludzie z SB również mają go za zdrajcę, bo opowiedział o kulisach pracy w tej instytucji, i to w sposób bardzo krytyczny. Profesor Marek Czachor mówi, że paradoksalnie współczuje Molce, dlatego że jest to jeden z nielicznych agentów, którzy zostali pokazani palcem, podczas gdy ci, którzy dopuścili się być może jeszcze większych świństw, zajmują dzisiaj prestiżowe stanowiska. I nie tylko nie mają ochoty na publiczną spowiedź, ale wręcz zaprzeczają nawet elementarnym dowodom na swoje uwikłanie we współpracę z SB. W tym sensie Janusz Molka jest człowiekiem odważnym. Wydaje mi się, że warto docenić jego odwagę. Warto docenić to, że zdecydował się na powiedzenie prawdy. Nawet jeśli jedna trzecia z tego, co powiedział, byłaby nieprawdą, to uważam, że warto było z nim porozmawiać.

Z drugiej strony w jego wypowiedziach pojawia się czasem coś w rodzaju dumy z działalności w SB. Z tego, że był tak dobry w tym, co robił.

To prawda. Janusz Molka jest tylko człowiekiem. Nie jest wolny od pychy. Czerpał dumę z tego, że generałowie z SB klepali go po plecach, mówiąc: „Jesteś fantastyczny”. Czuł się demiurgiem, kreatorem rzeczywistości. Z drugiej strony przyznaje dziś, że wszystko, co wtedy czynił, jest złe.

Molka wspomina, że często na pierwszym planie stawia się dziś SB, zapominając, że za Służbą Bezpieczeństwa stała partia komunistyczna.

To bardzo ważna konstatacja. Faktycznie często jest tak, że wskazujemy „tych złych” z SB, a zapominamy o dygnitarzach z Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Dzisiaj dawni funkcjonariusze PZPR bronią się zresztą, że SB była państwem w państwie i nie mieli na tę instytucję żadnego wpływu. To oczywiście nieprawda. Służba Bezpieczeństwa była mieczem, którego używała partia, żeby rządzić bezwzględnie i w sposób dyktatorski. Molka mówi, że wykonywał świńskie polecenia, niemające nic wspólnego z dekalogiem, ale przypomina, że za robotę SB odpowiadają ludzie, którzy byli we władzach PZPR. Podział na złą SB i dobrą, nic niewiedzącą partię jest fałszywy. ■



Fot.: PAP

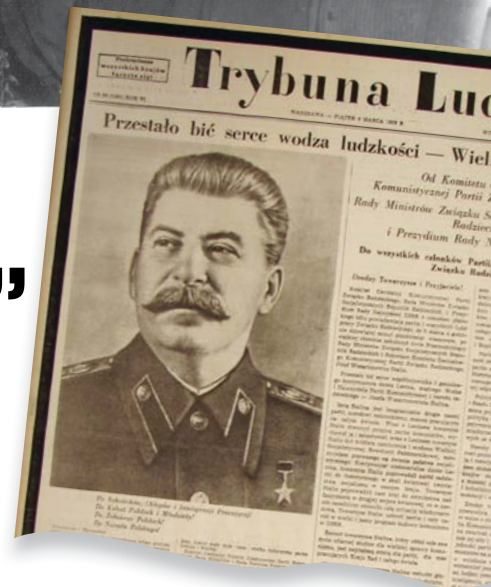
„... ból nasz wielki po wielkim Stalinie”

Emilia Świętochowska

Sześćdziesiąt lat temu, 5 marca 1953 roku, zmarł Józef Stalin. Czy starannie wyreżyserowany przez władze spektakl rozpacz, która rzekomo ogarnęła całą Polskę i inne kraje „demokracji ludowej”, był odzwierciedleniem autentycznych nastrojów społecznych? Czy może jednak żal i smutek przegrały z radością i nadzieją na lepsze jutro? Emocje wywołane tym wydarzeniem wymykały się spod kontroli rządzących i nie zawsze były takie, jakich by sobie życzyli.

Informacje o śmierci przywódcy ZSRR pojawiły się w prasie i radiu 6 marca 1953 roku. Gazety w PRL ukazały się tego dnia później niż zwykle, ponieważ redakcje musiały mieć czas na przygotowanie żałobnych zdjęć i artykułów o zmarłym „niezlomnym przyjacielu narodu polskiego”. Radio nadawało wyłącznie muzykę poważną. Ogólnopolski Komitet Uczczenia Pamięci Józefa Stalina, w którego skład weszli najważniejsi przedstawiciele władz partyjnych i państwowych z przewodniczącym Rady Państwa Aleksandrem Zawadzkiem na czele, błyskawicznie opracował wytyczne do przygotowania uroczystości żałobnych. Flagi narodowe miały zostać przybrane kirem i opuszczone do połowy masztów. Portrety Stalina, również z żałobną czernią, należało umieszczać

w widocznych miejscach. W zakładach pracy, szkołach, spółdzielniach wiejskich zwoływano zebrania, wiece i masówki, podczas których odczytywano komunikat o śmierci „chorążego pokoju”. Po przekazaniu tej informacji następowała minuta ciszy i wtedy zebrani na stojąco oddawali zmarłemu cześć. Organizatorzy wieców w sprawozdaniach przekazywali, że uczestnicy zebrań byli poważni, smutni, a nawet przygnębieni, wiele osób płakało. Nie sposób rozstrzygnąć, w jakim stopniu te emocje były prawdziwe i wynikały z faktycznego żalu po śmierci Stalina. Na pewno jakaś część społeczeństwa uwierzyła w socjalizm i jej rozpacz nie była udawana. Można jednak chyba zaryzykować stwierdzenie, że dużo większa grupa odczuwała niepewność. Obawiano się wybuchu wojny, a pogłoski o niej były



► U góry: dygnitarze ZSRR przy trumnie wodza; od lewej: Wjaczesław Mołotow, marszałek Kliment Woroszyłow, Ławrientij Beria, Gieorgij Malenkow, Nikołaj Bułganin, Nikita Chruszczow, Łazar Kaganowicz i Anastas Mikojan; Moskwa, 12 marca 1953 roku; niżej: żałobne wydanie „Trybuny Ludu”

na tyle powszechne, że władze terenowe organizowały spotkania z agitatorami, którzy przekonywali Polaków, że socjalizm przetrwa, a do konfliktu zbrojnego nie dojdzie. Nie wierzyli w to ci, którzy liczyli na wybuch III wojny światowej i zwycięstwo Amerykanów, a co za tym idzie – zmianę ustroju.

Kurnik w holdzie

Oficjalnie jednak żałobą okryła się cała Polska. Gazety pełne były artykułów o tym, jak zwykli ludzie pragnęli uczcić pamięć Stalina. Najczęściej pisano o zobowiązaniach produkcyjnych podejmowanych przez załogi fabryk, rolników, a nawet uczniów. Prasa przedstawiała je jako

spontaniczne inicjatywy, w rzeczywistości jednak obowiązywały do nich wytyczne władz. Chłopi zobowiązywali się np. do zakończenia siewów przed terminem, zakładania nowych spółdzielni produkcyjnych, a nawet, jak to miało miejsce w jednej z miejscowości w powiecie oleckim, do zbudowania kurnika dla pięciuset rasowych kur. Robotnicy obiecywali zwiększyć wykonywane normy. W Zakładach Fajansowych w Pruszkowie przyrzeczono

„wzmocnić czujność”. Wszyscy też zobowiązywali się pracować wedle wskazań Stalina i kontynuować rozpoczęte przez niego dzieło. W zakładach pracy powoływano warty stalinowskie, które kontrolowały wykonanie zaplanowanych zadań. Jedna z urzędniczek podjęła się „poza normalną swą pracą otaryfować trzydzieści wniosków w Inspektoracie Powiatowym na miasto stołeczne Warszawę”.

W szkołach uczniowie i nauczyciele uczestniczyli w akademiach ku czci zmarłego Stalina. Władze oświatowe przesyłały do szkół teksty pogadank, które pedagodzy musieli wygłaszać swoim podopiecznym. Na lekcjach pisano wypracowania o Stalinie. Oto fragmenty prac najmłodszych dzieci: „Stalina nazwisko żyć będzie, a plany Stalina będą wykonane”; „Gdy nam zabrakło zboża, Józef Stalin pierwszy spichrze otworzył, przysłał nam surowce i maszyny”. Skala indoktrynacji, której było przeciw poddawane całe społeczeństwo, w przypadku dzieci jest chyba najbardziej poruszająca. Na szkolnych korytarzach i w salach ustawiano portrety Stalina, a młodzież (zwłaszcza zrzeszona w Związku Młodzieży Polskiej i działającej w jego ramach Organizacji Harcerskiej) pełniła przy nich warty honorowe. Na wzór robotników uczniowie i nauczyciele podejmowali zobowiązania, których wykonanie miało być hołdem dla zmarłego „nauczyciela polskiej klasy robotniczej”. Uczniowie obiecywali poprawić oceny, starsza młodzież zgłaszała akces do ZMP. Zarówno wychowawcy, jak i podopieczni przyrzekali zgłębiać życiorys Stalina i postępować według jego wskazań.

Dwójmyślenie

W uroczystości upamiętniające Stalina władze zaangażowały również artystów. Od aktorów, pisarzy, poetów oczekiwano publicznego oplakiwania „źródła twórczych natchnień ludzi pracy w Polsce”. Ludzi kultury rzeczywiście nie zabrakło podczas manifestacji i wieców, gazety zamieszczały też wiersze i wspomnienia takich twórców, jak np.: Konstanty Ildefons Gałczyński, Władysław Broniewski, Julian Tuwim, Maria Dąbrowska, Zofia Nałkowska czy Wisława Szymborska. I chociaż wielu ówczesnych artystów prywatnie prezentowało zupełnie inną postawę, ich oficjalne stanowisko było zgodne z życzeniem władzy. W swoich *Dziennikach* Maria Dąbrowska 30 marca 1953 roku zapisała: „Śmierć Stalina wstrząsnęła mną z dwu powodów. Raz jako wydarzenie mogące przynieść nieobliczalne zmiany w Rosji, w Polsce, na świecie. Dwa – jako wstrętne okoliczność zmuszająca natrętnie do tzw. wypowiedzi”.

Warto wspomnieć, że do „tzw. wypowiedzi” nie dał się zmusić „Tygodnik Powstaniecki”. Jego redakcja nie napisała artykułu ku czci Stalina. Władze, oczekujące, że „Tygodnik” wpisze się w ogólnonarodowy żałobny trend, zamknęły pismo. Ostatni numer (414) ukazał się 8 marca 1953 roku. Przed trudnym wyzwaniem stanęło też pismo „Po Prostu”. Gdyby na jego okładce znalazła się informacja, że zmarł Stalin, brzmiałaby ona „Po prostu zmarł

Stalin”. Problem rozwiązano w ten sposób, że tytuł gazety umieszczono na dole strony.

Według oficjalnych danych, śmierć Stalina skłoniła wiele osób do wstąpienia w szeregi Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. W rzeczywistości jednak liczebność PZPR nie wzrastała wówczas tak dynamicznie. Informacje o tym były zatem kolejnym elementem kreowania rzeczywistości przez rządzących.

„W czwartek wieczorem zdechł Stalin”

W prywatnych rozmowach, w gronie zaufanych osób, ludzie często pozwalali sobie na szczere wypowiedzi. Jedna z kobiet tak skomentowała śmierć Stalina: „Ludzie płaczą po Stalinie, a nie wiedzą, ile krzywdy wyrządził Polakom, wywołując ich na Sybir”. Pewien mężczyzna stwierdził, że „gdyby Stalin dalej rządził, to niedługo nie mielibyśmy chleba i oduczyłby nas jeść”. Część chłopów zamierzała też wycofać się ze złożonych wcześniej zobowiązań zakładania spółdzielni produkcyjnych w przekonaniu, że po śmierci Stalina „w ZSRR nie będzie kołchozów, a w Polsce spółdzielni produkcyjnych”. Pojawiła się też opinia, jakoby śmierć Stalina była spowodowana wyrzutami sumienia za zbrodnię katyńską.

Szczerze wyrażano się w listach kierowanych do najbliższych. Jedna z uczennic Liceum Pedagogicznego w Bielsku Podlaskim pisała tak: „Mamusiu, w czwartek ▶



Fot. Wdowiński/PAP

▶ Dzień żałoby narodowej po śmierci Józefa Stalina; na zdjęciu uczniowie jednej ze szkół Towarzystwa Przyjaciół Dzieci w czasie warty pod portretem generalissimusa

Tytuły, którymi prasa obdarzała Stalina

- twórca ustroju kolchozowego
- człowiek, który obejmował swym dalekosiędnym wzrokiem szeroki horyzont dziejów i sięgał swą myślą w daleką przyszłość
- człowiek, który wygrał wszystkie bitwy
- człowiek o darze naukowego przewidywania
- człowiek o niezwyklej pamięci
- ten, który pokochał prostych ludzi
- inżynier naszych marzeń
- realizator marzeń i tęsknot całej ludzkości
- rzeczywisty wielki motorniczy naszej epoki
- żywe wcielenie najpiękniejszych ideałów i najsmielszych marzeń całej postępowej ludzkości
- jeden z majstrów rewolucji
- wczoraj, dziś i jutro światowej rewolucji
- obrońca najwyższego dobra ludzkości przed zamierzeniami nowych podpalaczy świata
- opiekun postępowego chłopstwa
- wyzwoliciel świata od tyranii
- genialny umysł, płomiennie uczucie, żelazna wola w służbie rewolucji
- myśliciel, z którego wskazań czerpalimy i czerpać będziemy natchnienie w sztuce
- mistrz słowa jasnego, dobitnego i zrozumiałego dla wszystkich, a zarazem zachowującego całą głębię problemu, przedstawiającego rzeczy najtrudniejsze i najbardziej skomplikowane
- wielki humanista
- najserdeczniejszy przyjaciel szarego człowieka
- Stalin to coś, czego wyzyskiwacze, podżegacze wojenni i maniacy atomowi nigdy nie będą mogli zrozumieć
- Stalin to szczęśliwe dzieciństwo i nadzieja spokojnej starości

wieczorem zdechł Stalin, co ci tam się u nas wyrabia, to nie ma pojęcia. Tylko całymi dniami słuchamy tych audycji o tym Stalinie. Maturzyści tylko wciąż płaczą, że już matury nie zdadzą, bo mówią, że będzie wojna. Na lekcjach tylko mamy różne pogadanki o tym Stalinie i żeby wzmocnić czujność,



Fot. Wdowicki/PAP

► Gmach KC PZPR w Warszawie w dniu oficjalnej żałoby narodowej po śmierci Józefa Stalina; 9 marca 1953 roku

bo imperialiści dążą do wojny i chcą wykorzystać tę chwilę, tylko nam tak mówią. Na całym mieście dziś są flagi czerwone i czarne. Wszystkie portrety Stalina są poprzewijywane czarnymi wstążkami”. W innym liście przejętym przez cenzurę w Łodzi czytamy: „Znać wiele troski władz o to, byśmy wyszli stąd wzbogaceni w wiedzę i umieli słać tych, którym nie zawdzięczamy”.

Dzwonnicy z ZMP

Pogrzeb Stalina odbył się 9 marca 1953 roku. W tym dniu w Polsce doszło do tysięcy wieców, akademii i zebrań. Zarządzono też pięciominutową ciszę, w czasie której cały kraj miał oddać Stalinowi hołd. Nakazano wstrzymać pracę i zajęcia w szkołach, zatrzymywać się miały samochody i autobusy. W świątyniach miały bić dzwony.

Na pewno w dużym stopniu społeczeństwo dostosowało się do tych nakazów. Zachowały się jednak relacje mówiące o tym, że podczas uroczystości żałobnych Polacy okazywali radość, obejmowali się i cieszyli. W niektórych szkołach żartowano podczas zarządzanej pięciominutowej ciszy, w salach słychać było śmiechy, a nauczyciele – ku oburzeniu władz – w ogóle na to nie reagowali. W jednej ze szkół w Sokółce na Podlasiu

zniszczono nawet portret Stalina, wydłubując w nim oczy. Również księża nie zawsze uruchamiali dzwony, argumentując to brakiem polecenia władz kościelnych lub faktem, że Stalin nie był katolikiem, więc dzwony kościelne nie są mu potrzebne. Władze były przygotowane na taką ewentualność i zadbały o to, aby w tych parafiach, gdzie obawiano się, że ksiądz nie wypełni polecenia, zrobili to grupy młodzieży z ZMP.

Uroczystości żałobne po śmierci Józefa Stalina przebiegły według scenariusza szczegółowo zaplanowanego przez władze. Rządzący nie mieli zaufania do Polaków i nie zezwolili tu na jakąkolwiek spontaniczność. Mimo wszechobecnej kontroli w całym kraju doszło do manifestacji uczuć, które z żałobnymi nie miały nic wspólnego. Olbrzymi rozdźwięk między okazywanymi publicznie a rzeczywistymi odczuciami Polaków udowodnił, że podjęta przez komunistyczne władze próba stworzenia „nowego człowieka” się nie powiodła. Udało się jedynie zastraszyć większość społeczeństwa, sprawiając, że na szczere wyrażanie własnych poglądów pozwalano sobie tylko w gronie najbardziej zaufanych osób. ■

Korzystałam z książek Roberta Kupieckiego *Natchnienie milionów. Kult Józefa Stalina w Polsce 1944–1956*, Warszawa 1993, Tomasza Danileckiego i Marcina Zwolskiego *Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Bielsku Podlaskim*, Białystok 2008 i artykułu *To nie wiatr, to szloch* Michała Zarzyckiego, „Karta” nr 37, Warszawa 2003.

Emilia Świętochowska – pracownik OBEP IPN w Białymstoku



Od Katowic do Stalinogrodu, czyli zmiana na telefon

Grzegorz Bęblik

Przemianowanie Katowic na Stalinogród do dziś pozostaje najbardziej jaskrawym i bezceremonialnym przykładem „gwałtu symbolicznego”. Termin ten, ukuty swego czasu dla określenia relacji między kolonizatorem a kolonizowanym, w nadspodziewanie klarowny sposób może opisywać również i „drugi chrzest” górnośląskiej metropolii.

Armia Czerwona zajęła Katowice w styczniu 1945 roku. Choć do 1939 roku miasto – jako stolica autonomicznego województwa śląskiego – stanowiło integralną część II Rzeczypospolitej, ze strony krasnoarmiejców nie zostały mu oszczędzone zniszczenia i gwałty typowe dla „niemieckiej”, zachodniej części Górnego Śląska. Pracy na Berlin pijani bojcy spalili znaczną część katowickiego rynku, o mniej może spektakularnych, za to bardziej dla zwykłego katowiczana dotkliwych wyczynach nie wspominając. Spotkanie z nowym porządkiem już na samym wstępie nie zapowiadało się zatem dobrze. A miało być jeszcze gorzej.

Katowice z jednej strony dzieliły losy intensywnie sowietyzowanej powojennej Polski, z drugiej zaś musiały dodatkowo doświadczyć próby przeorientowania całej ich dotychczasowej historii; mieli z niej zniknąć niemieccy ojcowie miasta, a jego dzieje miały odtąd składać się li tylko z walk miejscowego proletariatu, w których element klasowy nierozdzielnie miał się stapiać z narodowym.

Dzwoni Berman, dzwoni Bierut

Ukoronowaniem przemian prowadzonych wszelkimi możliwymi sposobami stała się zmiana nazwy miasta. Do niedawna dość powszechnie przyjęło się uważać, że inicjujący tę kuriozalną

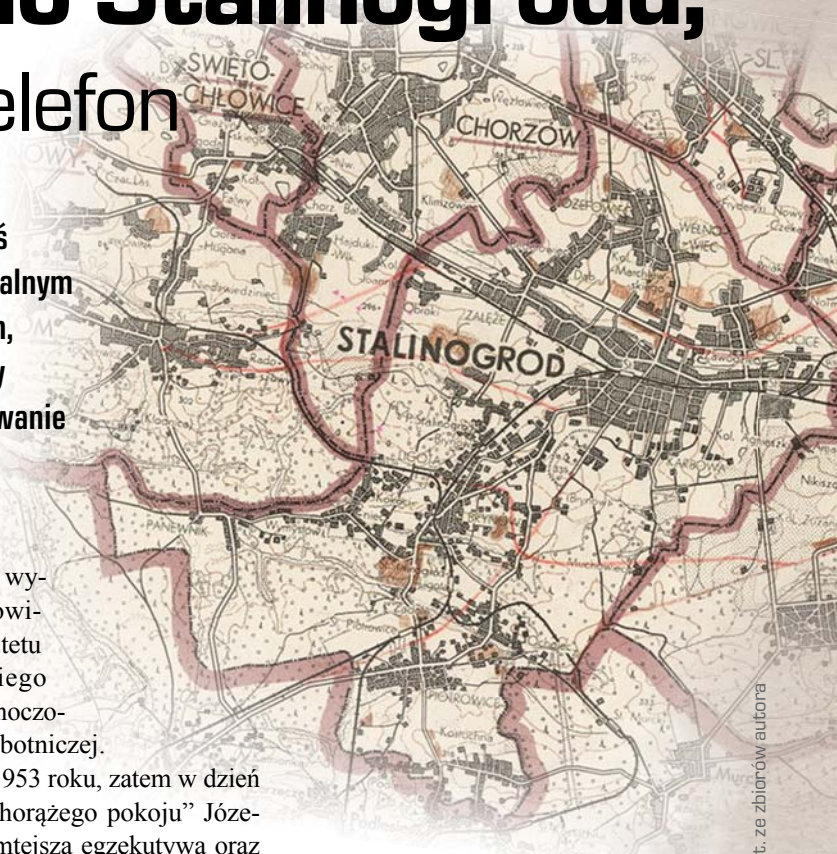
akcję impuls wyszedł z katowickiego Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Już 6 marca 1953 roku, zatem w dzień po zgonie „chorążego pokoju” Józefa Stalina, tamtejsza egzekutywa oraz prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej na specjalnym zebraniu miały się zwrócić do Komitetu Centralnego PZPR oraz Rady Ministrów o „uhonorowanie” miasta imieniem zmarłego tyra. Jak było naprawdę? Otóż wola nie tylko mieszkańców, lecz nawet władz miejskiego czy wojewódzkiego szczebla nie miały tu najmniejszego znaczenia. Najprawdopodobniej – jak wynika ze wspomnień Edwarda Gierka, a także z brzmienia dokumentów egzekutywy KW – scenariusz narodzin Stalinogrodu był bowiem następujący: 7 marca rano członek Biura Politycznego KC PZPR, Jakub Berman, zadzwonił do ówczesnego I sekretarza KW w Katowicach, Józefa Olszewskiego, bezceremonialnie przekazując mu polecenie zmiany nazwy miasta. Wobec wykrętów Olszewskiego, przerażonego takim niespodziewanym „prezenterem”, Berman zadzwonił powtórnie. Sprawę rozstrzygnął dopiero trzeci telefon, tym razem od samego I sekretarza KC Bolesława Bieruta. Wielkorządca z ramienia

► Fragment mapy Polski z 1953 roku: Śląsk bez Katowic...

Kremla miał zagrozić rozwiązaniem egzekutywy KW, co dla samego Olszewskiego oraz innych regionalnych kacyków oznaczałoby utratę posad, a także trwałe być może wypadnięcie z orbity władzy. Nie było zatem wyjścia – 7 marca na wspólnym posiedzeniu egzekutywa KW oraz prezydium WRN jednogłośnie zatwierdziły podstawiony im wniosek, firmując przy okazji fikcję z „wysłuchaniem się w głos katowickiej klasy robotniczej” i spełnianiem woli „szerokich mas”. Nie zwracano sobie przy tym głowy, jak to w PRL, prawnymi niuansami – choć zmiany nazwy miasta była władna dokonać jedynie ówczesna Rada Państwa, wnioski skierowano do... KC PZPR, mimowolnie (?) dając do zrozumienia, gdzie znajduje się właściwy ośrodek władzy.

Według dość powszechnie funkcjonującej wówczas anegdota, imieniem Stalina zamierzano początkowo ►

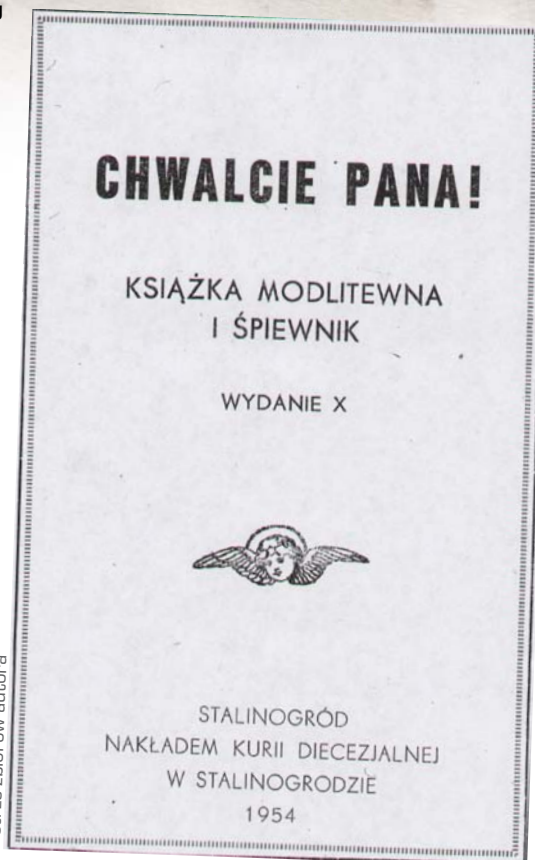


Fot. ze zbiorów autora

obdarzyć Częstochowę. Zapobiec miała temu trzeźwa uwaga któregoś z decydentów, że z tego musiałyby wynikać jeszcze jedna zmiana: Matki Boskiej Częstochowskiej na Matkę Boską... Stalinogrodzką. Na pewno rozważano „przechrzczenie” powstających właśnie jako „miasto socjalistyczne” Nowych Tychów. To, że w końcu ów smutny los stał się udziałem Katowic, bez wątpienia było związane z gospodarczą strukturą miasta i regionu, tworzącego największe w PRL skupisko przemysłu ciężkiego.

Jeszcze tego samego dnia, 7 marca, Rada Państwa wydała odpowiedni dekret, już nazajutrz opublikowany w Dzienniku Ustaw. Imponujące zgoła tempo zostało zachowane, jak widać, również i na tym szczeblu władzy. Ponieważ jednak dekrety Rady Państwa wymagały zatwierdzenia przez sejm, zdecydowano się na kolejną już ponurą komedię. Do złożenia wniosku o zatwierdzenie zmiany nazwy wyznaczono ówczesnego posła z ramienia Stronnictwa Demokratycznego, Gustawa

Fot. ze zbiorów autora



► Po zmianie nazwy miasta imię wodza komunizmu Stalina musiało znaleźć się także na kartach literatury religijnej – strona tytułowa śpiewnika z 1954 roku

Morcinka. Powiedzieć zaś, że Morcinek był wówczas na Górnym Śląsku postacią znaną, oznaczałoby pozbawić rzecz całą właściwych jej wymiarów. Pochodzący z Zaolzia pisarz był czołowym propagatorem górniczego etosu, a dzięki umiejętnemu „podczepieniu się” pod socrealizm jego książki były na Górnym Śląsku lekturą obowiązkową. Toteż właśnie jemu przypadł w udziale wątpliwy zaszczyt wygłoszenia sprawozdania o przemianowaniu Katowic na Stalinogród i województwa katowickiego – na stalinogrodzkie. Jak wspominał później obecny przy tym Kazimierz Wyka, Morcinek „błąd jak ściana, drętwym głosem odczytał tekst”. Pisarz na pewno już wówczas zdawał sobie sprawę z haniebnego roli, jaka została mu narzucona i jaka na zawsze już zaciążyć miała na jego wize-

► Pierwszy pochód pierwszomajowy w Stalinogrodzie, 1 maja 1953 roku



Fot. Kazimierz Seko/zbiory Dźródła KARTA

runku. Nie zdobył się jednak na jakikolwiek gest, który przysze pokolenia mogłyby zinterpretować jako bierny choćby protest.

Oporne społeczeństwo

Inaczej zareagowali mieszkańcy uszczęśliwianego na siłę miasta i województwa. Jak wspomina Morcinek, już kilka dni po jego sejmowym wystąpieniu zaczęły doń napływać „listy ze strasznymi pogroźkami”. Mieszkańcy miasta ostentacyjnie używali dawnej nazwy, kupując bilety czy adresując listy. Na najbardziej wyrazisty opór zdecydowały się trzy nastoletnie wówczas uczennice z Chorzowa: Natalia Piekarska, Zofia Klimonda i Barbara Galas. Własnoręcznie przygotowały one ulotki z tekstem „Precz ze Stalinogrodem”, które następnie rozrzuciły w mieście. Odwet rozsierdzonej tym aktem „ludowej” władzy był straszny: po koszmarnym śledztwie, w procesie 8 czerwca 1953 roku najstarsza z trójki, siedemnastoletnia Barbara Galas, została skazana na cztery lata więzienia, a dwie młodsze nastolatki umieszczono w zakładach poprawczych. Ówczesny dziennikarz „Życia Warszawy” Leszek Moczulski otrzymał zaś na kilka lat zakaz wykonywania zawodu, kiedy w jednym z artykułów użył właściwej nazwy miasta nad Rawą.

Skala operacji mającej na celu zatarcie pamięci po Katowicach była, jak na warunki „gospodarki niedoborów” PRL, zgoła gigantyczna. Najdosłowniej z dnia na dzień zniknęły szyldy i tablice ze starą nazwą, instytucje w gorączkowym pośpiechu zamawiały nowe druki i pieczęcie. Nawiasem mówiąc, przez kilka dni prawdziwe oblężenie przeżywały senne najczęściej zakłady zajmujące się wyrobem stempli; jedna z niewielkich katowickich spółdzielni rytowniczych tylko do poniedziałku 9 marca przygotowała ich aż pięć tysięcy! Struktury

Poleca się, by księża zabrali się do opracowania tematu zawczasu, nie dopiero w tym roku, w którym chcą zgłosić się do egzaminu. Praca ta bowiem ma mieć na celu nie tylko wykazanie Władzy Duchownej, że kandydat orientuje się w sprawach duszpasterskich, ale kandydata samego ma pobudzić do myślenia i wglębiania się w problemy duszpasterskie danej parafii. Jeśli bowiem pozna się stosunki duszpasterskie jednej parafii, łatwo będzie poznać je także w drugiej. Szczególnie zaś należy omówić sposoby duszpasterzowania tych księży, których parafianie najczęściej wspominają i nie przemilczec również metod duszpasterskich, które ujemnie oddziaływały na parafię.

Do pracy proboszczowskiej należy załączyć jedno kazanie na piśmie, spis kazań z ostatniego półrocza oraz opracowanie rachunków kościelnych z okresu 2 lat.

U w a g a : W dniu ostatniego egzaminu, 10. XI. 1953, egzaminowani zechcą się zebrać w gmachu Kurii Dec. o godz. 11-tej celem odebrania książeczek jurysdykcyjnych i przyjęcia do wiadomości wyniku egzaminu proboszczowskiego.

Stalinogród, dnia 20 stycznia 1953 r.

(—) Ks. Filip Bednorz,
Wikariusz Kapitulny

7.

Danina diecezjalna

Wobec bardzo wielu zadań natury finansowej, jakie Kuria Diecezjalna ma do spełnienia w stosunku do wszystkich instytucji diecezjalnych, oraz w związku z regulacją cen, zarządza, co następuje:

Z dniem 1 stycznia 1953 r. danina diecezjalna wynosi 0,50 zł od każdego diecezjanina. Księga proboszczowie, administratorzy oraz rektorzy kościołów wpłacają podatek do Kasj Kurii w ratach miesięcznych.

Stalinogród, dnia 17 stycznia 1953 r.

Wikariusz Kapitulny

► Antydatowane zarządzenia wikariusza kapitulnego, ks. Filipa Bednorza opublikowane w „Wiadomościach Diecezjalnych”

stalinogrodzkiego już Urzędu Bezpieczeństwa „uwrażliwiono” na używanie przez mieszkańców starej nazwy; o odpowiedni respekt wobec obowiązującej terminologii miała zadbać rozbudowana agentura. Od 7 marca poczynając, dzieciom w metrykach urodzenia wpisywać zaczęto „Stalinogród”. Tego samego dnia, od godziny 19.00, podróżni przybywający na katowicki dworzec kolejowy z zaskoczeniem dowiadywali się, że w istocie znajdują się w Stalinogrodzie.

Fot. ze zbiorów autora



► Pieczęć stalinogrodzkiej parafii Najświętszej Marii Panny z napisem: *Ecclesia Parochialis St. Mariae Virginis Stalinogrodensis* – nową nazwę Katowic zaadaptowała administracja kościelna posługująca się łaciną

Informowały o tym zarówno w imponującym tempie zmienione napisy, jak też odpowiednio poinstruowane megafonistki. Wkrótce już nowa nazwa była wszędzie, w każdym komunikacie, każdej szkolnej gazecie i każdej uchwale dowolnej rady zakładowej. A wszystko to w rytm wszechobecnej propagandy ze zbliżonym do granic oblędu zadęciem walącej w kocioł o nazwie „Stalinogród”.

Cichy powrót do normalności

Jakże mizernie na tle tego wszystkiego wyglądał koniec „miasta Stalina”. Na fali październikowej odwilży 1956 roku używanie starej nazwy miasta – także w oficjalnym obiegu – stało się powszechne wręcz z dnia na dzień. Tym bardziej że na straży czci i chwały kremłowskiego patrona nie stał już „klasowo czujny” aparat bezpieczeństwa, któremu na krótką chwilę stępiono zęby. 21 października tegoż roku oficjalnie stalinogrodzkie jeszcze rady narodowe szczebla miejskiego i wojewódzkiego podjęły uchwałę „o przywróceniu miastu Stalinogród nazwy Katowice oraz województwu stalinogrodzkiemu nazwy województwo katowickie”. Na centralnych szczeblach tym razem zanadto się jednak nie śpieszono. Rada Państwa stosowny dekret przyjęła dopiero w grudniu 1956 roku, a na zatwierdzenie decyzji przez sejm wypadło czekać aż do marca roku następnego. Nie potrzebowano też tym razem żadnego Morcinka, wszystko odbyło się cicho i jakby wstydliwie. Zresztą, dla mieszkańców miasta i województwa te urzędowe egzekwie nie miały już większego znaczenia – od dobrych sześciu miesięcy Katowice na powrót były Katowicami. 🇺🇸

dr Grzegorz Bębik – pracownik OBEP IPN w Katowicach

Korzystałem z publikacji: Andrzej Małkiewicz, *Obronić Katowice przed Stalinogrodem* [w:] *Katowice w kulturze pamięci*, red. Antoni Barciak, Katowice 2011, s. 176–190; Zygmunt Woźniczka, *Katowice-Stalinogród-Katowice. Z dziejów miasta 1948–1956*, Katowice 2007, s. 71–204.

Rodzina milicyjna – wzorem rodziny socjalistycznej

Lucja Marek

Fikcyjny porucznik milicji Sławomir Borewicz w jednym z odcinków popularnego serialu *07 zgłoś się* (1976–1987) wyznał, że zawarł ślub kościelny, a właściwie, że to na jego prośbę przyszła małżonka otrzymała zgodę kurii diecezjalnej na ślub z nim, osobą niewierzącą. W ten sposób zasugerował, że w rodzinach milicyjnych mogły współistnieć dwa przeciwstawne światopoglądy: materialistyczny (marksistowsko-leninowski) funkcjonariusza i idealistyczny (religijny) jego najbliższych. Rzeczywistość PRL była diametralnie odmienna.

Okościelnym ślubie porucznika Borewicza i jego kulisach telewizyjnym dowiedział się z wyemitowanego po raz pierwszy we wrześniu 1985 roku odcinka piętnastego *Skok śmierci* (reżyseria, scenariusz i dialogi Krzysztof Szmagier na motywach opowiadania Aleksandra Min-kowskiego i Władysława Krupki). Borewicz, grany przez Bronisława Ciesłaka, wówczas oficer śledczy Milicji Obywatelskiej Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Warszawie, w związku z prowadzonym śledztwem odwiedził proboszcza jednej z ostrołęckich parafii. W kancelarii parafialnej usiadł naprzeciw duchownego i zerkał na leżące obok na biurku formularze przedślubne, które stały się pretekstem do wymiany zdań na ten temat. Do rozmowy włączyła się także

gospodyni księdza. Kobieta nadmieniła o potajemnych praktykach religijnych w środowisku milicyjnym, co Borewicz skomentował: „No, cóż, farbowane lisy trafiają się wszędzie”.

Dwulicowcy?

Słyszając wspomniany powyżej dialog, telewizyjny widz mógł odnieść wrażenie, że resort spraw wewnętrznych (obejmujący Milicję Obywatelską i Służbę Bezpieczeństwa), czyli organ władzy państwowej głoszącej światopogląd materialistyczny, oczekiwał od swoich pracowników postawy zgodnej z jego laickim charakterem, ale nie utrudniał praktyk religijnych członkom ich rodzin. Jeśli ktoś czynił to potajemnie, to prezentował postawę „farbowanego lisa”. Co więcej, z całej rozmowy wynikało, że taki ktoś oszukiwał

► Kwiaty, szpaler kolegów-funkcjonariuszy – uroczystość nadania imienia w zamyśle władz miała być co najmniej równie podniosła jak chrzest w kościele; Chełmno, 28 października 1978 roku

Boga. Widz mógł zatem wnioskować, że ów dwulicowiec był przekonany o zabo-bonności i zaściankowości praktyk religijnych, utożsamiał się ze światopoglądem „naukowym”, ale ze względu na presję rodziny czy otoczenia akceptował kościelne obrzędy bądź w nich uczestniczył.

Filmowa rzeczywistość zawierała elementy propagandowe i odbiegała od faktycznego stanowiska aparatu partyjno-państwowego wobec praktyk religijnych członków rodzin milicyjnych (MO i SB). W tym samym czasie gdy serialowy porucznik Borewicz wspominał o kościelnym ślubie z żoną, z resortu zwalniano funkcjonariuszy, których dzieci zawarły ślub przed ołtarzem. Czyniono tak nawet wówczas, gdy tak jak Borewicz nie ukrywali tych faktów i prezentowali jednoznacznie postawę. Od pracowników MO i SB wymagano bowiem, aby ich rodziny stanowiły dla innych wzór podstawowej socjalistycznej (laickiej) komórki społecznej. Owa dwulicowość postaw w rodzinach milicyjnych wynikała właśnie z utrudnień w praktykach religijnych.

Problem z religijnością – zarówno w resorcie, jak i wśród członków partii oraz urzędników państwowych – nasilał się w okresach politycznej „odwilży”, tzn. po Październiku ‘56 i Sierpniu ‘80, i znalazł odbicie w popularnym serialu *07 zgłoś się*.

Nowa świecka tradycja

Ministerialne dokumenty pozwalają na postawienie tezy, że czas i treść serialowego dialogu księdza i milicjanta nie były przypadkowe. Odcinek, w którym toczy się wspomniana rozmowa, powstał w roku 1984. W tym samym czasie resort spraw wewnętrznych podjął intensywną walkę z religijnością rodzin funkcjonariuszy MO i SB. We wrześniu 1984 roku pion polityczno-wychowawczy tegoż ministerstwa wprowadził do użytku wewnętrznego „Wytyczne w sprawie kształtowania naukowego światopoglądu oraz upowszechniania obyczajowości i obrzędowości w resorcie spraw wewnętrznych”. W dokumencie zwrócono uwagę na wzrost religijności społeczeństwa (jako wynik bliskiego związku opozycji politycznej z Kościołem), w tym także praktyk religijnych w rodzinach milicyjnych. W dalszej części zaakcentowano „konieczność skutecznego przeciwstawienia się oddziaływaniom klerykałizmu na nasze środowisko”.

Z niepożądanym zjawiskiem walczone na dwa sposoby. Z jednej strony wyciągano konsekwencje wobec „nazbyt religijnych” (stosowano kary, uniemożliwiano awans, zwalniano z resortu), a z drugiej – wzmocniono pracę ideowo-wychowawczą (krzewiono naukowy światopogląd oraz świecką obyczajowość i obrzędowość). Uważano, że upowszechnianie i tworzenie nowych laickich rytuałów, które mogłyby konkurować z kościelnymi, ma duże znaczenie dla ugruntowania socjalistycznych idei i może być skuteczną metodą uporania się z problemem praktyk religijnych w rodzinach MO i SB. Za cel postawiono sobie ukształtowanie „modelu rodziny milicyjnej jako wzoru rodziny socjalistycznej, nieulegającej negatywnym zewnętrznym naciskom”.

W kształtowanie przykładowego dla społeczeństwa modelu rodziny zaan-



Fot. AIPN

▶ Pracownicy Urzędu Stanu Cywilnego w odświętnych togach podczas uroczystego nadania imienia byli przejawem zaangażowania autorytetu państwa; Warszawa, 19 października 1984 roku

żowano Koła Rodziny Milicyjnej (KRM). W roku 1985 organizacja ta kierowała się hasłem „Rodzina milicyjna – wzorem rodziny socjalistycznej”. Rezultaty działań podjętych przez koła stały się przedmiotem rozważań studentów Akademii Spraw Wewnętrznych w Warszawie. Porucznik Waldemar Pietrykiewicz obronił w 1986 roku pracę magisterską „Kształtowanie światopoglądu rodzin funkcjonariusza SB i MO w działalności Koła Rodziny Milicyjnej na terenie działania Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrz-



nych w Lubaniu”. Podporucznik Ryszard Żak przedstawił dwa lata później pracę „Koła rodziny milicyjnej – rola i zadania w kształtowaniu modelu rodziny socjalistycznej (na przykładzie województwa opolskiego)”. Jeden z członków komisji egzaminacyjnej uznał magisterkę Żaka za pionierską w ministerstwie spraw wewnętrznych, a recenzent przedstawił ▶



Fot. AIPN

▶ Dowodem na troskę państwa o nowego członka rodziny milicyjnej miała być wręczana z pompą książeczka oszczędnościowa PKO; zdjęcie z 1985 roku

Koła Rodziny Milicyjnej

– wewnątrzresortowa organizacja skupiająca kobiety zatrudnione w MO i SB oraz członkinie rodzin (żony, dorosłe córki) aktualnych i byłych funkcjonariuszy oraz pracowników cywilnych. Było to drugie, obok Organizacji Rodzin Wojskowych, środowisko wchodzące w skład Ligi Kobiet (od grudnia 1982 roku Ligi Kobiet Polskich). Do zadań KRM należało m.in. „ideowo-wychowawcze oddziaływanie na rodziny funkcjonariuszy” oraz „oddziaływanie na szersze środowiska społeczne”. W styczniu 1969 roku minister spraw wewnętrznych wydał zarządzenie o powołaniu KRM we wszystkich jednostkach i szkołach resortu, a we wrześniu tegoż roku Prezydium Zarządu Głównego Ligi Kobiet powołało Zespół Krajowy ds. Kół Rodziny Milicyjnej. W 1987 roku w ramach tego zespołu utworzono siedem komisji problemowych. Jako pierwszą wymieniano Komisję ds. Ideowo-Wychowawczych, Laickiego Wychowania w Rodzinie oraz Propagowania Świeckiej Obrzędowości.

W roku 1969 działało 319 Kół Rodziny Milicyjnej, zrzeszających łącznie około 12,5 tys. członkiń. Do 1986 roku liczba kół wzrosła do 676, a członkiń do ponad 38 tys. (według resortowych badań był to „tylko znikomy procent” potencjalnych kandydatek).

ją do nagrody komendanta Akademii. „Wyniki zawarte w recenzowanej pracy magisterskiej można by wykorzystać w pracy z KRM w zakresie kształtowania modelu socjalistycznej rodziny milicyjnej nie tylko w województwie opolskim” – konkludował.

Zarówno Żak, jak i Pietrykiewicz oceniali, że popularyzowanie przez Koła Rodziny Milicyjnej laickiej obyczajowości i obrzędowości było skutecznym, aczkolwiek niedocenianym narzędziem rugowania pobożności członków rodzin milicyjnych i wpływu „kleru” na to środowisko. Magistranci wnioskowali tak na podstawie wyników ankiet i wywiadów przeprowadzonych wśród członkiń kół.

W latach osiemdziesiątych znacznie wzrosła aktywność Kół Rodziny Milicyjnej w kwestii organizowania uroczystości konkurencyjnych wobec kościelnych obrzędów i sakramentów, a także inicjowania nowych świeckich rytuałów. Wśród funkcjonariuszy MO i SB propagowano uroczyste nadanie imienia dziecku (świecki „chrzest”), pasowanie na młodzika (świecka „komunia”), ceremonialne wręczenie dowodu osobistego (świeckie „bierzmowanie”), uroczyste zawarcie związku małżeńskiego, świecki pochówek, a także jubileusze małżeńskie, jubileusze służby, pasowanie na ucznia itp. Pojawiały się także postulaty wprowadzenia rytuału pasowania na żonę funkcjonariusza czy pasowania na przedszkolaka. Najpopularniejszym spośród wymienio-

nych obrzędów było uroczyste nadanie imienia dziecku, a najmniej rozpowszechnionym – pasowanie na młodzika.

„Chrzcziny” w urzędzie

Świeckie „chrzcziny” wzorowano na obrzędzie kościelnym. Rodzicom dziecka towarzyszyli honorowi opiekunowie (odpowiednik rodziców chrzestnych). Uroczystości nadawano bardzo podniosłą oprawę. Rangę wydarzenia podkreślało grono gości (m.in. przedstawiciele kierownictwa MO/SB, delegacje Kół Rodziny Milicyjnej, przedstawiciele władz miasta). Kierownik Urzędu Stanu Cywilnego przyjmował oświadczenie rodziców o nadaniu imienia i wpisywał je do specjalnej księgi pamiątkowej. Następnie on i zebrani goście składali rodzicom i dziecku życzenia. Urząd potwierdzał akt nadania imienia dokumentem opracowanym w specjalnej szacie graficznej.

Niektóre Koła Rodzin Milicyjnych (np. z terenu województwa opolskiego) dodatkowo zabiegały o to, by uroczystość upamiętniał medal z wygrawerowanym imieniem dziecka i datą jego nadania, a także okolicznościowy dyplom czy plakietka. Rodzicom dzieci wręczano także listy gratulacyjne i różnego rodzaju upominki dla pociech, takie jak lalki czy misie, ale także książeczki PKO z wkładem pieniężnym albo książeczki mieszkaniowe. Magistrant Żak przekonywał, że w takiej formie uroczystość świeckiego nadania imienia była „całkowicie kon-



► Zaproszenie z logo Kół Rodziny Milicyjnej

kurencyjna dla ceremonii kościelnej”. I dodawał, że „ impreza ta budzi zawsze olbrzymie zainteresowanie wśród postronnych osób – zwłaszcza w mniejszych miejscowościach gromadzi wielu przypadkowych widzów”. Podkreślał w ten sposób, że „świeckie chrzcziny” oddziaływały nie tylko na rodzinę funkcjonariusza, ale także na społeczeństwo lokalne.

Obrzęd uroczystego nadania imienia szybciej upowszechniał się w miastach i znaczących jednostkach resortu, oporniej przyjmował się na tzw. prowincji. Potwierdzały to wyniki badań magistrantów resortowej uczelni. Mimo ofensywnej akcji kół nadal notowano w rodzinach milicyjnych kościelne chrzty lub jednoczesne praktykowanie ceremonii laickiej i religijnej. W przypadkach podwójnego obrzędu najpierw odbywał się chrzest kościelny, a później rodzice decydowali się nadać dziecku imię w rycie świeckim. Pietrykiewicz oceniał, że w podjęciu decyzji o dodatkowej ceremonii świeckiej oprócz namowy ze strony KRM i zwierzchników „niemałą rolę mógł odegrać czynnik motywacji finansowej w postaci ufundowanej książeczki PKO z kilkutyśiącym wkładem i drobne upominki rzeczowe”. Do podobnych wniosków doszedł Żak. Na badanym przez niego terenie KRM zwracały uwagę, by uroczystość odby-

► Pasowanie na młodzika miało być konkurencją dla I Komunii Świętej – zarówno pod względem prestiżu, jak i otrzymywanych prezentów; Warszawa, czerwiec 1985 roku



wała się w pierwszym roku życia dziecka (analogia do kościelnej ceremonii). Uważano bowiem, że „w przypadku dzieci starszych, często kilkuletnich, rodzice decydują się na tę uroczystość, mając na względzie motywy czysto ekonomiczne”.

Milicjancie, kup dziecku prezent!

Kto nie zdążył uroczystości nadać dziecku imienia w pierwszym roku jego życia, mógł zorganizować mu inne świecące święto, gdy syn lub córka mieli od siedmiu do dziesięciu lat. Pasowanie na młodzika, bo o tej uroczystości mowa, organizowano na przełomie maja i czerwca każdego roku, przeważnie w dniu, w którym w danej miejscowości odbywała się kościelna uroczystość I Komunii. W środowisku rodzin milicyjnych pasowanie zaczęto powszechniej praktykować dopiero w połowie lat osiemdziesiątych, i to nie we wszystkich jednostkach resortowych.

Zwracano uwagę, aby program tej laickiej imprezy był bardzo atrakcyjny. Na terenie województwa opolskiego pasowanie organizowano najczęściej w resortowych ośrodkach wypoczynkowych lub innych podobnych miejscach, do których dzieci wraz z rodzicami dowożono autokarami. Niektóre KRM organizowały dwudniowe uroczystości połączone z noclegiem lub przygotowywały imprezę wspólnie z Organizacją Rodzin Wojskowych bądź drużynami harcerskimi, co dodatkowo podnosiło rangę wydarzenia. Inne KRM aranżowały pasowanie w specjalnej sce-

nerii, np. na zamkach w Brzegu i Paczkowie, w miejscach związanych z historią regionu. W ceremonii wykorzystywano oryginalne rekwizyty, jak zbroje rycerskie, miecze, szable. Kandydatów poddawano specjalnej próbie uprawniającej ich do pasowania. Atmosferę zabawy podkreślały różnego rodzaju turnieje, konkursy, sprawnościowe gry terenowe, zawody strzeleckie, pokazy tresury psów. Dodatkowymi atrakcjami bywały również kielbaski pieczone na ognisku lub żołnierska grochówka. Główni uczestnicy uroczystości składali specjalne ślubowanie i otrzymywali drobne upominki, najczęściej książkowe.

„Pasowanie na młodzika z roku na rok zdobywa coraz większą popularność. Mimo to nadal trudno konkurować tej imprezie z kościelną I Komunią” – podsumowywał magistrant Żak i wyjaśniał: „Powód jest, moim zdaniem, bardzo prozaiczny. Otóż z okazji I Komunii dzieci są obdarowywane wieloma prezentami, często bardzo drogimi. Niestety, na drugi dzień po imprezie widok roweru, cudownego radiomagnetofonu czy innego atrakcyjnego prezentu, jaki otrzymał kolega, sprawia, że wszystkie przeżycia [pasowanych młodzików – przyp. Ł.M.], nawet te najbardziej emocjonujące, mocno błędną”. Koła Rodziny Milicyjnej nie dysponowały odpowiednimi środkami finansowymi, by temu problemowi zaradzić. Podporucznik postulował, aby za-

chęcić rodziców pasowanych dzieci do włączenia się w organizację uroczystości poprzez zakup prezentów.

Rodzina socjalistyczna, czyli jaka?

W ramach realizowania hasła „Rodzina milicyjna – wzorem rodziny socjalistycznej” KRM podjęły w latach osiemdziesiątych intensywną pracę. Oprócz wprowadzania świeckich obrzędów i obyczajów organizowano różnego rodzaju ideologiczne szkolenia, wykłady, prelekcje, pogadanki, odczyty. Magistrant Żak chciał ocenić, w jakim stopniu udało się zrealizować powyższe hasło. Nie zdołał jednak tego uczynić ze względu na brak kryteriów, jakimi należało się kierować przy dokonywaniu takiego bilansu. „Nie ma bowiem w resorcie opracowań – łącznie z *Zasadami etyki [i obyczajów funkcjonariuszy MO i SB – przyp. red.]*, w których jednoznacznie, bez uciekania się do ogólników typu »właściwa postawa«, byłoby określone, jaka powinna być rodzina funkcjonariusza SB i MO” – puentował podporucznik.

Istotnie, nie sprecyzowano modelu rodziny socjalistycznej. Skupiono się na jednym aspekcie – na tym, aby była ona laicka, unikała praktyk religijnych oraz jakichkolwiek związków z Kościołem i wiarą. Działania tego typu prowadzono jednak nie tylko w środowisku milicyjnym i wojskowym. Władze PRL stawiały sobie za cel pełną laicyzację życia społecznego. Atrakcyjne laickie święta, obrzędy i obyczaje miały odciągać obywateli od kościelnych uroczystości i praktyk religijnych. Do udziału w świeckich rytuałach zachęcano prezentami i okolicznościowymi pamiątkami. Na łamach prasy regularnie pojawiały się krótkie notki bądź obszerniejsze relacje z obrzędów i obyczajów inspirowanych w kręgach partyjnych, opatrzone komentarzem, że ta nowa tradycja narodziła się samoistnie. Nie nakazywano, lecz

umiejętnie przekonywano i zachęcano czytelników do praktykowania nowych zwyczajów, do wyzbycia się „zaściankowości” i bycia „nowoczesnym”.

dr Łucja Marek – historyk, pracownik OBEP IPN w Katowicach



Uroki reglamentacji

Andrzej Zawistowski

„Za 15 czy 20 lat ciężko będzie wytłumaczyć dzieciom, co to był system karkowy i ile problemów stwarzały jakieś karteczki [...] Myśli pani, że one to rozumieją?” – taką refleksją po rozbiciu szajki fałszerzy karetek na mięso dzielił się bohater czechosłowackiego serialu kryminalnego z początku lat pięćdziesiątych *Trzydzieści przypadków majora Zemana*. Gdy emitowano go w PRL trzydzieści lat później, temat karetek na mięso nie był dla Polaków czymś abstrakcyjnym. Przeciwnie – znakomicie rozumieli oni serialowe „czarne charaktery”, które wszystkimi możliwymi sposobami starały się zdobyć dodatkowy przydział na kawałek mięsa.

W XX wieku reglamentacja produktów pierwszej potrzeby towarzyszyła Polakom przez ponad trzydzieści lat. Kartki nie były tylko polskim doświadczeniem. Znały je także mieszkańcy wielu państw, których dotyczyły niedobory związane np. z konfliktami zbrojnymi. Polakom przyszło jednak zmagać się z utrudnieniami reglamentacyjnymi nie tylko z nadzwyczajnych powodów, ale także w wyniku fatalnej polityki gospodarczej komunistycz-

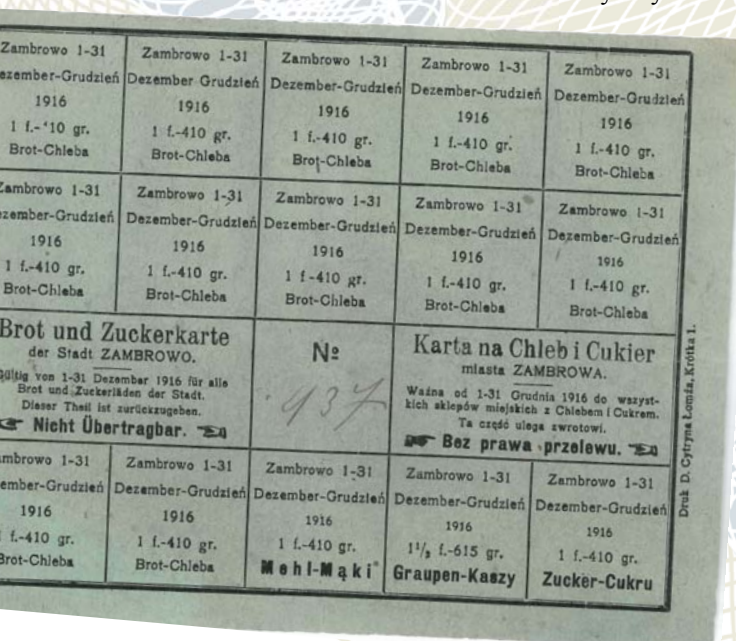
nych rządów. Polska Ludowa nie oszczędziła swoim obywatelom „kartkowych” doświadczeń: na 45 lat jej istnienia artykuły pierwszej potrzeby były reglamentowane przez niemal połowę tego czasu. Rzecz jasna, nie tylko żywność sprzedawano na kartki – przez prawie cały okres powojenny władze w różny sposób reglamentowały materiały budowlane, węgiel, samochody etc.

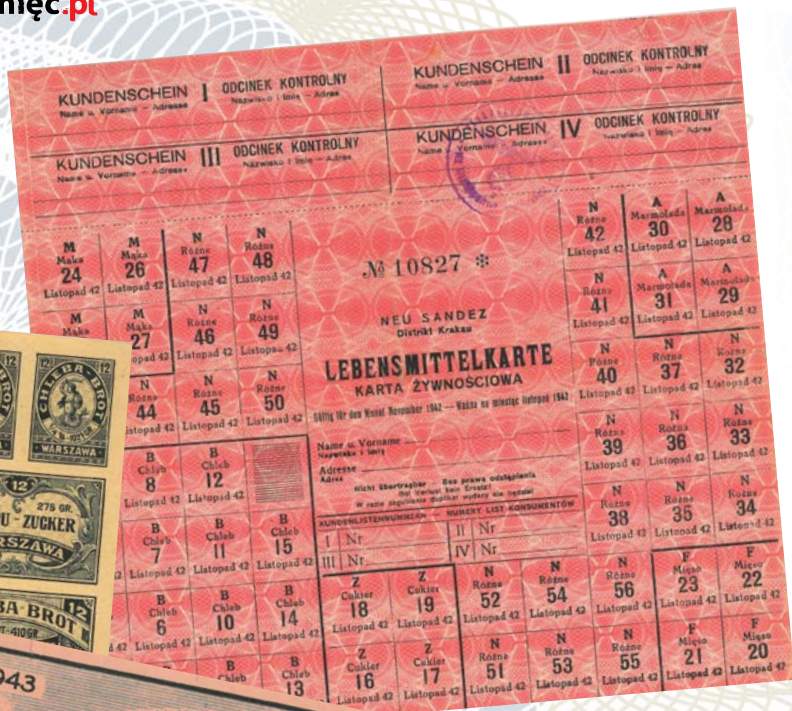
Jest wojna, są kartki

Na ziemiach polskich kartki na artykuły codziennego użytku po raz pierwszy pojawiły się w czasie wielkiej wojny (nazwanej wiele lat później I wojną światową). Wybuch konfliktu sprawił, że priorytetem gospodarek państwowych stało się zaopatrzenie walczącego wojska. Oznaczało to ograniczenie dostaw dla ludności cywilnej do niezbędnego minimum. Niemcy, którzy w latach 1914–1915 zajęli ziemie polskie znajdujące się dotych-



czas pod zaborem rosyjskim, szybko wprowadzili tam reglamentację żywności. Objęła ona przede wszystkim artykuły pierwszej potrzeby: chleb, mąkę, cukier i ziemniaki. Kartki były drukowane przez władze lokalne, a ich forma graficzna była tym bardziej wyszukana, im zamożniejszy był magistrat. Na blankietach, często ozdobnych, pojawiały się akcenty regionalne (jak wizerunek kościoła św. Krzyża w Warszawie) czy tematyka patriotyczna (jak na wydanej kilkanaście dni po śmierci Henryka Sienkie-





Woodrow Wilson, który upominał się o polską niepodległość na forum międzynarodowym. Na blankietach pojawiały się również symbole patriotyczne. Reglamentację żywności zniesiono dopiero w 1921 roku, po zakończeniu wojny z bolszewicką Rosją.

Po raz wtóry kartki pojawiły się w trakcie II wojny światowej. Wprowadzona wówczas przez okupanta reglamentacja nie tylko ograniczała możliwość zaopatrywania się w towary, lecz przede wszystkim była elementem polityki dyskryminacji Polaków i Żydów. Duże rozmiary przybrała zwłaszcza w Generalnym Gubernatorstwie. Przydziały kartkowe dla Niemców były wówczas czterokrotnie większe niż dla Polaków i aż dziewięciokrotnie większe od norm przewidzianych dla Żydów. Na kartki sprzedawano cukier, czarny chleb (biały był zarezerwowany dla Niemców), mąkę, marmoladę, kawę zbożową, ziemniaki, tłuszcz i mięso. Ludność była w stanie przeżyć tylko dzięki mocno rozbudowanemu czarnemu rynkowi oraz własnej gospodarności.

„Kacapskie folksdojczce”

Niemiecki system kartkowy przejęli niejako z marszu komuniści z Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, który starał się opanować sytuację na rynku zaopatrzenia ludności. Przez

wicza kartce łódzkiej). Biedne, prowincjonalne magistraty wydawały tylko proste druki.

W tym samym czasie także władze austro-węgierskie wprowadziły reglamentację żywności, zarówno w austriackiej Galicji, jak i na ziemiach polskich, które przed wojną należały do Rosji, pod okupacją austriacką nazwanych Generalnym Gubernatorstwem Lubelskim. Kartki dystrybuowane w Galicji Wschodniej miały wydźwięk polityczny – dwujęzyczne nadruki były ukłonem w stronę Ukraińców i próbą po-

zyskania ich przychylności.

Dzień 11 listopada 1918 roku – data odzyskania przez Polskę niepodległości – ma w dużej mierze charakter czysto symboliczny. Polaków czekała bowiem jeszcze długotrwała walka o granice odrodzonego państwa. Z tego powodu gospodarka wciąż była nastawiona przede wszystkim na potrzeby wojska, a w związku z tym ciągle obo-

wiżywała reglamentacja. Wydawane przez władze lokalne kartki stały się ważnym nośnikiem propagandy. Dlatego można na nich znaleźć portrety przywódców ówczesnej Rzeczypospolitej: Józefa Piłsudskiego, Ignacego Paderewskiego, Józefa Hallera. Na kupony towarowe trafił także prezydent USA Thomas





pierwsze tygodnie „lubelskiej” Polski obowiązywały nawet niektóre kartki wydane przez III Rzeszę – zalegalizowane jedynie polską pieczęcią.

PKWN zastosował wówczas tzw. system mieszany, tzn. ten sam towar dostępny był w sprzedaży reglamentowanej i wolnej. Kartki stawały się więc swego rodzaju substytutem części wynagrodzenia, a były to sumy znaczne, np. w czerwcu 1945 roku chleb kartkowy kosztował od 0,75 do 1,5 zł, a „wolnorynkowy” 45–50 zł. W latach 1944–1948 na kartki sprzedawano chleb, mąkę, kaszę, ziemniaki, warzywa, ocet, naftę, zapalki, mięso, masło, tłuszcze, cukier, słodycze, mleko, kawę, herbatę, sól, opał, wyroby dziewiarskie. Przydziały uzależnione były od wykonywanej pracy i miejsca zamieszkania.

Likwidacja tego etapu reglamentacji była rozłożona w czasie. Najwcześniej, bo w 1946 roku, zrezygnowano z kartek na zapalki, a cały system oficjalnie zniesiono 1 stycznia 1949 roku. Były to w zasadzie działania fikcyjne (i propagandowo związane z powstaniem w grudniu 1948 roku Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej), gdyż równolegle w niektórych miastach wprowadzono bony na tłuszcze i mleko. Zrezygnowano z nich dopiero na przełomie 1950 i 1951 roku.

Jednak już w sierpniu 1951 roku zapadła decyzja o ponownym wpro-

wadzeniu reglamentacji mięsa. Wówczas kartki przysługiwały pracownikom 1363 zakładów pracy, położonych w czternastu województwach (na siedemnaście istniejących) oraz dwóch miastach wydzielonych. Nierówności w przydziale kartek wywołały wrogość wobec tych, którzy je otrzymywa-

li. Na przykład pojawił się wówczas epitet „kacapskie folksdojce”, którym określano uprzywilejowanych. Zdarzały się też przypadki demonstracyjnego niszczenia kartek lub żądania ich przyznania (nawet łącznie z przerywaniem pracy).

Z czasem rozszerzano listę reglamentowanych towarów. W grudniu 1951 roku dołączono do niej masło i tłuszcze roślinne, w kwietniu 1952 roku – mydło i środki piorące oraz cukier, w maju 1952 roku – cukierki. Ale ograniczony zakres osób uprawnionych do zakupów reglamentowanych towarów spowodował znaczne napięcia społeczne, co doprowadziło w styczniu 1953 roku do rezygnacji z systemu kartkowego.

Gierek, czyli główny bileter

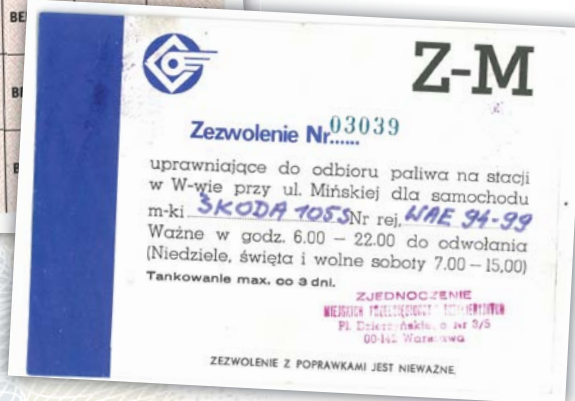
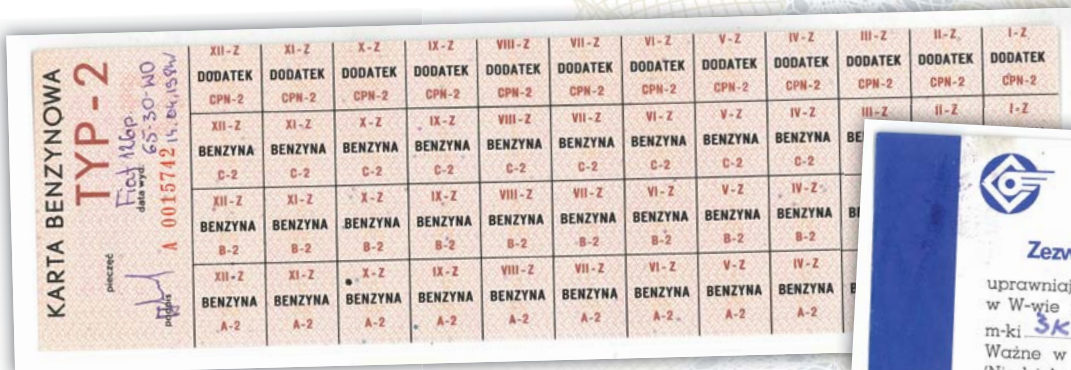
Przez kolejne niemal ćwierć wieku Polacy nie musieli z kartkami obcować na co dzień. Nie oznacza

to, że system reglamentacji artykułów codziennego użytku nie istniał. W 1961 roku, w dniach kryzysu międzynarodowego związanego z budową dzielącego Berlin muru, w Polsce pojawiła się panika sklepowa. Ludzie – obawiając się wybuchu wojny – ruszyli do sklepów,

by robić zapasy, bo nie wiedzieli, czego mogą się łada dzień spodziewać. Władze obawiały się, czy ta panika będzie do opanowania, a jednocześnie uświadomiły sobie, że nie mają narzędzia zapewniającego sprzedaż w sytuacji nadzwyczajnej (np. wojny). Na przełomie sierpnia i września 1961 roku do komend wojewódzkich Milicji Obywatelskiej ruszyły więc transporty z milionami blankietów kartek, które przez następne lata czekały w magazynach na swój czas. Nigdy on jednak nie nadszedł.

Po raz kolejny w życiu Polaków kartki pojawiły się w 1976 roku. Bezpośrednią przyczyną ich wprowadzenia był masowy szturm na sklepy ludzi obawiających się kolejnego wzrostu cen (po wycofaniu się rządu z podwyżki w czerwcu 1976 roku). Stefan Kisielewski w swoim dzienniku pod datą 7 sierpnia 1976 roku zanotował: „Dziwna jest sytuacja, do żarcia nic nie ma, cukier zniknął, inne rzeczy też, przed sklepami ogony, ludzie wściekli”. Kartki na cukier wprowadzono w sierpniu, mimo że widnieje na





nich data 25 lipca 1976 roku. Obawiając się jednak negatywnych konotacji słowa „kartki”, tym razem zaczęto używać określenia „bilety towarowe”. Ten, kto je miał, mógł kupić maksymalnie 2 kg cukru po specjalnej cenie (10,50 zł za kilogram), pozostała część cukru była dostępna w sprzedaży po cenach komercyjnych (26 zł za kilogram). Na krok ten zdecydowano się nie ze względu na brak tego towaru, ale w obawie przed spadkiem wpływów z Monopolu Spirytusowego – wódka wówczas podrożała o niemal 100 proc. i bimbrownictwo, dla którego cukier jest niezbędnym surowcem, stało się bardzo opłacalne.

Zofia Hertz w humorystycznej rubryce paryskiej „Kultury” przywołała polityczny kawał z epoki, który puentował sytuację: „Żeby nie nasuwać nieprzyjemnych skojarzeń, kartki na cukier nazwano »biletami towarowymi«. W związku z tym niektórzy dostają cukier na bilety, a inni na gapę, a o Gierku mówi się: główny bilet»”.

Lepsza kartka niż pieniądz

Na wielką skalę sprzedaż kartkowa została jednak rozkręcona w latach osiemdziesiątych. W nocy z 16 na 17 sierpnia 1980 roku w Stoczni Gdańskiej im. Lenina strajkujący zredagowali listę żądań, które ostatecznie przyjęły formę 21 postulatów Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. W punkcie jedenastym zapisano: „Wprowadzić na mięso i przetwory kartki – bony żywnościowe (do czasu opanowania sytuacji na rynku)”. To dość zaskakujące żądanie reglamentacji miało na celu zapewnienie choćby minimalnego zaopatrzenia w pod-

stawowe artykuły spożywcze. Wprowadzenie tego postulatu w życie nie było jednak łatwe. W kolejnych miesiącach negocjacje NSZZ „Solidarność” z rządem przeciągały się, a sytuacja na rynku stawała się coraz bardziej dramatyczna. Aby uspokoić nastroje, w grudniu 1980 roku władze postanowiły wprowadzić w niektórych miastach kartki na mięso i wędliny tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Tak było m.in. w Warszawie, Gdańsku, Katowicach.

Od 1 kwietnia 1981 roku rozpoczęto wreszcie reglamentowaną sprzedaż mięsa i jego przetworów (choć blankiety nosiły datę 1 lutego). Skomplikowany system reglamentacji uwzględniał nie tylko miejsce pracy uprawnionego, ale także jego wiek, miejsce zamieszkania, a czasami nawet wyznanie (np. specjalne gatunki dla ortodoksyjnych żydów).

Wprowadzenie reglamentacji mięsa otworzyło „worek z kartkami”. W kwietniu podjęto decyzję o sprzedaży na kartki (od 1 maja): masła, mąki pszennej, kaszy, płatków zbożowych, ryżu. W sierpniu do listy dołączył proszek do prania, w październiku podstawowe artykuły dla niemowląt. Od stycznia 1982 roku reglamentacji podlegały także: cukierki, czekolada, alkohol, papierosy, mydło toaletowe, oliwka dla dzieci, mleko w proszku dla dzieci, mleko o zawartości tłuszczu 3,2 proc., smalec. W ten sposób bezpośrednią reglamentacją została objęta prawie połowa wszystkich wydatków żywieniowych. „Ukoronowaniem” tych decyzji było wprowadzenie „kartki na kartki” – czyli specjalnej wkładki do dowodu osobistego, na której odnotowywano przyznane danej osobie blankiety reglamentacyjne. Wprowadzono ją do użycia 1 marca





1982 roku. Była to próba zapanowania nad żywi-
łową dystrybucją kartek.

Oprócz powyższych pojawiała się także do-
rażna reglamentacja
innych towarów: ole-
ju, butów, dywanów,
owoców cytrusowych, artykułów
szkolnych (zeszyty, bloki rysunkowe,
kredki, zeszyty do wycinania, ołówki,
temperówki, gumki, plastelina, farby
akwarelowe, pędzle).

Stosunkowo późno, bo dopiero w lu-
tym 1984 roku, oficjalnie wprowadzono
kartki na benzynę (zaczęły obowiązywać
od kwietnia). W praktyce racjonowanie
benzyny odbywało się już wcześniej,
przy czym miało różną formę, np. przez
pewien okres ograniczano zakup ben-
zyny, posługując się kluczem opar-
tym na numery rejestracyjnych auta i ka-
lendarzu. I tak, samochody z rejestracją
kończącą się na 1 mogły tankować wy-
łącznie 1., 11. i 21. dnia miesiąca,
2–2., 12. i 22. itd. Następnie limi-
towano zakupy paliwa, zaznacza-
jąc każde tankowanie pieczątką na

dokumencie ubezpieczenia OC.
Gdy okazało się, że za odpowied-
nią gratyfikacją można otrzymać
stempel łatwy do usunięcia, wła-
dze zdecydowały się na wprowa-
dzenie kartek.

Kartki zaczęły królować
w życiu codziennym, będąc
w obrocie na równi z pieniąd-

i alkoholu, a następnie cukierków.
W marcu 1985 roku zakończyła się
reglamentacja mąki i części przetwo-
rów zbożowych oraz waty, w czerwcu
– masła oraz tłuszczów zwierzęcych
i roślinnych, czyli smalcu, słoniny
i margaryny (wcześniej zawieszono
ją w czerwcu 1983 roku, ale po pię-
ciu miesiącach przywrócono), w listo-
padzie zniesiono reglamentację cu-
kru. 1 czerwca 1986 roku skreślono
z listy towarów kartkowych kaszę
mannę, 1 marca 1988 roku – wyro-
by czekoladowe, a 1 stycznia 1989
roku ostatecznie zniknęły kartki na
benzynę.

Reglamentacja mięsa przetrwała
czerwiec 1989 roku, który powszechnie
uważa się za symboliczny koniec
PRL. Co prawda wcześniej, od 1 lutego
1986 roku, próbowano eksperymental-
nie wprowadzić bezkartkową sprze-
daż mięsa w kilku województwach,
ale próba ta zakończyła się fiaskiem.
X Zjazd PZPR, który obradował na
przełomie czerwca i lipca 1986 roku,
w swojej uchwale zadeklarował znie-
sienie kartek na mięso w ciągu czte-
rech lat. Jak żart na tym tle brzmiała
polemika rzecznika rządu PRL Jerze-
go Urbana z amerykańskim dziennika-
rzem, w której ten pierwszy stwierdził,
że w Polsce właściwie nie ma regla-
mentacji, lecz jedynie gwarancja za-
kupu przez uprawnioną część społe-
czeństwa określonej ilości mięsa po
ustalonej urzędowo cenie.

Paradoksalnie, partyjni działacze
w 1986 roku niewiele się pomylili. Re-
glamentację mięsa zniesiono z końcem
lipca 1989 roku, choć jeszcze wiele za-
kładów pracy zdążyło swoim pracow-
nikom wydać kartki na ten towar w sier-
pniu, a w drukarniach z maszyn zeszyły
nawet kartki wrześnieowe. Kartki, po-
dobnie jak PRL, przeszły do historii... ❄️

dr Andrzej Zawistowski – dyrektor BEP IPN
i pracownik Katedry Historii Gospodarczej i Społecznej
Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie



mi – a czasami wręcz je wypierając.

Maniek, robotnik z serialu komediowe-
go *Alternatywy 4*, na pytanie o cenę za
drobne prace budowlane odpowiedział:
„A na co mi pieniądze, panie? Co innego
kartki. Wie pan no, na mięso bym wziął
albo na cukier. No dasz pan kartki, do-
łożysz pan tuzena, żebym miał za co
wykupić, i sztymuje no”.

Przeminęło z Peerelem

Kartki likwidowano w PRL stopnio-
wo: 1 lutego 1983 roku zniesiono re-
glamentację proszku do prania i mydła,
w kwietniu tego roku papierosów



Wszystkie ilustracje pochodzą ze zbiorów Jana
Oleńskiego. *Kartkowe historie* jego autorstwa
już wkrótce na łamach „Pamięci.pl”.

Moja żona jest piłą drewnianą, czyli „słaba płeć” przeciwko kołchozom

Marcin Markiewicz

Lata 1948–1956 to najdramatyczniejszy okres w powojennej historii polskiej wsi. Prowadzona wówczas kolektywizacja rolnictwa miała upodobnić polską wieś do sowieckiej, co budziło opór większości wiejskiej społeczności. Warto pamiętać o roli, jaką w sprzeciwie tym odegrały kobiety.

W drugiej połowie 1948 roku rozpoczęto stalinizację polskiej wsi pod hasłami walki klasowej i kolektywizacji rolnictwa. Indywidualne gospodarstwa chłopskie miały zostać zastąpione przez spółdzielnie produkcyjne, wzorowane na sowieckich kołchozach. Zgodnie z „trójjedyną formułą” Lenina, ludność wiejską podzielono na biedniaków, średniaków i kułaków. Polityka „klasowania” miała wesprzeć kolektywizację przez rozbięcie tradycyjnych wiejskich więzi społecznych, jednak propaganda komunistyczna nie przynosiła oczekiwanych rezultatów i wiele kolektywnych gospodarstw było tworzonych w wyniku nacisku administracyjnego i represji.

Miotłą i nabożeństwem w prelegenta

Na wsi kolektywizację postrzegano jako zewnętrzną ingerencję radykalnie zmieniającą dotychczasowe zwyczaje, burzącą tradycyjne i kulturowe fundamenty. Chłopi zaczęli zdawać sobie sprawę z tego, że urzeczywistnia się scenariusz, który dotychczas funkcjonował jedynie w sferze ich domysłów i podejrzeń. Wyszydane wielokrotnie „wspólne kotły i żony” oraz „chodzenie do pracy na



Fot. Archiwum Państwowe w Białymstoku



Fot. ze zbiorów M. Foksa

▶ Propaganda nachalnie lansowała (nawet na znaczkach pocztowych) wizerunek traktorzystki z entuzjazmem pracującej w spółdzielni produkcyjnej, w rzeczywistości jednak i sytuacja kobiet, i ich nastawienie do idei socjalistycznej spółdzielczości były inne; na zdjęciu pracownicy spółdzielni produkcyjnej Górne w powiecie gołdapskim, 1954 rok

dźwięk dzwonka” stały się realnym zagrożeniem. W związku z tym, uwidoczniły się typowe objawy kolektywizacyjnej paniki: pozbywanie się inwentarza i całych gospodarstw czy ubój zwierząt gospodarskich. W niektórych powiatach całkowicie zaprzestano prac polowych, oczekując na dalszy rozwój wydarzeń. Z czasem chłopi wypracowali rozmaite strategie przystosowawcze, które pozwoliły im na przetrwanie okresu kolektywizacji, nie brakowało jednak licznych przejawów czynnego oporu wobec władz.

Wątkiem powtarzającym się w sprawozdaniach partyjnych jest wyjątkowa niechęć do kolektywizacji ze strony kobiet. To właśnie żeńska część wiejskiej społeczności najsilniej wyrażała swój sprzeciw wobec organizowania spółdzielni produkcyjnych. Było to widoczne już podczas wiejskich zebrań poświęconych „kołchozom”, dezorganizowanych i zrywanych przez kobiety wznoszące histeryczne okrzyki. W Przypisówce w powiecie lubartowskim w 1950 roku kobiety wypędziły prelegentów z zebrania przy pomocy mioteł. Podczas jednego z takich

zgrupowań w Dobrzyniówce w powiecie białostockim odprawiono nabożeństwo Gorzkich Żali, czym zmuszono agitatorów do opuszczenia spotkania. Również w Pistkach w powiecie elckim kobiety za pomocą kijów rozpedziły jedno z zebrań poświęconych spółdzielczości produkcyjnej. Poturbowani zostali zarówno aktywiści Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, jak i mężowie interweniujących kobiet, którzy ulegli komunistycznej propagandzie. Do podobnych rękoczynów – spowodowanych przez kobiety – doszło na zebraniu w Pawlinowie w powiecie bielskim. Niezwykle spektakularny incydent miał miejsce w grudniu 1951 roku w Wilkasach w powiecie gołdapskim. Mieszkanke tej miejscowości opuściły mężów, protestując w ten sposób przeciw ich wstąpieniu do spółdzielni produkcyjnej. Sytuacja ta nie trwała jednak długo, gdyż po kilku dniach „zbuntowane żony” wróciły za sprawą „zdecydowanej postawy mężów”. Jeden z chłopów ze wsi Deniski w powiecie bielskim, usprawiedliwiał swoją nieobecność wśród członków spółdzielni produkcyjnej stanowiskiem żony, ▶

„która jest piłą drewnianą i twierdzi, że do kolchozu nie pójdzie”.

Najbardziej spektakularnymi przejawami czynnego oporu stały się lokalne bunt i tumulty będące wyrazem spontanicznego sprzeciwu wobec wydzielenia i zaorywania masywów spółdzielczych. Niejednokrotnie podczas tworzenia spółdzielni produkcyjnych całe wsie występowały solidarnie w obronie swojej ziemi. Były to tumulty podobne do tych wcześniejszych na wiejskich zebraniach, ale przebieg zająć na polach był bardziej dramatyczny. Według danych Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, liczba masowych wystąpień antyspółdzielczych stopniowo wzrastała. W 1949 roku odnotowano trzy takie przypadki, w pierwszej połowie 1950 roku – czternaście, w drugiej połowie tego roku – 76. Od czerwca od września 1953 roku zarejestrowano 168 zbiorowych wystąpień w 128 gromadach. Choć powyższe dane nie są pełne, świadczą o narastaniu tej formy oporu.

Podczas tych protestów znowu szczególnie aktywne były kobiety. Ich wystąpienia mające na celu zablokowanie powstania spółdzielni produkcyjnych były analogiczne do „babskich buntów” podczas kolektywizacji rolnictwa w Związku Sowieckim. W 1929 roku wyłącznie kobiety wzięły tam udział w prawie pół tysiącu protestów przeciw zakładaniu kolchozów. W następnym roku władze sowieckie odnotowały blisko 14 tys. zająć tego typu. We wszystkich główną rolę odegrały kobiety, a w prawie 4 tys. zbiorowych wystąpień mężczyźni zupełnie nie brali udziału. Kolektywizacja była głównym, choć nie jedynym, powodem kobiecych protestów w ZSRS. Według danych OGPU (Zjednoczony Państwowy Zarząd Polityczny – sowiecka policja polityczna działająca w latach 1922–1934), przypadki zbiorowego, czynnego oporu dotyczyły przede wszystkim tworzenia kolchozów, poza tym były związane z ograniczaniem swobód religijnych, represjami wobec „kułaków”, niedoborami żywności na wsi. Ponadto żywiłowo protestowano przeciw rekwizycjom zboża i inwentarza żywego.

Omdleniem i kijem w partyjnego
Polskie kobiety, częstokroć wyposażone w kije, widły lub grabie, również starały się zapobiec wejściu na ich ziemię mier-

niczych oraz nie dopuścić do włączenia swojej działki do spółdzielni produkcyjnej. Jedno z największych tego typu wystąpień miało miejsce 16 września 1950 roku w Śmiłowicach w województwie krakowskim. Około dwustu kobiet czekało na polach na organizatorów „kolchozu”. Kiedy nadjechali, rozhisteryzowane kładły się pod traktory i symulowały omdlenia, uzbrojone w kije pobili traktorzystę i sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej z sąsiedniej wsi oraz obrzuciły gradami ziemi próbujących interweniować członków Związku Młodzieży Polskiej. W gromadzie Borek w powiecie krośnieńskim około czterdziestu kobiet rzucało w traktorzystę kamieniami w czasie zaorywania spółdzielczego arealu oraz usiłowało wpełznąć pod traktor przewodniczącego Gminnej Rady Narodowej.

Badania Grzegorza Miernika pokazują, że szczególnie aktywne podczas antykolektywizacyjnych wystąpień były kobiety w województwie kieleckim. Wiosną 1953 roku, podczas wydzielenia pól spółdzielczych we wsi Zimnowoda w powiecie sandomierskim, całą noc dyżurowały na polach. Według partyjnych sprawozdań, gdy tylko pojawili się organizatorzy spółdzielni, kobiety „wnosiły obrazy i śpiewały pieśni religijne”. Podczas próby zaorania masywu w sukurs kobietom przybyli mężczyźni uzbrojeni w siekiery i widły. Doszło do gróźb, przepychanek i rękoczynów, wobec których organizatorzy spółdzielni musieli ustąpić. Podobnie w Pętkowicach w powiecie starachowickim, aby uniemożliwić zaoranie spółdzielczego arealu, matki z dziećmi kładły się pod koła traktorów; również w Grzmiący w powiecie radomskim kobiety nie pozwoliły na wydzielenie masywu dla organizującej się spółdzielni – pobito sekretarza Komitetu Gminnego PZPR oraz obrzucono kamieniami jednego ze zwolenników kolektywu. 19 sierpnia 1953 roku do podobnych wystąpień doszło we wsi Janowice w powiecie buskim oraz we wsi Warzyno w powiecie włoszczowskim. Areną jednego z największych protestów tego rodzaju, nie tylko na Kielecczyźnie, ale w całym kraju, była wieś Okół w gminie Pętkowice. W czasie wyznaczania ziemi dla spółdzielni produkcyjnej 29 sierpnia 1950 roku grupa około stu kobiet zmusiła mierniczego do zejścia z pola i przerwa-

nia prac. Do kolejnych wystąpień doszło tam 28 sierpnia 1953 roku, kiedy ponownie próbowano doprowadzić do wymiany gruntów dla reaktywowanej spółdzielni produkcyjnej. Licząca około 250 osób grupa kobiet i młodzieży nie chciała dopuścić do zaorania miedz, co doprowadziło do bójki, w której ucierpieli m.in. przedstawiciele Komitetu Powiatowego PZPR i Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, uszkodzono również trzy traktory należące do Państwowego Ośrodka Maszynowego (POM).

Kamienie w fartuchach

Liczne przykłady podobnych wystąpień z województwa łódzkiego opisuje Leszek Próchniak. W miejscowości Paprotnia w powiecie rawskim kobiety usiłowały pobić mierniczego kijami, podobnie było w Nowym Mieście w tym samym powiecie. W Siedlcu w powiecie łęczyckim kobiety rzucały się pod traktory, zlorzcząc rządowi i partii. 10 września 1950 roku w Piekarach kobiety usunęły oznaczenia z pól i obrzuciły mierniczego kamieniami. Następnego dnia czekały na niego z fartuchami pełnymi kamieniami. Według relacji władz, jedna z nich „miała na polu trąbkę i na sam widok przybycia samochodu do wsi trąbiła, na który to sygnał zbiegały się kobiety z całej wsi”. Gdy ostatecznie mierniczy zrezygnował ze swoich czynności, tłum kobiet szedł za nim, śpiewając *Boże*,



► Wspólna praca na polu spółdzielczym; Górne, 1954 rok

coś Polskę i My chcemy Boga. Mierniczy został również przepędzony przez kobiety w sąsiednich Sulmierzycach.

Do dużego buntu doszło w lipcu 1950 roku w Dobryszycach. Kiedy we wsi pojawiły się traktory, około trzystu kobiet nie dopuściło do zaorania miedzi, obrzucając traktorzystów kamieniami i bijąc przewodniczącego Gminnej Rady Narodowej. Dotychczasowe badania potwierdzają główną rolę kobiet podczas anty kolektywizacyjnych zajęć również w województwie lubelskim i na Dolnym Śląsku.

Traktorzyście piachem w oczy

Nie inaczej sytuacja wyglądała w województwie białostockim. W Kisielnicy w powiecie łomżyńskim aktywiści próbujący zorganizować spółdzielnię produkcyjną zostali zelżeni i poturbowani przez kobiety. Na plenum Komitetu Powiatowego PZPR w Elku przewodnicząca koła gospodyń wiejskich stwierdziła: „U nas to nic nie zarejestrujecie, jak przyjdą organizować spółdzielnię produkcyjną, to chłopci ich przywitają widłami i siekierami, ja pierwsza z nimi pójdę przywitać”.

Nie były to czcze pogrózki, a zachowania tego typu wcale nie należały do rzadkości. W Nowosadach w powiecie białostockim ubliżano traktorzystom, obrzucano ich kamieniami i zasypywano im oczy piachem. W Zaleszanych piętnaście kobiet sterroryzowało trakto-

rzystę i zmusiło go do zaprzestania orki. Podobne wydarzenia rozegrały się podczas pomiarów i zaorywania gruntów w Kisielanach w powiecie sokólskim. Po przybyciu traktorzysty do Rogawki w powiecie bielskim jedna z mieszkańek wsi położyła się z dzieckiem pod traktor, wznosząc antyrządowe okrzyki. Następnego dnia od świtu czuwała na swoim polu, po czym powtórzyła desperacki czyn. Podobnie uczyniła siedemdziesięcioletnia Anna Szklaruk z Zaleszan w tym samym powiecie: „Jak zabieracie ziemię moją – stwierdziła – to możecie przyorać i mnie razem”.

Spośród wielu przypadków zbiorowych wystąpień przeciw kolektywizacji na Białostocczyźnie, najbardziej spektakularny i jednocześnie zasługujący na miano „babskiego buntu” miał miejsce 3 kwietnia 1954 roku w Olendach w gminie Rutka w powiecie bielskim. Według meldunków Urzędu Bezpieczeństwa, wzięło w nim udział około trzydziestu kobiet oraz kilkunastu mężczyzn. Chłopi jednak, jak w wielu podobnych przypadkach, zachowywali postawę bierną. Wypadki na olendzkich polach do dziś budzą żywe emocje wśród tamtejszej ludności. Wobec lakonicznych przekazów, jakie zachowały się w oficjalnych dokumentach partyjnych, warto oddać głos uczestnikom tych wydarzeń, którzy przed kilkoma laty stali się bohaterami prasowego reportażu Alicji Zielińskiej. Jan Kryński opowiadał: „Przyjechał mierniczy, przewodniczący Gromadzkiej Rady Narodowej, sekretarz partii. Zaczęli wbijać paliki, żeby oznaczać grunty. A kobiety za te paliki, wyrwywają, łamią na kawałeczki. Krzyczą: precz z naszej ziemi, psami poszczujemy, kamieniami w was tylko! Oni się zwinęli i poszli. Ale na drugi dzień przyjechały traktory z POM-u. Wioska zamarła ze strachu. To już koniec. Jak zaorzą miedzę, już nie dojdiesz swego. [...] Kobiety, nie zważając na nic, rzuciły się na maszyny. I do traktorzystów, że nie pozwolą wjechać. Co oni próbują ruszyć, to one przed nimi. [...] A kilka to wprost się kładło na ziemię. Jeden traktorzysta, młody chłopak, rozplakał się. Nie wiedział, co robić. Przecież po ludziach nie pojedzie”. Stefan Półtorak z tej samej wsi wspominał: „Okropny był tutaj bunt. [...] Kobiety naprawdę narażały życie,

stawały w obliczu śmierci. Przyjeżdżał traktorzysta, a one przed maszyną, no jedź, to można sobie wyobrazić. A z drugiej strony stała milicja z bronią ostrą. I strzelali. W górę, ale strzelali. Stałem za stodołą, bałem się bliżej podchodzić”.

Prowodrzy do więzienia

Bunt w Olendach jest jedynym przypadkiem na Białostocczyźnie, i zapewne jedynym z nielicznych w kraju, kiedy wobec protestujących kobiet zastosowano represje. Już trzy dni po opisanym zajściu aresztowano sześć kobiet i dwóch mężczyzn, których uznano za „prowodników” zajścia. 23 września 1954 roku skazano ich podczas procesu w Bielsku Podlaskim: Bolesławę Fronc i Bolesława Michalczyka na rok więzienia, Franciszka Kwiatkowskiego – osiem miesięcy więzienia, Genowefę Osiel – sześć miesięcy więzienia, Annę Angielczyk – rok więzienia w zawieszeniu na trzy lata, Wiesławę Pampuch, Janinę Balejko, Annę Kucharczyk – sześć miesięcy więzienia w zawieszeniu na trzy lata. Prawdopodobnie odstępstwo od niepisanej reguły niewyciągania konsekwencji w stosunku do kobiet miało stanowić przestrożę dla innych wsi, których mieszkańcy nosiliby się z zamiarem wszczynania podobnych tumultów.

Z czego wynikała tak duża determinacja kobiet w oporze wobec kolektywizacji? Zapewne była spowodowana ich większym przywiązaniem do dotychczasowego stylu życia, tradycji i religii. Znaczące wydaje się również poczucie odpowiedzialności za materialny byt rodziny. Poza tym ówczesna praktyka wskazywała, że represjonowanie kobiet za wystąpienia tego typu nie mieściło się w standardach postępowania nawet stalinowskich władz. Wobec tego wielu chłopów ukrywało swoją niechęć do kolektywizacji, zasłaniając się opinią żony lub teściowej, które w mniejszym stopniu były narażone na represje. Podczas zbiorowych wystąpień przeciw spółdzielniom produkcyjnym kontekst polityczny zajmował odległe miejsce. Na pierwszym planie znajdowała się obrona gospodarstwa, które było podstawowym, a najczęściej jedynym, źródłem utrzymania chłopskiej rodziny. 🍀

dr Marcin Markiewicz – kierownik Referatu Badań Naukowych i Zbiorów Bibliotecznych OBEP IPN w Białymstoku



Fot. Archiwum Państwowe w Białymstoku

Wysoki Sejmie! Cui bono? Milena Rudnyćka (1892–1976)

Joanna Hytrek-Hryciuk

„Wysoki Sejmie, na czyją korzyść to się robi, cui bono?” – wielokrotnie pytała z trybuny Sejmu II Rzeczypospolitej posłanka Milena Rudnyćka. Obok ukraińskich senatorek Ołeny Łewczaniwskiej i Ołeny Kisielewskiej, a także żydowskiej posłanki Róży Melcer – była jedną z niewielu reprezentantek mniejszości narodowych w przedwojennym parlamencie polskim.



► Milena Rudnyćka

W ławach poselskich zasiadała przez dwie kolejne kadencje sejmu (1928–1935). Była ukraińską patriotką. Walczyła o oświatę w języku ojczystym, aktywizację środowisk kobiecych i respektowanie praw, które mniejszości ukraińskiej gwarantowała polska konstytucja. Rudnyćka była aktywna w sprawach międzynarodowych: przemawiała na kongresach środowisk emancypacyjnych w wielu europejskich stolicach; postulowała, by Liga Narodów rozpoczęła śledztwo w sprawie uwięzienia posłów w twierdzy brzeskiej i zajęła się Wielkim Głodem na Ukrainie radzieckiej. Była posłanką o wysokiej kulturze i skuteczności w działaniu. Jej śmiałe decyzje polityczne szybko doprowadziły do konfliktu z innymi ukraińskimi politykami, także członkami stronnictwa UNDO (Ukraińskie Zjednoczenie Narodowo-Demokratyczne), które reprezentowała. W liście do Sofji Rusowej, przedstawicielki ukraińskiej inteligencji, napisała: „Dostojna i droga pani wie, że mam śmiałość mówić ludziom to, co myślę, że nie waha-

się czynić sobie wrogów, jeśli wymaga tego moja wewnętrzna prawda”.

Matematyczne podstawy estetyki renesansu

Milena Rudnyćka urodziła się w 1892 roku w Zborowie, który w okresie międzywojennym leżał w województwie tarnopolskim. Pochodziła z inteligentnej, zamożnej rodziny galicyjskiej o korzeniach żydowskich, w jej domu język polski przeważał nad ukraińskim. Wśród jej rodzeństwa znaleźli się wybitne postaci życia politycznego i kulturalnego: publicysta i dziennikarz Iwan Kedryn–Rudnyćkyj; krytyk literatury zachodnioeuropejskiej Mychajło, muzyk Antin oraz Wołodymyr – adwokat. Milena – co nie było wówczas tak oczywiste wśród mieszkanki Galicji – podjęła wyższe studia. Uczyla się w Wiedniu, w którym w latach I wojny światowej kwitło życie emigracji ukraińskiej. Została nauczycielką matematyki i filozofii. Zgodnie z ówczesnymi zwyczajami studia zakończyła obroną pracy doktorskiej – pisała o matematycznych podstawach estetyki renesansu. W CK Monarchii wyszła także za-

82 posiedzenie z dnia 28 lutego 1930 r.

ni u nauczycieli duchownych innych wyznań po-
mienie takie nastąpić miało z zwierzchnością ko-
skał w komisji większości. Wniosek mój niestety nie
on zupełnie uzasadniony i że opiera się na post-
wieniach Konstytucji. Dlatego wniosek mój skła-
ponownie i proszę Wysoką Izbę o jego przyjęcie

Marszałek:

Głos ma p. Rudnicka.

P. Rudnicka:

Wysoki Sejmie! Art. 58 pragmatyki nauc-
cielskiej, albo jak oficjalny tytuł opiewa – ustaw
o stosunkach służbowych nauczycieli był w latach
ostatnich tak wszechstronnie, tak często omawian
zarówno na zjazdach nauczycielskich, jak i w prasi-
ten był również przedmiotem tak wszechstronnej
pedagogicznej, a nawet i w prasie codziennej, artyku-
rozważania i obrad Wysokiego Sejmu w 1926 r., gdy
uchwalano ustawę o pragmatyce nauczycielskiej
i obecnie na terenie Komisji Oświatowej, – że do-
prawdy trudno o tej sprawie powiedzieć coś nowego.

Zabierając głos w dyskusji nad zmianą tego ar-
tykułu, zdaję sobie sprawę z tego, że wbrew mojej
woli i wiedzy mogę powtórzyć to, co ktoś kiedyś już
powiedział, czy napisał. Pragnę przedewszystkiem
stwierdzić, że praktyka ostatnich lat udowodniła, że
słuszne były obawy tych panów posłów, a między ni-
mi przedewszystkiem przedstawicieli Klubu Ukraiń-
skiego, którzy w 1926 r., gdy Wysoki Sejm uchwałił
ustawę o stosunkach służbowych nauczycieli, prze-
strzegali tę Wysoką Izbę przed tym już dziś osławio-
nym artykułem. Ich obawy, niestety, sprawdziły się.
Art. 58 nie służył dobremu, ale pod pozorem do-
stał się pretekstem do naruszenia praw obywatelskich
nauczycieli, zawarowanych Konstytucją. Setki przy-
kładów świadczą o tem, że nie dobro szkoły było
istotną podstawą poczynań władzy szkolnej przy
przenoszeniu nauczycielstwa z jednego krańca kraju
na drugi, że prawdziwą przyczyną tych przeniesień
były polityczne porachunki. Przenosi się nauczycie-
la za jego przekonanie polityczne, że nie podoba się
na, za sprawowanie mandatu poselskiego, gdy man-
dat wygasa, albo poprostu dlatego, że nie podoba się
temu lub owemu kacykowi prowincjonalnemu, trze-
ścemu w danej chwili wsią, czy miastem.

Ironja losu zrzuciła, że artykuł, który zjawił
się w ustawie pod dyktando p. Stanisława Grabskie-
go, ówczesnego ministra wyznań religijnych i oświe-
cenia publicznego, stał się bronią przeciw ludziom
tego obozu. Przysłowie mówi, że kij ma dwa końce.

Proszę Wysokiej Izby! Jeżeli art. 58, mówią-
cy o przeniesieniach nauczycieli dla dobra szkoły,
jest tak niebezpieczny, nawet dla nauczycielstwa
polskiego, to tembardziej groźny okazał się on w
stosunku do nauczycielstwa ukraińskiego i bez prze-
sady można powiedzieć, że ten artykuł dał władzom
szkolnym i władzom politycznym, bo przecież wła-
dza szkolna podporządkowana jest władzom admini-
stracyjnym, dał broń do prowadzenia walki z nau-
czycielstwem narodowości ukraińskiej. Bo trzeba
pamiętać, że sama litera ustawy niewiele znacz-
więższe znaczenie ma duch ustawy.

maż za ukraińskiego adwokata, publicystę i działacza społecznego Pawła Łysiaka. Małżeństwo szybko się jednak rozpadło i Rudnyćka wraz z synem Iwanem powróciła w rodzinne strony i zamieszkała we Lwowie. Zaczęła także ponownie posługiwać się panieńskim nazwiskiem, co budziło oburzenie w konserwatywnym środowisku miasta. Do 1928 roku uczyła tam m.in. w Państwowym Seminarium Nauczycielskim Żeńskim im. Adama Asnyka.

Zarówno w Wiedniu, jak i później we Lwowie Rudnyćka zaangażowała się w działalność społeczną. Pracowała m.in. dla Związku Ukrainek, którego podstawowym celem była aktywizacja kobiet oraz poprawa jakości ich życia. Instruktorzy związku organizowały rozmaite kursy i szkolenia; w terenie podejmowały owocną współpracę z czytelniami ukraińskiego Towarzystwa „Proświta” („Oświata”, założone w 1868 roku); nawiązywały również kontakty międzynarodowe. Rudnyćka należała także do elitarnego Ukraińskiego Towarzystwa Kobiet z Wyższym Wykształceniem, które popularizowało ideę podejmowania studiów wyższych przez młode Ukrainki.

W styczniu 1928 roku zarząd UNDO zatwierdził jej kandydaturę do sejmu. Rudnyćka dostała się do izby niższej polskiego parlamentu, startując z dziewiątego miejsca listy państwowej nr 18 – Bloku Mniejszości Narodowych. Była jedną z ośmiu kobiet, które zostały posłami tej kadencji. Zasiadała w komisji oświatowej, wygłosiła pięć przemówień i kilka interpelacji. Czyniła ją to najaktywniejszą spośród posłanek. Jednak ani temu, ani późniejszym sejmom nie było dane podjąć kompleksowej debaty na temat mniejszości narodowych zamieszkujących II Rzeczpospolitą, na co Rudnyćka tak bardzo liczyła.

W ciągu 1928 roku znacznie wzrósł jej autorytet polityczny: 24 i 25 grudnia odbył się III Zjazd Ludowy UNDO

z udziałem około 400 delegatów i obserwatorów. Posłanka znalazła się w składzie Komitetu Centralnego UNDO. Kilka dni później Związek Ukrainek wybrał ją na swoją przewodniczącą. Na przełomie dekad organizacja, którą zdecydowała się kierować, zrzeszała już około 15 tys. członkiń w blisko sześćdziesięciu filiach miejskich i trzystu wiejskich. Podstawą feminizmu w jej przypadku była kwestia narodowościowa. W walce o prawa kobiet zdecydowanie dystansowała się od radykalnych pomysłów zarówno prawicy, która kwestionowała prawa mężatek do podejmowania pracy zawodowej, jak i lewicy, promującej ideę kolektywnego wychowania dzieci, co miałyby ułatwić kobiecie pracę poza domem. Popularny wówczas dylemat dotyczący wyboru między małżeństwem a pracą zawodową oceniała jednoznacznie: „to jeden z najbardziej niesprawiedliwych przesądów i jedno z najbardziej nieludzkich okrucieństw współczesnego świata”. Zdaniem badaczy, to dzięki zdolnościom politycznym i determinacji przewodniczącej związek nie rozpadł się na liczne mniejsze organizacje, co gwarantowało mu sukces. Obowiązki przewodniczącej godziła także z zadaniami redaktorki naczelnej dwutygodnika „Żinka” („Kobieta”).

Gorące lata

Sejm II kadencji został rozwiązany decyzją prezydenta Ignacego Mościckiego w sierpniu 1930 roku. Koła rządowe obawiały się, że posłowie nie poprą zmian w konstytucji, które miały prowadzić do ograniczenia władzy ustawodawczej i wzmocnienia wykonawczej.

Gorące lato 1930 roku obfitowało też w inne wydarzenia. Pomiędzy lipcem a listopadem w województwach lwowskim, tarnopolskim i stanisławowskim Ukraińska Organizacja Wojskowa i Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów dokonały blisko dwustu napadów na majątki polskich ziemian, urzędy administracyjne, a nawet pocztowe. Władze polskie rozpoczęły akcję pacyfikacyjną, która, wbrew intencjom rządu, przybrała bardzo brutalny charakter. Nocą z 9 na 10 września 1930 roku pod zarzutem organizowania zamieszek aresztowano kilkudziesięciu byłych posłów, w tym pięciu członków UNDO, chociaż władze związku dystansowały się od działań obu ukraińskich organizacji. Wszystkich osadzono w dziewiętnastowiecznej twierdzy w Brześciu.

W tych warunkach kampania wyborcza do parlamentu musiała być skromniejsza. Mimo to do sejmu dostało się 17 członków UNDO, w tym ponownie Rudnyćka. W tej kadencji pracowało ▶

Fot. ze zbiorów Lesi Onyszko



▶ Milena Rudnyćka (drugi rząd, trzecia z lewej) z członkiniami chóru Związku Ukrainek ze wsi Puków; Rogatyn, 18 marca 1934 roku



Fot. ze zbiorów Lesi Onyszko

► Ukraińska delegacja podczas konferencji międzynarodowej w Wiedniu w rezydencji kard. Teodora Innicera, 16–17 grudnia 1933 roku

się jej jeszcze trudniej. Zdarzało się, że jej wystąpienia, w których protestowała przeciwko likwidacji ukraińskiego szkolnictwa, były przerywane okrzykami: „Niech pani nie przekracza immunitetu kobiecego!”, dochodzącymi z ław posłów sanacyjnego Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem. Rudnyćka opowiadała także przeciwko wprowadzeniu elementów „wychowania państwowego”, co było jednym z założeń reformy edukacji, wprowadzanej przez ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego Janusza Jędrzejewicza. Zdaniem posłanki, byłoby to fatalne dla wielonarodowościowej II Rzeczypospolitej. Alarmowała także o wielkich, negatywnych zmianach, które nastąpiły w ukraińskim szkolnictwie po wydarzeniach 1930 roku. Wreszcie, to właśnie Rudnyćka złożyła do Sekretariatu Generalnego Ligi Narodów petycję z żądaniem rozpoczęcia śledztwa w sprawie bezprawnego przetrzymywania polityków w twierdzy brzeskiej. W styczniu 1932 roku skargę ostatecznie oddalono, ale działalność zagraniczna Rudnyćkiej coraz szerszym echem odbijała się w Polsce.

Nad sposobem zdyscyplinowania krytycznej wobec rządu posłanki zastanawiało się nie tylko prezydium sejmu, lecz także marszałek Józef Piłsudski.

Grupa posłanek i senatorek BBWR, członkiń Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet, opublikowała na łamach „Gazety Polskiej” list otwarty, w którym potępiały działalność przedstawicielki UNDO. Zarzuty dotyczyły braku lojalności oraz szerzenia nienawiści do państwa polskiego. W swej odpowiedzi zamieszczonej na łamach „Nowego Czasu” Rudnyćka nazwała publikację prorządowych parlamentarzystek „jeszcze jednym ogniwem w łańcuchu tragicznych nieporozumień, z których niestety od lat kilkunastu składa się i na jakich opiera się polska polityka narodowościowa”.

Pomimo popularności i odnoszonych sukcesów, a może właśnie z ich powodu, UNDO nie wystawiło kandydatury Rudnyćkiej do wyborów w 1935 roku. Jej nieobecność na liście kandydatów do sejmu była wynikiem „normalizacji” stosunków pomiędzy UNDO a kręgami rządowymi, reprezentowanymi przez ministra spraw wewnętrznych Mariana Zyndramy-Kościałkowskiego. Rudnyćka przewidywała taki bieg wydarzeń. Na reakcję nie trzeba więc było długo czekać: Związek Ukrainek postanowił zachęcać kobiety do bojkotu wyborów. W odpowiedzi zarząd UNDO wykluczył ją z partii.

Rudnyćka popadła w kłopoty finansowe. Początkowo pracowała jako na-

uczycielka na Mazowszu, zdecydowała się jednak wrócić w rodzinne strony. W 1938 roku, na mocy decyzji ministra spraw wewnętrznych, Związek Ukrainek został zlikwidowany. W jego miejsce utworzono organizację skautową „Drużyny Księżnej Olgi” pod przewodnictwem... Rudnyćkiej. Nazwa organizacji nawiązywała do postaci średnio-wiecznej władczyni Rusi Kijowskiej.

Długa droga do domu

Jesienią 1939 roku terytorium Galicji znalazło się pod okupacją Armii Czerwonej. Rudnyćka zdecydowała się na ucieczkę za San. Początkowo mieszkała w Krakowie (1939–1940), potem w Berlinie (1940–1943) i wreszcie w Pradze (do 1945). Podczas trwającej na Wołyniu latem 1943 roku rzezi na Polakach dokonywanej przez Ukraińską Powstańczą Armię próbowała pośredniczyć w rozmowach między Polakami a Ukraińcami.

Po wojnie długo szukała swojego miejsca: mieszkała w Austrii, Szwajcarii, we Włoszech i w USA. Za oceanem próbowała odnowić swoje związki z ukraińskimi organizacjami kobiecymi i reaktywować Związek Ukrainek. Była jednak źle postrzegana wśród członków diaspory i ostatecznie zdecydowała się na wyprawę do Monachium. Tam nawiązała m.in. kontakty z polską emigracją i środowiskiem paryskiej „Kultury”. Ostatecznie jednak działalność polityczną zamieniła na zgłębianie problematyki religijnej.

W stolicy Bawarii zmarła 29 marca 1976 roku. Blisko dwadzieścia lat później jej szczątki przewieziono do Lwowa i pochowano na Cmentarzu Łyczakowskim. Za jej trumną szły działaczki reaktywowanego Związku Ukrainek. ❀

Autorka dziękuje Panu Marcinowi Gaczkowskiemu za udostępnienie materiałów na temat Mileny Rudnyćkiej. Za pomoc w zilustrowaniu artykułu „Pamięć.pl” dziękuje redakcji tygodnika „Nasze Słowo”. спасиби!

dr Joanna Hytrek-Hryciuk – pracownik OBEP IPN we Wrocławiu, autorka książki „Rosjanie nadchodzą! Ludność niemiecka a żołnierze Armii Radzieckiej (Czerwonej) na Dolnym Śląsku w latach 1945–1948 (2010)

Major „Bruzda” – symbol białostockiej konspiracji

Sławomir Poleszak

Był 20 kwietnia 1945 roku. Siedmioosobowy oddział dowodzony przez majora „Bruzdę” zatrzymał w Puszczy Knyszyńskiej na trasie Grajewo–Białystok ciężarówkę polskiej poczty wojskowej. Jeden z partyzantów pozostał z rozbrojoną załogą pojazdu, pozostali udali się w stronę Białegostoku. Podjechali do szpitala wojskowego, sterroryzowali strażników, na noszach wynieśli ppor. Franciszkę Ramotowską „Iskrę”.

Odbicie „Iskry” było jedną z najbardziej spektakularnych akcji mjr. Jana Tabortowskiego „Bruzdy”. Podporucznik Ramotowska była łączniczką komendy Inspektoratu Łomża AK (obejmował obwody: Grajewo i Łomża). Została aresztowana w Białymstoku w styczniu 1945 roku przez NKWD wskutek denuncjacji jej byłego kolegi z oddziału. Dla Sowietów była szczególnie cenną zdobyczą. Wiedzieli, że łączniczka może znać kwatery, w których ukrywał się „Bruzda”. Aby wydobyć te informacje, poddano ją ciężkim przesłuchaniom. Podczas jednego z nich „Iskra”, nie mogąc wytrzymać cierpień, wykorzystała nieuwagę enkawudzisty i wyskoczyła przez okno. Przeżyła, ale uszkodziła sobie kręgosłup. Umieszczono ją w strzeżonym szpitalu wojskowym. „Bruzda” – po zebraniu informacji wywiadowczych – zaplanował akcję odbicia. Pod szpital dotarli zarekwirowaną ciężarówką pocztową. Dwóch wartowników pilnujących „Iskry” rozbrojono, a ją wniesiono do pojazdu. Po uwolnieniu przez miesiąc leczono ją w Łomżyńskim, a następnie przewieziono do Warszawy, pod opiekę zaufanego doktora. W 1947 roku skorzystała z możliwości ujawnienia i zaczęła studiować historię na Uniwersytecie Warszawskim. Przez wiele lat pracowała w Archiwum Głównym Akt Dawnych, była wybitnym znawcą funkcjonowania polskiego państwa podziemnego w okresie powstania styczniowego.

Niecałe trzy tygodnie po uwolnieniu „Iskry” oddział „Bruzdy” przeprowadził kolejną spektakularną akcję, która stała się jednym z „żelaznych” przykładów obrazujących, na czym polegała działalność

powojennego podziemia. Co znamienne, przeprowadzono ją w momencie, gdy Europa świętowała zakończenie II wojny światowej. W nocy z 8 na 9 maja 1945 roku mjr Tabortowski – po dokładnym rozpoznaniu – na czele około dwuosobowego oddziału wkroczył do Grajewa, siedziby władz powiatowych. Zablokowano drogi dojazdowe, przerwano połączenia telefoniczne i odcięto dopływ prądu. W miasteczku wydzielono trzy główne grupy uderzeniowe. Pierwsza, dowodzona przez ppor. Stanisława Marchewkę „Rybę”, zdobyła budynek miejscowego Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Z cel znajdujących się w jego piwnicach uwolniono kilkudziesięciu więźniów. Druga grupa, prowadzona przez por. Franciszka Warzyńskiego „Wawra”, uderzyła



► Porucznik Jan Tabortowski, zdjęcie przedwojenne

Fot. AIPN



► Jan Tabortowski i Franciszka Ramotowska „Iskra”, uroczysko Kobielne, lato 1944 roku

Fot. AIPN



► Ostatnia narada Komendy Okręgu WiN Białystok przed ujawnieniem; okolice Łap, pow. Wysokie Mazowieckie, marzec 1947 roku; stoją od lewej: NN, mjr Józef Ochman „Orwid”, ostatni prezes Okręgu, NN, NN, płk Marian Świtalski „Sulima”, NN, mjr Edward Filochowski „San”, prezes Rejonu Mazowieckiego i mjr Jan Tabortowski „Bruzda”, „Tabor”

Fot. AIPN

na Komendę Powiatową MO, skąd również uwolniono około czterdziestu więźniów. Trzeci oddział sierż. Antoniego Kurowskiego „Olszyny” zablokował komendaturę wojenną, w której znajdowało się kilkudziesięciu żołnierzy sowieckich. Kiedy próbowali oni pomóc atakowanym urzędom, zostali ostrzelani przez partyzantów. Partyzanci opanowali też starostwo i Izbę Skarbową, z aresztów uwolnili w sumie ponad stu więźniów. Opuszczając miasteczko, żołnierze „Bruzdy” rozstrzelali byłych agentów gestapo i współpracowników nowej władzy oraz rozbili punkt łączności armii sowieckiej.

„Będzie dobrym i odważnym oficerem”

Walka w powojennym podziemiu antykomunistycznym była dla Jana Tabortowskiego oczywistą konsekwencją wcześniejszych jego wyborów i tradycji, w której wyrósł. Jego przodkowie walczyli w powstaniach w 1831 i 1863 roku. On sam z urodzenia był nowogrodzianinem. Przyszedł na świat jako poddany cara Rosji Mikołaja II w 1906 roku. W 1930 roku ukończył Szkołę Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej-Komorowie, a następnie Oficerską Szkołę Artyle-

rii w Toruniu. Jako oficer zawodowy Wojska Polskiego służył w pułkach artylerii w Nowej Wilejce i Lidzie. Dowódca jego batalionu, mjr Ziemiański, tak go scharakteryzował: „W wypadku wojny będzie dobrym i odważnym oficerem. [...] Rozkazuje krótko i zwięźle, lecz wykonania rozkazów nie kontroluje. Dostosowuje się bardzo dobrze do poziomu umysłowego szeregowego i wczuwa się w ich psychikę”.

W 1935 roku przeniesiono go do Centrum Wyszkożenia Broni Pancernych w Modlinie. Następnie, do wybuchu wojny, służył w 1. dywizjonie pociągów pancernych w Legionowie. W 1935 roku dowódca 19. pułku artylerii lekkiej, płk Leon Dębski, tak oceniał jego postawę: „W niebezpieczeństwie zachowuje zupełnie zimną krew. [...] Dość lekomyślny. Fizycznie bardzo wytrzymały. [...] Inteligencja bardzo duża. [...] Mógłby osiągnąć wybitne wyniki, gdyby ambicja pracy była większa”.

Dywizjon w Legionowie składał się z pięciu pociągów. Bezpośrednio przed wybuchem wojny dwa najnowocześniejsze z nich: „Danutę” nr 11 – w której jako dowódca plutonu czołgów rozpoznawczych służył por. Tabortowski – oraz „Poznańczyka” nr 12 przydzielono jako wsparcie dla Armii „Poznań”. Załogę stanowiło ok. 170 żołnierzy. W chwili wybuchu wojny Tabortowski został zastępcą dowódcy pociągu, który następnie wykorzystywano do osłaniania wycofujących się jednostek Armii „Poznań”. 16 września koło Jackowic w powiecie łowickim pociąg uszkodzili Niemcy. Z braku możliwości naprawy zabrano lżejsze uzbrojenie, zaminowano go, zaczęto, aż zbliżyli się żołnierze niemieccy, i wysadzono.

Żołnierze z załogi „Danuty” kontynuowali walkę. Tabortowski przez kolejne dwa dni osłaniał przeprawę polskich pododdziałów przez Bzurę. Został dwukrotnie ranny w nogi i rękę, dostał się do niewoli niemieckiej. Po kapitulacji Warszawy umieszczono go w jednym z miejscowych szpitali wojskowych. Leczenie trwało trzy miesiące. Wiedział, że po kuracji trafi do oflagu. Chciał tego uniknąć, dlatego uciekł, gdy tylko pozwolił mu na to stan zdrowia.

W tym samym czasie, daleko na wschodzie, rozgrywał się dramat jego młodszego brata Alberta, porucznika WP. We wrześniu 1939 roku walczył on w obronie Lwowa. Po upadku miasta wrócił do Nowogródka, gdzie został zadenuncjowany i schwytyany przez NKWD. Osadzono go w obozie w Starobielsku, skąd w kwietniu lub maju 1940 roku przetransportowano do Charkowa i zamordowano strzałem w tył głowy, podobnie jak ponad 20 tys. innych obywateli polskich.

W podziemiu

Lata 1940–1942 to słabo znany okres życia Tabortowskiego. Wiadomo, że na przełomie 1939 i 1940 roku opuścił Warszawę, przedarł się przez granicę niemiecko-sowiecką i dotarł w okolice Wysokiego Mazowieckiego. Najprawdopodobniej w styczniu 1940 roku dotarł tam jako emisariusz organiza-

cji konspiracyjnej Służba Zwycięstwu Polski – Związek Walki Zbrojnej. Występował pod pseudonimem „Kusy”. Razem ze swoim przyjacielem, por. Czesławem Gołębiowskim „Bosym”, budował sieć kontaktów i organizowali struktury żywiłowo rozwijającej się konspiracji. W maju lub czerwcu 1940 roku został komendantem Obwodu Bielsk Podlaski ZWZ, „Bosy” zaś dowodził Obwodem Wysockie Mazowieckie.

Powszechne przekonanie, że okupacja nie będzie długotrwała, spowodowało, że początkowo nie zachowywano środków ostrożności, co ułatwiało zadanie sowieckim służbom specjalnym. Dzięki rozbudowanej sieci donosicieli NKWD dziesiątkował szeregi konspiratorów. Tabortowskiemu udało się uniknąć wpadki. Dowództwo AK doceniło jego dotychczasową pracę podziemną – wkrótce awansował na inspektora Inspektoratu Łomża AK. Na stanowisku tym pozostawał do końca wojny, dowodząc w tym czasie dwoma inspektoratami.

Upojony strażnik

W listopadzie 1942 roku, gdy wracał z odprawy m.in. razem z komendantem Obwodu Łomża por. Stanisławem Cieślewskim „Lipcem”, wszyscy zostali przypadkowo zatrzymani przez patrol żandarmerii i odstawieni do łomżyńskiego więzienia. Niemcy nie zdawali sobie sprawy, że mają w ręku najważniejszych przywódców miejscowej konspiracji. Więzienie było solidne, nie było możliwości odbicia. Więźniowie zaczęli organizować się samodzielnie – zbierali informacje o współwięźniach aresztowanych za pracę podziemną, sporządzili plan budynku i organizacji wewnętrznej więzienia. Dbali też o sprawność fizyczną. Później zaczęła docierać pomoc z zewnątrz. Główne role odegrali Wiktor Surowiecki „Vickey” i Piotr Dudziński „Zarzyn”. Pierwszy z nich był konspiratorem z Wilna, aresztowanym podczas przekraczania granicy. W więzieniu pełnił funkcję tłumacza. Mógł się samodzielnie poruszać między jego oddziałami. Drugi był strażnikiem więziennym i jednocześnie członkiem miejscowej konspiracji. To on dostarczył do więzienia piłki, pilniki, dorobione klucze, a także broń, amunicję i pieniądze.



► Major Jan Tabortowski „Bruzda”, zdjęcie powojenne

Fot. AIPN

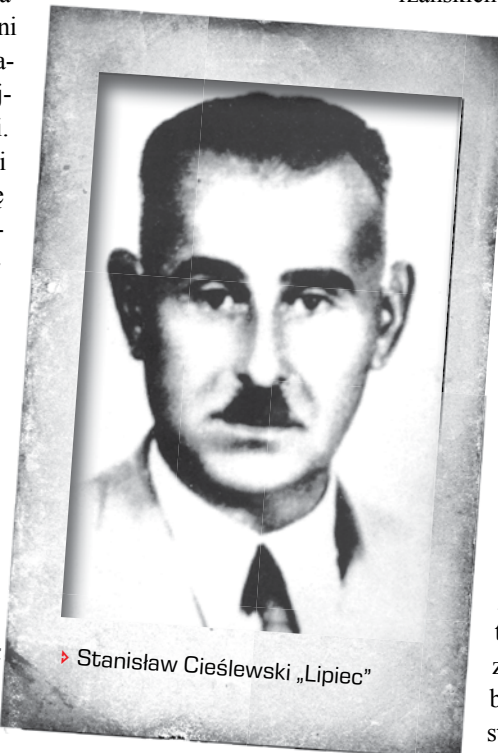
Decyzję o przyspieszeniu ucieczki spowodowała wizyta miejscowego gestapo, która zapowiadała egzekucje. W śnieżną noc z 12 na 13 stycznia 1943 roku „Vickey” spoił alkoholem oddziałowego, a następnie dorobionymi kluczami otworzył cele więzienne. Uwolnieni pokonali wysoki mur, za którym czekały na nich partyzanckie podwozy, które rozwoziły ich na przygotowane kwatery. Z więzienia wydostało się 8–12 uciekinierów. Z powodu dekonspiracji komendant Okręgu Białystok AK, kpt. Władysław Liniarski „Mścislaw”, przeniósł kpt. „Bruzdę” na stanowisko inspektora suwalskiego (obwody: Suwałki i Augustów).

W pułapce Smiersza

W marcu 1944 roku Tabortowski powrócił na stanowisko inspektora łomżyńskiego, wakujące po zamordowanym przez Niemców cichociemnym, kpt. Leszku Łagodzie „Laku”. Zbiegło się to z przygotowaniem miejscowej konspiracji do akcji „Burza”, czyli powstania strefowego, skierowanego przeciwko wycofującym się Niemcom i wystąpienia wobec wkraczającej Armii Czerwonej w roli gospodarza. W lipcu i sierpniu 1944 roku dowodził około stuosobowym oddziałem partyzanckim, którego główną bazą było uroczysko Kobielne, wśród bagien nadbieżrzańskich (na pograniczu gmin Jedwabne,

Radziłów i Trzciannie).

Podległe mu oddziały przeprowadziły liczne akcje przeciwko wycofującym się wojskom niemieckim. Nie mając szans na dotarcie z pomocą walczącej Warszawie, kluczył między jednostkami Wehrmachtu i Armii Czerwonej. 16 sierpnia 1944 roku doszło do spotkania z oddziałami 49. armii sowieckiej. Partyzantów rozbrojono, a Tabortowskiem zajęł się kontrwywiad wojskowy Smiersz. Próbowano go użyć do zdekonspirowania miejscowej siatki AK. Przetrzymano go pod strażą wraz z adiutantem. Po dziesięciu dniach uwięzionym udało się zainteresować bojca zegarkiem „Bruzdy” – następnie obezwładnili go i uciekli. ►



► Stanisław Cieślewski „Lipiec”

Fot. AIPN

Przez kolejne miesiące Tabortowskiego tropiły sowieckie służby specjalne.

Nie stracić wiary w zwycięstwo

Choć skończyła się trzyletnia okupacja niemiecka, dla miejscowej ludności zaczął się czas „za drugiego sowieta”. NKWD i polski komunistyczny aparat represji polowały na żołnierzy AK i NSZ, z biegiem czasu prześladowając coraz szersze kręgi miejscowej społeczności. Areszty i więzienia użytkowane do niedawna przez gestapo zapelniały się działaczami niepodległościowymi. Wielu schwytanych żołnierzy zostało deportowanych w głąb Związku Sowieckiego. Bardzo szybko w dokumentach podziemia pojawiły się stwierdzenia, że porządki wprowadzane przez Sowietów i polskich komunistów to kolejna okupacja. Dlatego dla zdecydowanej większości kontynuacja walki w podziemiu była czymś oczywistym. Co więcej, konspiracyjne szereg w Łomżyńskim i Grajewskim były nawet minimalnie liczniejsze niż w połowie 1944 roku.

Mimo rozkazu gen. Leopolda Okulickiego „Niedźwiadka”, rozwiązującego AK, w Białostockiem kontynuowano walkę. 15 lutego 1945 roku komendant Okręgu, ppłk Władysław Liniarski „Mścisław”, powołał Armię Krajową Obywateli, zwaną też Obywatelską Armią Krajową. W ciągu kilku następnych miesięcy podległy mu teren znalazł się pod kontrolą podziemia, a nieliczne wyjątki stanowiły miasta. Partyzanci AKO i NSZ rozbijali posterunki MO, urządzali zasadzki na grupy operacyjne NKWD, UB, KBW. Rozstrzelali funkcjonariuszy i współpracowników UB i działaczy PPR. Najbardziej we znaki nowej władzy dał się „Bruzda” wspomnianym uwolnieniem „Iskry” i napadem na Grajewo.

W Zrzeszeniu „Wolność i Niezawisłość” „Bruzda” nadal działał na wcześniej zajmowanym stanowisku, ale pod pseudonimem „Tabor”. Do minimum ograniczono jednak walkę zbrojną, przeprowadzano jedynie nieliczne likwidacje osób podejrzewanych o współpracę z UB. Nacisk kładziono na uświadamianie miejscowego społeczeństwa i podtrzymywanie wiary w zwycięstwo, drukowano i kolportowano wydawnictwa podziemne i przeprowadzano akcje propagandowe. Drugim ważnym aspektem była działalność wywiadowcza.

Część działaczy miejscowego WiN-u było równocześnie zaangażowanych w działalność PSL. Sfałszowanie tzw. referendum ludowego z 30 czerwca 1946 roku i wyborów do Sejmu Ustawodawczego z 19 stycznia 1947 roku pozbawiło podziemie niepodległościowe złudzeń co do możliwości przejęcia



► Stanisław Marchewka „Ryba”, zdjęcie z 1950 roku

władzy. 17 lutego 1947 roku „Tabor” podpisał się pod odezwą kierownictwa Okręgu WiN zatytułowaną „Obywatele członkowie WiN”. Przedstawiono w niej argumenty przemawiające za ujawnieniem. Tabortowski uczynił to 25 marca 1947 roku w PUBP w Łomży.

„Normalne” życie

Na następne trzy lata osiadł w Warszawie. O kontynuowaniu służby wojskowej nie było mowy, podjął więc studia w Szkole Głównej Handlowej. Miał olbrzymie problemy w ustabilizowaniu życia osobistego i zawodowego: brak stałego lokum, wielokrotne zmiany miejsca zatrudnienia (pracował jako urzędnik m.in. w Centrali Handlowo-Technicznej i Związku Komunalnych Kas Oszczędności), a przede wszystkim kłopoty z bezpieczeństwem. W Warszawie odnalazł przyjaciela z czasów

okupacji niemieckiej, kpt. Stanisława Cieślewskiego „Lipca”, który w końcu 1946 roku wrócił z internowania w ZSRS. Początkowo, w 1948 roku, bezpieka zwróciła uwagę właśnie na Cieślewskiego. Mieli nadzieję, że zainteresowanie bezpieki minie, próbowali przeczekać, kilkakrotnie opuszczali Warszawę i spędzali czas nad Biebrzą, u ludzi, których znali z czasów konspiracji. Nie myśleli jednak o powrocie do działalności podziemnej.

Taktyka schodzenia z oczu bezpieki nie przyniosła rezultatu. O tym, że wrócili do miasta, co robili, w jakim byli stanie psychicznym – donosili tajni współpracownicy. Jeden z nich pisał: „Spotkałem w Warszawie »Bruzdę«. Jest przygnębiony, bliski samobójstwa. Doszedł do wniosku, że ujawnienie było błędem. Ostrzegaliśmy, żeby z nim się nie kontaktować, bo to może zwrócić uwagę bezpieki”. W lutym 1950 roku „Bruzda” pisał do matki: „W większości ogarnia mnie taka negacja, że dosłownie nie jestem zdolny do jakiegokolwiek pracy umysłowej [...]. Czas nie czeka i meta życia szybko się do nas zbliża, zresztą dzisiaj się tym nie przerażam. W życiu swym więcej napotykałyśmy kolców niż róż, a więc i mniejsza jego szkoda. [...] Prawdopodobnie ci wszyscy, którzy odeszli, są już dziś szczęśliwsi od nas”. W kwietniu 1950 roku ostatecznie uciekł z Warszawy i dołączył do ukrywającego się „Lipca”.

Trwać? Jak długo?

Uciekając z Warszawy, Tabortowski zapewne nie zakładał, że następne cztery lata spędzi w lesie. Liczył, że po jakimś czasie ponownie wróci do stolicy i na nowo podejmie pracę. Do wiosny 1951 roku we dwóch ukrywali się w nadbiebrzańskich wioskach w gminach: Jedwabne, Przytuły, Radziłów i Trzcianne. Korzystali z gościny i pomocy niedawnych podkomendnych z konspiracji. Bezpieka, nie mogąc wytropić ostatnich leśnych, używała różnych sposobów. Tworzyła

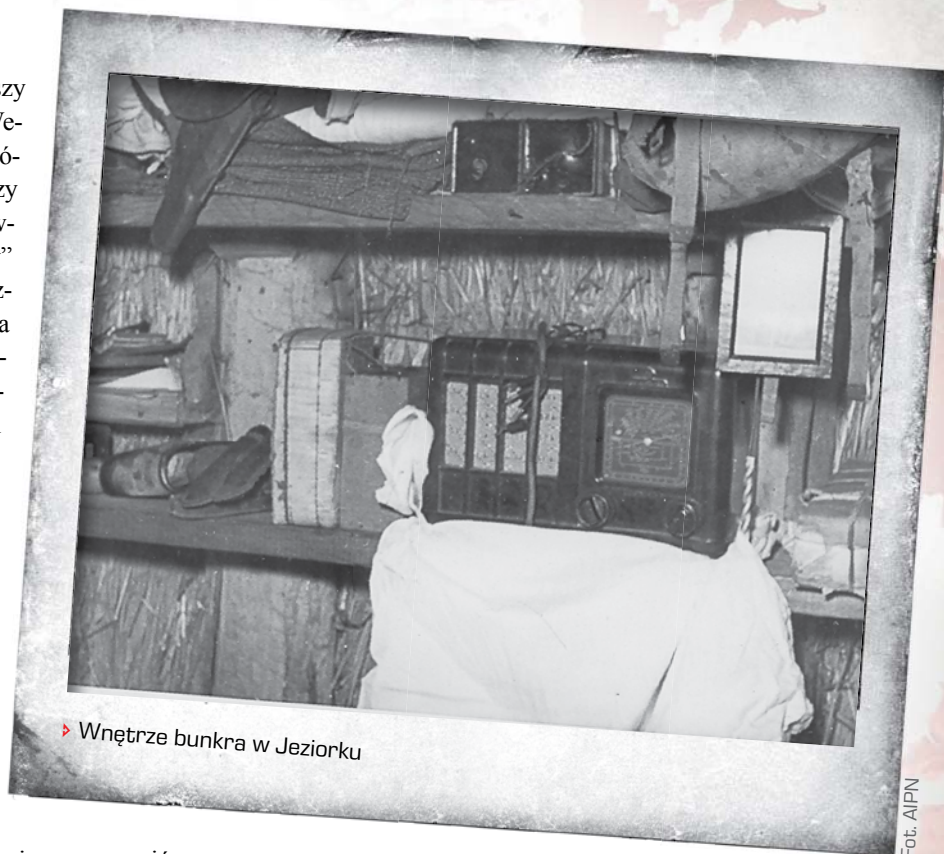
grupy likwidacyjne złożone z funkcjonariuszy UB, żołnierzy Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i tajnych współpracowników, którzy najczęściej denuncjowali byłych działaczy podziemia. W listopadzie 1950 roku Tabortowski i Cieślewski natknęli się na „likwidatorów” z białostockiego Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Podawali się oni za ocalałych z oblawy partyzantów. W rzeczywistości chcieli się przyłączyć, aby w sprzyjających okolicznościach ich zabić. Tabortowski i Cieślewski nie mieli pojęcia, że owi „partyzanci” mieli na swoim koncie kilkunastu zlikwidowanych w ten sposób „ostatnich leśnych”. Na szczęście zadziałała siatka wywiadowczo-ostrzegawcza: „Lipca” i „Bruzdę” ostrzeżono, że po terenie kręcą się nieznani osobnicy i wypytują. Obaj „likwidatorzy” zostali zastrzeleni.

Nie chcąc być ciężarem dla swoich pomocników, „Bruzda” i „Lipiec” postanowili się usamodzielnić. Rozbudowali oddziałek i rozpoczęli akcje rekwizycyjne w sklepach „Samopomocy Chłopskiej”, mające zapewnić im środki do życia. Latem 1952 roku siły UB i KBW spacyfikowały teren, na którym przebywał Tabortowski ze swym oddziałem. Aresztowano ludzi podejrzewanych o współpracę z nimi. Schwytania lub śmierci uniknęli jedynie Tabortowski i jeden z jego podkomendnych. Stanisław Cieślewski poległ 27 sierpnia 1952 roku, otoczony przez grupę operacyjną UB-KBW w Grądach Małych koło Jedwabnego.

Przyjaciel, który nie zdradził

Nie mogąc dopaść Tabortowskiego, UB postanowił wykorzystać jego innego przyjaciela z konspiracji, ppor. Stanisława Marchewkę „Rybę”. W latach 1945–1946 był on szefem samoobrony Inspektoratu Łomża AKO-WiN, po ujawnieniu wiosną 1947 roku przeniósł się do Łodzi, gdzie zajął się handlem. Tam w 1952 roku odnaleźli go funkcjonariusze UB z Białegostoku i zwerbowali do współpracy. Miał wrócić w Łomżyńskie, nawiązać kontakt z Tabortowskim i wskazać UB jego miejsca pobytu. Kiedy spotkali się wiosną 1953 roku, „Ryba” przyłączył się do oddziału i zerwał nici łączące go z bezpieką. Do oddziału dołączył też inny ujawniony członek AKO-WiN, nękanym przez UB i od kilku lat się ukrywający. Od jesieni 1953 roku ukrywali się we czterech w doskonale zamaskowanym bunkrze pod zabudowaniami gospodarstwa Apolinarego Grabowskiego we wsi Jeziorko koło Łomży.

Wieczorem 23 sierpnia 1954 roku we czterech weszli do Przytuła, aby zabrać pieniądze z miejscowej Kasy Spółdzielczej „Samopomoc Chłopska”. Wcześniej musieli rozbroić posterunek MO, aby wziąć stamtąd klucz do kasy. Na posterunek, gdzie znajdowały się trzy osoby, weszli Tabortowski i Marchewka.



► Wnętrze bunkra w Jeziorku

Fot. AIPN

Doszło do szamotaniny i wymiany strzałów, w wyniku której został śmiertelnie zraniony milicjant, ranni zostali też ormowiec i funkcjonariusz UB. W klatkę piersiową postrzelono także Tabortowskiego – ciężko rannego dobił dwoma strzałami Stanisław Marchewka. Nie wiadomo, czy został on postrzelony przez któregoś z przebywających na posterunku MO, czy przez Marchewkę, czy też – co wydaje się najbardziej prawdopodobne – trafił go rykoszet pocisku z jego własnego automatu. Zwłoki Tabortowskiego zabrano do Białegostoku, przeprowadzono sekcję. Miejsce pochówku jest do dzisiaj nieznane.

Po akcji w Przytułach pozostali trzej dotarli do bunkra w Jeziorku. Ukrywali się przez następne trzy lata, a bezpieka nie potrafiła znaleźć ich schronu. Dopiero na początku 1957 roku esbekom w wyniku gry operacyjnej udało się pozyskać jednego z nich. Po tej zdradzie Stanisław Marchewka zginął w strzelaninie z esbekami na początku marca 1957 roku.

Jan Tabortowski za działalność konspiracyjną został odznaczony przez władze podziemne Krzyżem Walecznych, Krzyżem Virtuti Militari V klasy i Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami. W sierpniu 2009 roku postanowieniem prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego „za wybitne zasługi dla niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej” został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski. 🇵🇱

dr Sławomir Poleszak – historyk, naczelnik OBEP w Lublinie, zajmuje się historią polskiego podziemia niepodległościowego i aparatu bezpieczeństwa; autor m.in. książek: *Jeden z wyklętych. Major Jan Tabortowski „Bruzda”* (1998); *Podziemie antykomunistyczne w Łomżyńskim i Grajewskim (1944–1957)* (2004), współredaktor *Atlasu polskiego podziemia niepodległościowego 1944–1956* (2007), redaktor naczelny periodyku „Pamięć i Sprawiedliwość”

„... ja to wszystko przetrzymałem”

– relacja Stanisława Bogdanowicza

Jest takie miejsce na tej ziemi, pełne ptaków i szumiące łany. Nic już z tego nie zostało i nic się nie zmieni. Nie istnieje mój zaścianek, mój dom ukochany”. Tyimi słowami Stanisław Bogdanowicz rozpoczyna swoją relację, która znajduje się w Archiwum Historii Mówionej Biura Edukacji Publicznej Instytutu Pamięci Narodowej. Archiwum, prowadzone przez Sekcję Notacji i Opracowań Multimedialnych, działa od 2006 roku. Zawiera kilka tysięcy godzin nagrań świadków historii – wywiadów z osobami uczestniczącymi w wydarzeniach, które rozegrały się w latach 1939–1989. Kolekcja ta powstaje podczas realizacji różnorodnych projektów tematycznych. Poniższym artykułem inaugurujemy cykl „Pamiętam jak dziś...”, w którym zaprezentujemy fragmenty relacji znajdujących się w Archiwum Historii Mówionej.

Na początku 1945 roku, zgodnie z rozporządzeniem władz sowieckich, Stanisław Bogdanowicz postanowił się ujawnić. Został jednak aresztowany i pomimo młodego wieku (w 1945 roku miał dopiero 16 lat) wcielony do wojska. Trafił do zapasowego pułku piechoty, na terenie byłego KL Lublin, skąd wraz z dwoma kolegami udało mu się uciec. Wkrótce dołączyli do oddziału partyzanckiego, działającego w okolicy Chełma Lubelskiego, dowodzonego przez mjr. Konstantego Piotrowskiego „Zagłobę” z 27. Wołyńskiej Dywizji AK. Stanisław Bogdanowicz złożył przysięgę i przyjął pseudonim „Skrzypek”. Oddział działał na terenie

województwa lubelskiego do lata 1945 roku, kiedy to przyszedł rozkaz o rozformowaniu i ujawnieniu się. Oficjalne dokumenty poświadczające dobrowolne złożenie broni partyzanci otrzymali w siedzibie Urzędu Bezpieczeństwa w Chełmie Lubelskim. Większość kolegów Bogdanowicza wróciła do domów, on jednak postanowił pozostać w konspiracji.

Zołnierz Niezłomny

W grudniu 1945 roku, kiedy przebywałem na kwaterze już po złożeniu broni, po ujawnieniu się, wtargnęli do mieszkania funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa. W tym czasie oni, jak się później dowiedziałem, jechali gdzieś na akcję w terenie, ale po drodze, to już nie wiem, jak dotarła do nich informacja, że tam jesteśmy. Ruszyli i zostaliśmy aresztowani. Prowadzili mnie po bezdrożach, na przełaj. Śnieg był dosyć głęboki, a ja miałem na stopach tylko trzewiki.

Już pierwszego dnia po aresztowaniu Stanisław Bogdanowicz został poddany brutalnemu śledztwu w siedzibie UB.

„Wiemy wszystko... jeśli sam złożysz zeznanie, to jeszcze może uratujesz głowę”. I tak przez całą noc trwało przesłuchanie, łącznie z biciem. A bicie było okropne. [...] Po jakimś czasie już nie mogłem stać o własnych siłach. [...] [Rankiem] zostałem wyprowadzony za jakiś budynek, przed sobą widzę głęboki dół. Za sobą słyszę repetowanie broni. Chciałem się przeżegnać, ale ręce miałem skrupowane za plecami.

Bogdanowicz nie został jednak rozstrzelany. Po chwili usłyszał, jak jeden

Stanisław Bogdanowicz urodził się w 1928 roku w Piłowojciach (ówczesne woj. wileńskie). Od 1942 roku współpracował z Armią Krajową. Ujawnił się na początku 1945 roku, po czym został przymusowo wcielony do „ludowego” wojska. Po ucieczce z IWP



Fot. z archiwum rodzinnego

wstąpił do oddziału partyzanckiego mjr. Konstantego Piotrowskiego „Zagłoby”. Latem 1945 roku grupa została rozformowana. W grudniu 1945 został aresztowany i skazany na 5 lat więzienia, które opuścił w 1948 roku na mocy amnestii. W okresie nasilenia represji ze strony władz został ponownie aresztowany, poddany brutalnemu śledztwu i skazany na 10 lat więzienia. Karę odbył w więzieniu w Koronowie i w Obozie Pracy Więźniów w Piechcinie. Zwolniony w okresie odwilży podjął pracę w Starym Polu, gdzie poznał swoją przyszłą żonę Stanisławę. Wraz z nią przeniósł się do Starego Targu, a później do Ryjewa, gdzie mieszka do dziś. Stanisław Bogdanowicz działa w Związku Kombatantów RP i Byłych Więźniów Politycznych. Został odznaczony m.in. Medalem Wojska, Krzyżem Armii Krajowej, Krzyżem „Burza” AK i Krzyżem Partyzanckim.

z funkcjonariuszy UB nakazał wstrzymanie egzekucji i powrót do Chełma Lubelskiego.

Po drodze, to było przecież dosyć daleko, śnieg w moich butach się roztopił i zanim dojechalśmy do Chełma, zamienił się w lód, który odłupywał się wraz ze skórą. Poprosiłem strażnika o jakiś opatrunek na krwawiące stopy. Ten jednak odpowiedział: „Żadnego opatrunku! Jeśli wda się gangrena, najwyżej amputujemy. Nie ma problemu”.

W Chełmie Bogdanowicza osadzono w przepelnionym do granic możliwości areszcie tymczasowym. Rozpoczęły się nocne przesłuchania połączone z biciem. W dzień strażnicy znęcali się nad więźniami w wymyślny sposób.

Zapamiętałem takie sceny, to byli ludzie [strażnicy] bez sumienia, robili sobie takie zabawy. Do celi wpadała zgraja i kazali Ukraincom więzionym z nami śpiewać ukraińskie pieśni. Oni byli bardzo przestraszeni, kulili się po kątach, bo

wiedzieli, co ich czeka. I w końcu śpiewali, bo jak nie, to bito ich kijami. [...] Innym razem kazali jednemu Ukraińcowi i jednemu z akowców bić się. Oni improwizowali, bo nie chcieli się bić. Wtedy jeden ze strażników zaczął krzyczeć: „Ja was nauczę, jak się bić!” Jednego i drugiego skatowali kijami. Śmiali się z tego bardzo, robili sobie żarty. [...] Cele były okropnie przepełnione. Spaliśmy na podłodze, łóżek czy prycz żadnych nie było. W nocy, jak się wstało, to już nie można było wrócić na miejsce, po prostu nie było miejsca. Wyżywienie było okropne, wszyscy byli głodni. Jak postawili nam kocioł z zupą, to w nim była tylko woda i parę kartofli. Czasem część więźniów w ogóle nie dostawała posiłku, bo w połowie kolejki zabierali kocioł.

W styczniu 1946 roku Stanisław Bogdanowicz wraz ze współwięźniami został przewieziony do więzienia w Zamku lubelskim („Umieścili nas w baszcie zamkowej. Strasznie zimno, okna bez szyb, a to przecież była zima”), a następnie odesłano ich do Sieradza:

W drodze do samochodu, którym odwozili nas na stację kolejową, ustawiła się kolumna ubowców i okładali nas kijami. Każdy biegł ile sił i chował głowę w kołnierz. Przed wyjazdem dostaliśmy jeszcze mały bochenek chleba i łyżkę brązowego cukru. [...] Wagony przepełnione, nie można było usiąść. Byliśmy już tak zmęczeni, że chcieliśmy trafić nawet do najgorszego więzienia, ale żeby można było wreszcie odpocząć, usiąść. Cały czas byliśmy bez posiłku, bez wody, wycieńczeni do ostatka. [...] duża część kolegów tej podróży nie wytrzymała. Ja o dziwo jeszcze trzymałem się na nogach. [...] Kiedy zobaczył nas naczelnik więzienia w Sieradzu, zwrócił się do konwojentów: co wyście z tymi ludźmi zrobili?! Coście z nimi zrobili?! Pomimo że byliśmy w więzieniu, czuliśmy się, jakbyśmy trafili do innego świata. Strażnicy na nas nie krzydzeli, nie obrzucali nas wyzwiskami. Zmarłych ułożyli w jednym miejscu, podliczyli. Stan zgadzał się. Konwojenci z Lublina byli zadowoleni, stan się zgadzał i to dla nich było najważniejsze.

Stanisław Bogdanowicz otrzymał wyrok pięciu lat pozbawienia wolności za nielegalne posiadanie broni, jednak po odbyciu połowy kary został zwolniony w lipcu 1948 roku na mocy amnestii. Udało mu się zdobyć adres jednego z przyjaciół z czasów konspiracji – Czesława Kunieja „Brzozy”, który mieszkał w Starym Polu koło Malborka. Wraz z nim podjął pracę w tamtejszych Państwowych Nieruchomościach Ziemskich. W tym samym roku dostał powołanie do odbycia służby wojskowej. W pułku artylerii lekkiej w Kołobrzegu odsłużył blisko trzy lata. Komunistyczne władze przypominały sobie jednak o jego partyzanckiej przeszłości, nastąpiło powtórne aresztowanie. Tym razem miał do czynienia z oficerami Informacji Wojskowej w Koszalinie, którzy chcieli wymusić na nim podpisanie zeznań o przynależności do organizacji konspiracyjnej. Oficer prowadzący przesłuchanie próbował go zastraszyć: „Tu, na tym krześle, na którym siedzisz, siedział Mossor, siedział Tatar. Wszystko powiedzieli. I ty też powiesz!”. Po tygodniu bezowocnych przesłuchań Bogdanowicza przekazano funkcjonariuszom Informacji Wojskowej w Bydgoszczy. Jak wspomina, był to okres brutalnego dziewięćmiesięcznego śledztwa.

Oficerami Informacji byli głównie Rosjanie. Jeden z nich powiedział mi: „Poznaliśmy, że jesteś wrogiem, który nie żałuje za swoje czyny. Takich jak ty tutaj nie potrzebujemy. Widzisz ten ogródek

za oknem? Tak ciebie tam schowamy, że nikt cię już nie znajdzie”. [W czasie przesłuchań] bicia nie było. To był typowy dla NKWD sposób prowadzenia śledztwa: człowieka wymęczyli do tego stopnia, że [...] w końcu nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Zabrali nam mundury, ubrali tylko w drelichy, człowiek cały trząsł się z zimna. Wieczorem zawsze brali na przesłuchanie, które trwało przez całą noc. Pozycja miała być obowiązkowo przestrzegana, nogi ustawione pod kątem prostym, ręce złożone na kolanach. Stołek do siedzenia był taki jak mały talerzyk i na tym się siedziało kilka godzin. Spadam z krzesła. Podskoczyli do mnie, oblali głowę zimną wodą, przywrócili do przytomności. I bez przerwy musisz mówić, bez przerwy. Nawet on [śledczy] nie za bardzo słuchał później. Tylko chodziło o wymęczenie. Życiorys, dokładny życiorys. Skończyłem życiorys, wszystkie znajomości, adresy. Skończyłem adresy, coś się w życiorysie nie zgadzało, od nowa życiorys. To był system, który człowieka wykańczał. Reflektor, silna żarówka prosto w oczy. Początkowo myślę sobie: a niech tam świeci. Ale później czułem, że to strasznie przeszkadza, strasznie męczy. Jak już tak wymęczyli człowieka, to przystąpili do głównej sprawy, do pytań o udział w organizacji partyzanckiej.

Niekiedy stosowano tzw. konwejer – przesłuchania odbywały się dzień i noc, przez kilka dni bez odpoczynku. Przesłuchujący używali też innych metod, aby sprowokować przesłuchwanego.

Śledczy miał pistolet, bawił się nim, załadował go i położył na biurku. Wreszcie wstał: „Siedz spokojnie” – mówi i wychodzi. Wcześniej otworzył okno. A okno wychodziło akurat na ulicę. „I co teraz? – mówię do siebie w duchu. – Podskoczyć do biurka, złapać pistolet i uciekać”. Myślę sobie: „O nie, to nie dla mnie. Tam już pewnie na dole czekają”.

[...] Dali [mi] do przeczytania protokoły zeznań kolegów. Nie wszystkie były tak jak należy, ugięły mi się kolana. Podchodzi do mnie taki, który prawie cały czas mnie przesłuchiwał,



Fot. z archiwum rodzinnego

➤ Stanisław Bogdanowicz (z prawej) w mundurze IWP, 1950 rok

i mówi: „No, widzicie, koledzy przyznali się, powiedzieli prawdę. Wiemy wszystko, kłamałeś cały czas. Masz jeszcze szansę uratować głowę, ale musisz powiedzieć to, o co będziemy pytali. Podpiszesz to i jeszcze więcej. Powiesz jeszcze więcej!”. „Niczego nie będę podpisywał, to jest nieprawda”. [...] Wstaje taki drab, widziałem go pierwszy raz, podchodzi do mnie. Pochylił się nade mną i mówi: „Pożyjesz już niedługo. Tu, w tym miejscu podpisałeś na siebie wyrok. Już na wolność nie wyjdiesz. Wyprowadzić!”. [...] Pomyślałem sobie: „No, to już teraz rzeczywiście sprawa wygląda tak, jak powiedział”. Wtedy poczułem już blisko śmierć, a nie chciałem jeszcze wtedy umierać.

Po kilku dniach odbyła się rozprawa przed wojskowym sądem w Bydgoszczy.

Zasiedliśmy na ławie oskarżonych, sąd w pełnym składzie, prokurator. Mieliśmy dwóch adwokatów z urzędu. Próbowali nas bronić, ale sąd nawet tego nie słuchał. Widzieliśmy, że dla nich nie ma to znaczenia.

Prokurator zażądał dla oskarżonych w procesie kary śmierci, twierdząc, że „ten element nie może zajmować miejsca w społeczeństwie”. Bogdanowicz otrzymał najwyższy wyrok spośród sądzonych – dziesięć lat pozbawienia wolności za „przynależność do nielegalnej organizacji mającej na celu obalenie ustroju”. W sentencji wyroku zaznaczono, że nie przysługuje żadna forma ulaskawienia.

Więzenie w Koronowie

Po zakończeniu śledztwa i procesu Stanisław Bogdanowicz został przeniesiony do więzienia w Koronowie. Był to wówczas jeden z cięższych ośrodków karnych na terenie Polski.

Tuż pod moją celą była piwnica. Wieczorem, w nocy dochodziły do mnie krzyki katowanych więźniów. [...] Wyżywienie było straszne. Na śniadanie była kawa zbożowa i tzw. pajdka – kromka chleba. Na obiad zwykle była zupa-kasza. Z tym że tej kaszy to tam trudno było się dopatrzyć. To była taka mętna woda. Po tym człowiek czuł się jeszcze bardziej głodny niż przed obiadem. Na kolację też wię-



Fot. z archiwum rodzinnego

cej nic nie było, jak nawet nie pajdka, tylko taka kromeczka chleba i herbata. Tak, że człowiek był zawsze głodny. [...] Okna osłonięte tzw. blendami, że tylko skrawek nieba było widać.

Powszechna była wszawica. Strażnicy wielokrotnie próbowali zwerbować Bogdanowicza do współpracy polegającej na donoszeniu na współwięźniów. Nie dał się jednak do niej wciągnąć, nawet za obietnicę dokładki zupy.

Obóz Pracy Więźniów

Bogdanowicz został skierowany do Obozu Pracy Więźniów w Piechcinie – do kamieniołomu usytuowanego w Wapiennie, 8 km od obozu. Skojarzył mu się on z obozem koncentracyjnym:

Otoczony podwójnie drutem kolczastym, wieżyczki, a na nich karabiny maszynowe. Do ogrodzenia nie wolno było podchodzić, bo strzelano. Kilka metrów od ogrodzenia, wzdłuż drutów był przeorany pas ziemi, żeby było widać ślady. Po wieczornym apelu nie wolno było otwierać okien, nie można było przez nie wyglądać, bo strzelali.

Praca była wyczerpująca, dzienne normy wydobywania bardzo wysokie, a wszystkie prace wykonywano ręcznie. „Bumelantów” niewyrabiających normy zamykano w karczerze.

To była taka podziemna duża cela. Nie było tam żadnego przykrycia, tylko drewniane prycze. I tak spędzało się noc, a rano do pracy.

W kamieniołomie pracowano po dwanaście godzin na dobę, niezależnie od pogody.

Praca cały czas na otwartym powietrzu. Deszcze. Deszcze ze śniegiem. Sam śnieg, mrozy. Mieliśmy ubranie przemoczone całkowicie. Osiem kilometrów w zimnym, mroźnym powietrzu do obozu. Zanim wróciliśmy, ubrania na nas były sztywne, przemarznięte. Te ubrania przed udaniem się na spoczynek były zawieszane na krawędziach łóżek. Baraki nieopalone.

➤ Świadczenie zwolnienia Stanisława Bogdanowicza z obozu pracy, 1955 rok

Rano, jak wstawaliśmy, z tych ubrań to była kałuża wody. Szttywne i zimne, ubieraliśmy się w to i po śniadaniu na łom. I na łomie znowu ta sama historia. Każdego dnia z obozu pracy karetka zabierała chorych więźniów. Na ich miejsce przychodził „nowy transport i nowi ludzie. Także materiału do pracy w kamieniołomach w PRL nie brakowało”.

Więzienia były przepelnione. Także z tym władze więzienne i władze tych obozów nie mieli żadnego problemu. Człowiek tam był nie człowiekiem, tylko maszyną, którą można do pewnego czasu wykorzystać.

Nowe życie

Przełom nastąpił w 1955 roku, w okresie odwilży po śmierci Stalina. Jak mówi Bogdanowicz, było to wielkie zaskoczenie, nic nie wskazywało na złagodzenie wymiaru jego kary. Pewnego dnia, jak zwykle po pracy, wyczytywano nazwiska więźniów, którzy zostają zwolnieni.

Wyczytuje. I padło nazwisko moje – Bogdanowicz Stanisław. Nie wychodźcie jutro do pracy. Pode mną ugięły się kolana. Nie wierzyłem, po prostu nie wierzyłem.

Stanisław Bogdanowicz rozpoczął nowe życie dzięki pomocy dawnego przyjaciela Czesława Kunieja. Został przyjęty do pracy w gminnej spółdzielni w Starym Polu w charakterze księgowego i inwentaryzatora. Poznał tam swoją przyszłą żonę.

Po prostu nie mogę wytłumaczyć sobie, jak to się stało, że ja te nieludzkie warunki przetrzymałem, nie zachorowałem. Po prostu niemożliwe, ale tak było. Dzisiaj myślę, bez przesady, myślę, że to Opatrzność była ze mną. Ponieważ nie miałem żadnej pomocy, żadnych kontaktów z zewnątrz. I takie warunki. I ja to wszystko przetrzymałem. 🍀

opracował: Piotr Wiejak

Nagranie: Stanisław Bogdanowicz – Pamiętam

Czas: 3 h 40 min

Realizacja: Marek Stokowski

Montaż: Krzysztof Keński

Muzyka: Marcin Stokowski

Nagranie znajduje się w Archiwum Historii Mówionej Sekcji Notacji i Opracowań Multimedialnych.

Demokracja upadająca wśród oklasków

Paweł Sasanka

Wielu prażan sprawiało wrażenie szczęśliwych, gdy w lutym 1948 roku pełnię władzy w kraju przejmowali komuniści.

Czechosłowacja po II wojnie światowej była jedynym demokratycznie rządzonym państwem Europy Środkowo-Wschodniej, w którym partia komunistyczna cieszyła się autentycznym poparciem i jako najsilniejsza współtworzyła koalicję rządzącą. W 1948 roku Europa coraz wyraźniej dzieliła się jednak na dwa wrogie sobie obozy, a Stalin umacniał wpływ w państwach rządzonych przez komunistów. Po wyraźnym ostrzeżeniu z lata 1947 roku, gdy wymusił na Czechosłowacji rezygnację z przyjęcia planu Marshalla, w lutym 1948 roku stało się jasne: dotychczasowe przekonanie, że dyktator uszanuje zasady demokracji za cenę absolutnej lojalności wobec Kremla, jest iluzją.

Wydarzenia, które przeszły do historii pod nazwą komunistycznego przewrotu w Czechosłowacji, a do 1989 roku były nazywane przez propagandę „zwycięskim lutym”, zaczęły się od kryzysu gabinetowego, choć partia komunistyczna przygotowywała się do przejęcia władzy co najmniej od połowy 1947 roku. Ministrowie reprezentujący demokratyczne partie koalicyjne zaprotestowali przeciwko czystkom w policji, prowadzonym przez komunistycznego szefa MSW Václava Noska; w istocie chodziło o oskarżenie komunistów o przejęcie kontroli nad aparatem bezpieczeństwa i wykorzystywanie go w walce o władzę. W obronie ministra stanął Klement Gottwald, premier i jednocześ-

nie przywódca Komunistycznej Partii Czechosłowacji. W tej sytuacji część ministrów demonstracyjnie podała się do dymisji, licząc na to, że nie zostanie ona przyjęta, a komuniści pójdą na ustępstwa, by uniknąć przedterminowych wyborów. Na 26 członków rządu dymisję złożyło 12 reprezentujących trzy partie, mających nadzieję, że w ich ślady pójdą socjaldemokraci i bezpartyjni minister spraw zagranicznych Jan Masaryk. Tak się jednak nie stało, co oznaczało, że nie doszło do dymisji całego gabinetu, tylko poszczególnych ministrów, a to umożliwiło komunistom przejście do ofensywy. KPCz za zgodą Stalina odpowiedziała kampanią kłamstw i wyprowadzeniem partyjnych bojówek na ulice miast. Rezydujący na praskich Hradczanach prezydent Edvard Beneš uległ naciskowi Gottwalda i 25 lutego 1948 roku przyjął dymisję niekomunistycznych członków gabinetu, na ich miejsce powołując wskazanych przez niego ludzi. Tego samego dnia policja rozgoniła antykomunistyczną demonstrację studentów, a 200 tys. osób zwiezionych z całego kraju na pl. Waclawa z entuzjazmem słuchało triumfującego Gottwalda. To był moment przełomowy. W ciągu następnych tygodni komuniści zlikwidowali niezależne organizacje społeczne, partie i prasę opozycyjną, nasiliły się aresztowania i represje. Tym samym kończył się proces kształtowania monopolu władzy partii komunistycznych w Europie Środkowo-Wschodniej, w którym

Czechosłowacja długo była opóźniona w porównaniu z pozostałymi krajami.

10 marca, zaledwie dwa tygodnie po przewrocie, na dziedzińcu Pałacu Czerwińskiego na Hradczanach, siedziby czechosłowackiego MSZ, znaleziono zwłoki Jana Masaryka – jedyne niekomunistycznego ministra nowego rządu, syna jednego z twórców Czechosłowacji Tomáša Masaryka. Ze względu na popularność szefa dyplomacji i niekwestionowany autorytet, jakim się cieszył, jego śmierć urosła do rangi symbolu.

Jako ambasador Czechosłowacji w Wielkiej Brytanii w 1938 roku Masaryk podał się do dymisji na znak protestu przeciwko układowi monachijskiemu. Pozostał na emigracji, a w 1940 roku objął tekę ministra spraw zagranicznych w rządzie emigracyjnym, którą sprawował do końca wojny. Pełnił tę funkcję również po powrocie do kraju.

Oficjalne śledztwo stwierdziło, że było to samobójstwo, a Masaryk wyskoczył z okna swojego prywatnego mieszkania. Kilka osób rozmawiających z nim w ostatnich dniach było skłonnych w to uwierzyć. Wspominano, że jednego dnia planował ucieczkę na Zachód, a następnego mówił o śmierci. Trzeźwo i bez złudzeń oceniał sytuację po przejęciu władzy przez komunistów. „Świat nigdy nie zobaczy, aby syn Tomáša Masaryka stanął przed czechosłowackim parlamentem jako członek komunistycznego rządu” – miał powiedzieć do swojego przyjaciela, co przemawiałoby za samobójstwem, wyjściem z sytuacji bez wyjścia. Masaryk pozostał bowiem w rządzie po przewrocie lutym jedynie ze względu na prezydenta Beneša, którego nie chciał opuścić w beznadziejnej sytuacji. Zdawał sobie jednocześnie sprawę z tego, że pozostając w komunistycznym rządzie, kompromituje demokratyczną spuściznę ojca.

Dość powszechne było jednak przekonanie, że Masaryk padł ofiarą mordu politycznego. W Pradze można było usłyszeć, że „wyskoczył z najwyższego piętra budynku MSZ, zamykając za sobą okno”. Ci, którzy nie wierzyli ani w wersję samobójstwa, ani wypadku, nazwali śmierć ▶

Masaryka „trzecią defenestracją praską”. Śledztwo prowadzone w czasie Praskiej Wiosny wskazywało na nieszczęśliwy wypadek. W wyniku kolejnego, prowadzonego bezpośrednio po 1989 roku, za najbardziej prawdopodobne uznano

samobójstwo. Po przeprowadzeniu kolejnego śledztwa w 2004 roku, w czasie którego wyszły na jaw tropy prowadzące do Moskwy, przyjęto, że Masaryk został zamordowany, ale nie jest możliwe odnalezienie zabójców. Ta śmierć pozostaje zagadką. Odpowiedź leży zapewne w moskiewskich archiwach.

Zdjęcie, które zrobiono 25 lutego 1948 roku na pl. Wacława w Pradze, zdołało uchwycić reakcje i emocje po-

szczególnych osób z dwustutysięcznego tłumu słuchającego Gottwalda: od śmiertelnej powagi po zachwyty. Niezależnie od tego, że w tłumie dominowali stronnicy komunistów, trudno uwolnić się od niewesołego spostrzeżenia, że czechosłowacka demokracja upadała wśród entuzjazmu i śmiechu. 🇨🇵

dr Paweł Sasanka – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN



Fot. Bettmann/CORBIS/FotoChannels

miejsce: Praga, Czechosłowacja
data: 25 lutego 1948 roku
autor: brak danych
widoczne osoby: tłum obywateli Czechosłowacji słuchających przemówienia Klementa Gottwalda

Akcja pod Arsenalem

Jerzy Eisler

W jeden ze słonecznych dni roku 1977 miałem okazję jechać samochodem po nieistniejącej warszawskiej ulicy.

Oczywiście, zdanie to nie do końca jest prawdziwe – jechałem wszak ze Starego Miasta ulicą Długą i skręcałem w lewo w Bielańską, kierując się w stronę al. Karola Świerczewskiego (dziś al. Solidarności) i dalej pl. Feliksa Dzierżyńskiego (dziś pl. Bankowego). Jeżeli napisałem, że jechałem po nieistniejącej ulicy, to dlatego, że na rogu Długiej i Bielańskiej na solidnych stelażach wznosiły się naturalnej wielkości frontony kilku secesyjnych kamienic. Była to potężna dekoracja filmowa, przygotowana do realizacji kulminacyjnej sceny *Akcji pod Arsenalem*.

W dobie komputerowych animacji przygotowywanych na potrzeby filmów trudno wręcz uwierzyć w to, że jeszcze niespełna czterdzieści lat temu, aby osiągnąć podobny (moim zdaniem – nieporównanie lepszy) efekt, wznoszono dekoracje różnych – niekiedy monumentalnych – budowli w skali 1:1. Wynikało to nie tylko z ówczesnych ograniczeń technologicznych w dziedzinie komputerowych efektów specjalnych, lecz było także konsekwencją przywiązywania dużej wagi do rozmaitych szczegółów i kształtu „krajobrazu” historycznego kręconych filmów. Mam tu na myśli budowle i pojazdy z epoki, stroje aktorów i statystów, mundury i wojskowe oporządzenie, wystrój ulic, w tym słupy ogłoszeniowe, szyldy, drogowskazy, reklamy itp. Niezależnie od tego, co moglibyśmy powiedzieć na temat różnych obrazów historycznych powstałych w okresie PRL, wypada pamiętać, że ich mocną stroną były zawsze dokonania scenografów i kostiumologów. Nie inaczej było w przypadku *Akcji pod Arsenalem*.

Fabula jak dokument

Ten niezwykle ważny i potrzebny film zrealizował doświadczony dokumentalista Jan Łomnicki na podstawie scenariusza czołowego scenarzysty polskiej szkoły filmowej – Jerzego Stefana Stawińskiego. *Akcja pod Arsenalem* miała premierę 13 lutego 1978 roku, a potem reżyser ponad 20 lat swojego życia (z przerwami) poświęcił na realizację dwudziestopięciopodcinowego popularnego serialu telewizyjnego *Dom*. Tymczasem – podejmując się realizacji filmu opowiadającego o autentycznych losach grupy harcerzy z Szarych Szeregów w Warszawie okupowanej przez Niemców – Jan Łomnicki zdecydował się na nadanie swojemu dziełu charakteru paradokumentalnego.

Dobrze przy tym wiedział, co i jak chce pokazać. Swoją zamysł zrealizował perfekcyjnie. Starannie – kierując się także pewnym podobieństwem fizycznym – dobrał młodych aktorów, którym powierzył główne role. A ponieważ od czasu przeprowadzenia tytułowej akcji do roku 1977 – kiedy to ruszyły zdjęcia do filmu – upłynęło niemal 35 lat, było oczywiste, że harcerskich konspiratorów mogli zagrać tylko ludzie młodzi: urodzeni i wychowani po zakończeniu II wojny światowej. Byli to przedstawiciele pierwszego powojennego pokolenia, którzy co prawda nie znali okupacji z autopsji, ale za to sporo wiedzieli o niej z licznych książek, filmów i opowiadań osób starszych. W główne role wcielili się: Cezary Morawski jako Jan Bytnar „Rudy”, Mirosław Konarowski jako Tadeusz Zawadzki „Zośka” oraz Ryszard Gajewski jako Maciej Aleksy Dawidowski „Alek”.

Aby młodzi aktorzy mogli jeszcze lepiej utożsamiać się z odtwarzanymi postaciami, a zarazem żeby film wiernie ukazywał realia okupacyjne, konsultantami historycznymi zostali uczestnicy prezentowanych wydarzeń: Stanisław Broniewski „Orsza” – dowódca akcji pod Arsenalem, w którego postać na ekranie wcielił się Jan Englert – oraz Zygmunt Kaczyński „Wesoły”, którego w filmie zagrał Piotr Dejmek. Wydaje się, że szczególnie ta ostatnia postać była trudna do odtwarzania, ponieważ „Wesoły”, przezywany przez Niemców „smutną mordą”, jako akwizytor Wedla regularnie bywający w al. Szucha i zaopatrujący gestapowców w czekoladę, mógł być uważany przez rodaków – niewprowadzonych w kulisy konspiracji – za zdrajcę i kolaboranta. Tymczasem jego rola w całej akcji ukazanej w filmie była naprawdę bardzo duża i – z polskiego punktu widzenia – jednoznacznie pozytywna.

Występ w filmie Jana Łomnickiego stał się dla wielu młodych artystów swoistą przepustką do dalszej kariery aktorskiej. Warto jeszcze przypomnieć, że Adam Ferency zagrał trudną psychologicznie rolę Heńka, którego część kolegów podejrzewała o to, że w śledztwie załamał się i „wsypał” Bytnara, a Emilian Kamiński wcielił się w postać „Jura”. Zresztą aktorska obsada jest bardzo mocną stroną tego obrazu. Nawet w epizodach występują artyści tak wybitni, jak grający rolę ojca „Rudego” Zbigniew Zapasiewicz czy Tadeusz Łomnicki (prywatnie starszy brat reżysera), który wcielił się w postać lekarza stwierdzającego śmierć młodego konspiratora uwolnionego z rąk gestapo.

Życie pod okupacją

Bohaterami filmu są trzej przyjaciele („Rudy”, „Zośka” i „Alek”), których poznajemy zarówno w działaniu, jak i w życiu codziennym. Twórcy filmu krok po kroku wprowadzają widzów w świat harcerzy-żołnierzy Polski Walczącej. Dodajmy – takich harcerzy, którzy nie piją, nie palą i są przywiązani do najwyższych wartości chrześcijańskich, narodowych i humanistycznych. Widzimy więc, jak „Alek” z gmachu Zachęty, przekształconego przez okupantów w Dom Kultury Niemieckiej, ściąga flagę ze swastyką i zawiesza biało-czerwoną. Oglądamy także akcję, w trakcie której trzej przyjaciele zakłócają publiczny pokaz niemieckiej kroniki filmowej i równocześnie podpalają wóz propagandowy. Wreszcie, jesteśmy świadkami głośnej akcji „Alka”, który 11 lutego 1942 roku z pomnika Kopernika samotnie odkręca tablicę informującą, że wielki astronom był Niemcem, a zarazem odsłania polski tekst: „Mikołajowi Kopernikowi Rodacy”. W tym miejscu jeden raz – przynajmniej w jakimś sensie – została naruszona paradokumentalna struktura filmu. Nieznający bowiem dobrze historii widz ma prawo sądzić, że akcja ta została przeprowadzona na krótko przed aresztowaniem „Rudego”. W rzeczywistości miała ona miejsce ponad rok wcześniej.

Jednocześnie poznajemy okupacyjne życie codzienne trzech przyjaciół, w którym mieści się podchorążówka, jest czas na słuchanie z ukrywanego z narażeniem życia radioodbiornika wiadomości nadawanych z Londynu, jest miejsce na młodzieńczą miłość „Alka” i „Basi” oraz bardzo poważne, egzystencjalne wręcz rozmowy „Rudego” i „Zośki”. Widzimy zarazem na przykładzie Czeška zatrzymanego po godzinie policyjnej przez niemiecki patrol, a mającego przy sobie rewolwer kolegi Heńka, jak ta „codziennosc” może niekiedy radykalnie zmienić życie wielu ludzi. Heniek i jego żona Danka niemal od razu zostają aresztowani, a następnego nocy gestapowcy wpadają do mieszkania Bytnarów, zabierając na Pawiak „Rudego” i jego ojca. Na dobrą sprawę od tego momentu zaczyna się właściwy film. Z jednej strony obserwujemy niezwykle okrutne śledztwo i torturowanie przez Niemców „Rudego”, z drugiej zaś przygotowanie jego przyjaciół do odbicia uwięzionego kolegi.



Fot. FilMOTEKA Narodowa

Umrzeć wśród swoich

Sprawę w swoje ręce bierze „Zośka”, któremu – dzięki pomocy „Wesołego” często bywającego na Szucha – udało się ustalić, że Niemcy przesłuchują tam Bytnara tylko „w godzinach urzędowania: od 8 do 16”, a następnie codziennie więźniarką przewożą z powrotem na Pawiak. „Zośka” wymusza więc na przełożonych zgodę na przeprowadzenie brawurowej akcji odbicia „Rudego” z rąk gestapo. Chodziło zresztą nie tylko o to – chociaż dla młodych konspiratorów było to bez wątpienia najważniejsze – lecz również o uwolnienie innych więźniów przewożonych wraz z nim więzienną karetką, a także symboliczne pokazanie mieszkańcom umęczonej Warszawy, że podziemie żyje i jest w stanie zniweczyć uderzać w okupanta w centrum miasta.

Pierwotnie akcję w pobliżu Arsenału planowano przeprowadzić 23 marca 1943 roku. Wszystko było przygotowane, ale w ostatniej chwili atak trzeba było odłożyć, gdyż „Orsza” nie zdążył uzyskać zgody przełożonego, nieobecnego w tym dniu w mieście. Znamienne jest to, że „Zośka” – polecając

► Jan Englert w roli Stanisława Broniewskiego „Orszy”
i Ryszard Gajewski jako
Aleksy Dawidowski „Alek”

przekazanie poszczególnym uczestnikom akcji rozkazu odwołującego ją – dodał: „Powiedz chłopakom, że dziś »Rudego« nie było”. Jako dowódca doskonale rozumiał, jak silnej presji i jakim emocjom byli poddani jego koledzy znajdujący się już na wyznaczonych stanowiskach bojowych; i dlatego, aby osłodzić im uczucie goryczy wywołane faktem odwołania akcji, pozwolił sobie na kłamstwo tak niezgodne z etosem harcerza.

Ostatecznie udaną akcją przeprowadzono trzy dni później – 26 marca. W filmie obserwujemy jej wierną rekonstrukcję. Widzimy, że pierwszy z odległości paru metrów cisnął celną butelką z benzyną w jadącą karetkę więzienną Jan Rodowicz „Anoda”. Kolejne butelki rzucone w auto spowodowały, że szoferka zaczęła się palić i zaczęli z niej wyskakiwać gestapowcy w płonących mundurach. W ciągu następnych kilkudziesięciu sekund grupa bojowa opłamała sytuację i uwolniła „Rudego” oraz 25 innych osób przewożonych z Szucha na Pawiak. Niestety, nie obeszło się bez ofiar wśród harcerzy. W czasie ucieczki ulicą Długą na Stare Miasto został śmiertelnie postrzelony „Alek”. Zmarł cztery dni potem w szpitalu. W tym miejscu warto może przypomnieć, że jego młodsza siostra, Maryla Dawidowska, w przyszłości została żoną Tomasza Strzembosza – wybitnego badacza historii Armii Krajowej, Polskiego Państwa Podziemnego oraz ziem polskich pod okupacją radziecką w latach 1939–1941. Naprawdę trudno przecenić zasługi Tomasza Strzembosza w odtwarzaniu dziejów i dokonaniach oddziałów szturmowych konspiracyjnej Warszawy.

Akacji nie przeżył również wycieńczony okrutnym przesłuchaniem i torturami – odbity przez przyjaciół z rąk oprawców – „Rudy”. Podobnie jak „Alek” zmarł 30 marca. Przed śmiercią – nawiązując do ich wcześniejszych rozmów – zdążył jeszcze przekazać „Zośce”, że naprawdę nie jest obojętny, gdzie i jak się umiera. Skatowany „Rudy” nie chciał umierać; bardzo chciał żyć, ale jeśli już musiał odejść na zawsze, to chciał, aby dokonało się to wśród swoich, wśród najbliższych mu ludzi.

Lekcja patriotyzmu

Jan Łomnicki zrealizował wspaniały, mądry, potrzebny film, który nie tylko się nie starzeje i nie dezaktualizuje, ale który – jak dobre wino – z upływem lat staje się coraz lepszy. Dziś – w dobie prowadzonej nie zawsze fair dyskusji o patriotyzmie, w epoce niekiedy wręcz nadaktywnej polityki historycznej i często gwałtownych sporów o jej kształt – pokazuje, że o patriotyzmie nie trzeba w kółko głośno mówić, lecz trzeba starać się kultywować go w sobie i w innych ludziach. A jeżeli przychodzi ta decydująca w życiu człowieka chwila, to zamiast słów o patriotyzmie potrzebne są patriotyczne czyny... 🇵🇱

prof. dr hab. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL, a także najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Polski rok 1968* (2006), *„Polskie miesiące”, czyli kryzys(y) w PRL* (2008)



Chłoporobotnik

Jerzy Kochanowski

Mieszkał na wsi, ale pracował w fabryce albo na budowie. Chłop zazdrościł mu lepszego domu, a mieszkaniec miasta widział w nim konkurenta.

W komedii Stanisława Barei *Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz* (1978) Józef Nalberczak i Marian Łącz, aktorzy grający tzw. chłoporobotników, prowadzą jeden z najbardziej znanych dialogów polskiego kina:

„Ja to, proszę pana, mam bardzo dobre połączenie. Wstaję rano za piętnaście trzecia. Latem to już widno. Za piętnaście trzecia jestem ogolony, bo golę się wieczorem, śniadanie jadam na kolację, więc tylko wstaję i wychodzę.

– No, ubierasz się pan.

– W płaszcz, jak pada. Oplaca mi się rozbierać po śniadaniu?

– Aaaa... fakt.

– Do PKS mam pięć kilometrów. O czwartej za piętnaście jest PKS.

– I zdążasz pan?

– Nie, ale i tak mam dobrze, bo jest przepelniony i nie zatrzymuje się. Przystanek idę do mleczarni, to jest godzinka. Potem szybko wiozą mnie do Szymanowa. Mleko, wiesz pan, ma najszybszy transport, inaczej się zsiada. W Szymanowie zsiadam, znoszę bańki i łapię EKD. Na Ochocie w elektryczny, do Stadionu. A potem to mam już z górki, bo tak: 119, przesiadka w trzynastkę, przesiadka w 345 i jestem w domu. Znaczy w robocie. I jest za piętnaście siódma. To jeszcze mam kwadrans. To sobie obiad jem w bufecie. To po fajrancie już nie muszę zostawać, żeby jeść, tylko prosto do domu i góra 22.50 jestem z powrotem. Golę się, jem śniadanie i idę spać”.

Cytat ilustruje kilka zjawisk, charakterystycznych zresztą nie tylko dla PRL: istnienie olbrzymiej grupy ludzi żyjących na wsi i związanych z nią, pracujących jednak w mieście i codziennie do niego dojeżdżających, oraz postrzeganie wsi i „wiejskości” jako zjawisk gorszych, upośledzonych w stosunku do miast i „miejskości”.

Już w XIX wieku i następnie w okresie międzywojennym część mieszkańców rozdrobnionej i przeludnionej polskiej wsi szukała dodatkowego zarobku poza rolnictwem. Jednak dopiero forsowna industrializacja po roku 1945 – z typowym dla socjalistycznej gospodarki planowej stałym brakiem rąk do pracy – oraz rozwój komunikacji sprawiły, że w bardziej uprzemysłowionych regionach (zwłaszcza w południowej części kraju) nawet jedna trzecia mieszkańców wsi codziennie dojeżdżała do miast. W 1960 roku było ich ok. 800 tys., w 1970 – 1150 tys., w 1982 – ok. 1090 tys.

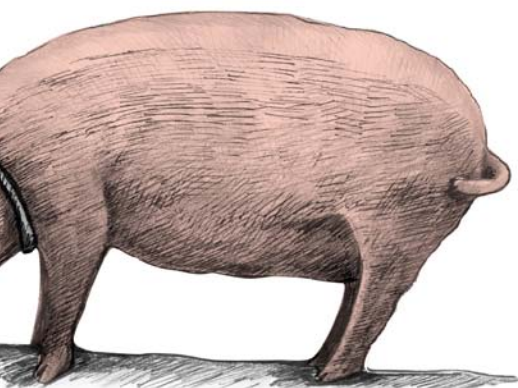
„Wiocha” w fabryce

Praca w mieście i codzienny z nim kontakt skutkowały nie tylko większą zamożnością chłoporobotników w porównaniu z ludźmi żyjącymi wyłącznie z rolnictwa. Pełnili oni również funkcję swoistych nośników miejskich wzorów życia: ich domy były zazwyczaj większe i lepiej wyposażone, konsumpcja (zarówno żywności, jak i np. odzieży) bardziej „miejska”. Taki poziom życia osiągnęli jednak przede wszystkim dzięki utrzymaniu ścisłego kontaktu z dotychczasowym miejscem zamieszkania (np. tutaj mogli bez większych kłopotów zbudować własny dom, bo w mieście, zwłaszcza dużym, byłoby to w zasadzie niewykonalne).



Z drugiej strony – właśnie za sprawą życia na wsi – byli postrzegani przez mieszkańców miast (też w dużej części chłopskiego pochodzenia!) w charakterystyczny, graniczący ze stygmatyzacją sposób. Takie określenia jak „wieś”, „wiocha”, „wiejski”, „wieśniak”, „wieśniactwo” miały (i mają do dzisiaj!) wyraźnie negatywne konotacje, gdyż oznaczają zacofanie, nieokrzesanie, wulgarność, prymitywny gust, język daleko odbiegający od literackiego wzorca, specyficzny zestaw zachowań i typ konsumpcji (np. charakterystyczny sposób ubierania się).

Istotnym źródłem konfliktu i stygmatyzacji było w PRL współzawodnictwo o dostęp do deficytowych dóbr. Między dawnymi mieszkańcami miast a osiadającymi w nich na stałe imigrantami ze wsi przedmiotem sporu były np. mieszkania. Przybysze otrzymywali bowiem zazwyczaj nowe, dobrze wyposażone lokale – a „starzy” po-



Rys. A. Szafranski

zostawali w dotychczasowych, często pozbawionych tzw. wygód; nieraz też przybysze dewastowali nieznane im wcześniej „miejskie” urządzenia sanitarne. Tematem drwin ze strony „starych” mieszkańców miast były zdarzające się do lat sześćdziesiątych przypadki hodowania przez przybyszy w mieszkaniach drobiu, królików lub świń. Chłoporobotnikom zaś, codziennie zalewającym ośrodki przemysłowe, zarzucano przede wszystkim ogalanie sklepów.

Zresztą nie bez powodów. Owszem, „miejscy” robotnicy oskarżali swoich „wiejskich” kolegów o marną jakość pracy, bylejakość, kradzieże. Ale na tym, że mieszkańcy wsi całe dni spędzali w miejskich fabrykach, bardziej niż zakładowe warsztaty cierpiały wiejskie zagrody – z braku czasu zaniedbane. Po prostu zyski z pracy w fabryce czy na budowie były wyższe niż osiągnąć z karłowatych najczęściej gospodarstw. Chłoporobotni-

cy byli też zazwyczaj pierwszą grupą mieszkańców wsi, która poddawała się tzw. denaturalizacji spożycia – porzucali czasochłonną hodowlę (nawet na własny użytek) i ustawiali się w kolejkach przed miejskimi sklepami. Budziło to – nawet w krótkich zresztą okresach względnie dobrego zaopatrzenia – sprzeciw stałych mieszkańców miast, a każde załamanie zaopatrzenia prowadziło do nasilenia krytyki. Na przykład w 1959 roku w Częstochowie robotnicy – jak pisze Dariusz Jarosz – „przychodzili do K[omitetu] Z[akładowego PZPR] i wskazywali imiennie chłopów mających gospodarstwa rolne, a pracujących w fabryce, obrzucając przy tym ich wyzwiskami. Robotnicy domagają się, by chłopci opuścili pracę w fabryce i zajęli się pracą na roli”. Podobne głosy odnotowywano w całej Polsce aż do lat osiemdziesiątych.

Gdzie się podziały świnki?

Kiedy w połowie lat siedemdziesiątych zaopatrzenie w mięso zaczęło się szybko pogarszać, na problem zwróciły uwagę najwyższe władze. W styczniu 1976 roku premier Piotr Jaroszewicz ganił na posiedzeniu rządu wojewodę bielskiego Józefa Łabudka, na którego terenie najwięcej zatrudnionych w przemyśle chłoporobotników porzuciło hodowlę: „Gdzie się podziały te świnki, które dawniej były na tych pół hektarach? Co się stało, gdzie się

te świnki podziały, dlaczego nie hodują? Dawniej hodowali, przestali. Co się stało? Przecież stanowiska zostały, chlewki są, gospodynie, daj Boże zdrowie, jakie u was ładne i tęgie, no i co?”. Chłoporobotnicy powrócili do hodowli dopiero na początku lat osiemdziesiątych, kiedy system reglamentacji mięsa odmawiał jego przydziału wszystkim posiadającym więcej niż pół hektara ziemi.

Jeszcze pod koniec lat osiemdziesiątych Leszek Rudnicki i Henryk Woźniczka pisali o chłoporobotnikach, że jest to zjawisko trwałe i „bynajmniej nie może być traktowane jako przejściowe”. Transformacja gospodarcza po 1989 roku radykalnie zweryfikowała ten pogląd. W upadających, niewytrzymujących konkurencji fabrykach w pierwszej kolejności zwalniano właśnie chłoporobotników, którzy znikli w swoim „peerelowskim” kształcie. Termin jednak pozostał i nic nie zapowiada, żeby został zapomniany. ■

Cytaty pochodzą z następujących publikacji: Leszek Rudnicki, Henryk Woźniczka, *Chłopi-robotnicy*, Katowice 1989; Dariusz Jarosz, „Chłopskość” jako element stygmatyzacji w przestrzeni miejskiej w Polsce po 1945 r. [w:] *Dzieje partii stronnictw chłopskich w Europie*, t. 2: *W podzielonej Europie*, Pul-tusk-Warszawa 2007.

prof. dr hab. Jerzy Kochanowski – pracownik Zakładu Historii XX Wieku Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, autor m.in. *Tylnymi drzwiami*, „Czarny rynek” w Polsce 1944–1989 (2010)



Rys. A. Szafranski

Arsenał Wyklętych

Michał Mackiewicz

Problematyka dotycząca uzbrojenia powojennej polskiej partyzantki, chociaż ciekawa, nie doczekała się jak dotąd pogłębionego i kompletnego opracowania. Stworzenie takiej syntezy jest bardzo potrzebne, zwłaszcza że arsenał Wyklętych różnił się pod pewnymi względami od tego używanego w okresie niemieckiej okupacji.

Partyzantka organizowana po roku 1944 była mniej liczna i przez to formujące się oddziały łatwiej było nasycić bronią. Tym bardziej że znaczną jej część zawczasu zabezpieczono i ukryto. Niektóre źródła pozyskiwania uzbrojenia wyczerpały się niemal zupełnie (alianckie zrzućy, własna produkcja), ale doszły kolejne, całkiem obfite. Szlaki odwrotu jednostek Wehrmachtu były znaczone olbrzymią ilością porzuconego wojskowego sprzętu, który w wielu wypadkach przejęli uczestnicy konspiracji. Bez wątpienia w taki sposób trafiła do rąk polskich żołnierzy część doskonałych niemieckich karabinków automatycznych Sturmgewehr 44, dostosowanych do amunicji pośredniej 7,92 x 33 mm. Fakt ich użycia potwierdzają liczne zdjęcia, na których widać kilku- lub nawet kilkunastoosobowe oddziały stosunkowo jednolicie uzbrojone.

Selekcja zdobywczy

Tak jak wcześniej – istotnym uzupełnieniem była zdobycz na przeciwniku, tym razem żołnierzach Armii Czerwonej (od 1946 roku – Armii Radzieckiej), funkcjonariuszach NKWD oraz człon-



► Browning majora „Łupaszkii”

kach formacji podległych rodzimej władzy komunistycznej. Była to przede wszystkim broń produkcji radzieckiej, na ogół dobrej jakości i ceniona przez partyzantów (zwłaszcza pistolety maszynowe PPSz 41 i PPS 43). Jej popularność była spowodowana także dostępnością amunicji odpowiedniego kalibru. Poza konstrukcjami radzieckimi, wciąż zdobywano wzory niemieckie, w które była wyposażana część milicjantów i ormowców. Podobnie jak przed rokiem 1944 stan uzbrojenia oddziałów poakowskich był płynny. O ile broni w zasadzie nie brakowało (świadczą o tym chociażby rozmaite raporty), o tyle starano się zaopatrzyć w takie jej rodzaje, które do działań partyzanckich nadawały się najlepiej. A więc karabinki automatyczne, ręczne karabiny maszynowe i peemy, ewentualnie karabiny samopowtarzalne (radzieckie SWT 40, radziekiej niemieckie G 43). Zdecydowanie mniej efektywne były powtarzalne karabiny (duży zasięg strzału, ale niewielka szybkostrzelność) oraz cekaemy, znacznie ograniczające mobilność. Wraz z upływem czasu nasycenie bronią automatyczną sukcesywnie się zwiększało. W wielu wypadkach żołnierze dysponowali dwoma rodzajami uzbrojenia, tzn. bronią długą i krótką (przede wszystkim pistoletami wojskowymi kalibru 9 mm lub 7,62 mm).

Ekspozyty na cenzurowanym

W okresie PRL broń po powojennych partyzantach przekazywano do muzeów tylko incydentalnie. Ze względów politycznych ekspozyty te nie były raczej pożądane. Możemy tylko domniemywać, że część bezimiennych egzemplarzy, które trafiły w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych z jednostek wojskowych i Milicji Obywatelskiej, należała niegdyś do Żołnierzy Wyklętych. I dlatego tak cenne są te nieliczne, związane z konkretnymi osobami lub oddziałami.

W zbiorach Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie znajduje się m.in. belgijski trzynastostrzałowy Browning High Power wz. 35 kal. 9 mm, należący niegdyś do mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszkii”, legendarnego dowódcy 5. Wileńskiej Brygady AK, słynnego zagończyka (dowódcy oddziału rajdowego). Broń została wydobytą ze skrytki na Podlasiu w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Tę doskonałą konstrukcję opracowano w Fabrique Nationale d’Armes de Guerre z Herstal koło Liège. Ze słynną wytwórnią przez lata współpracował

genialny John Moses Browning, ale ojcem tej akurat efenki był inż. Dieudonné Saive. Pistolet dopracowano na początku lat trzydziestych, a w 1934 roku ruszyła jego produkcja seryjna. Broń działała na zasadzie krótkiego odrzutu lufy. Zasilana była z pudełkowego magazynka dwurzędowego (czyli takiego, jaki stosowano w pistoletach maszynowych) na 13 nabojów. Była to największa i wręcz rewolucyjna nowinka, żaden inny pistolet epoki nie miał tak pojemnego magazynka. Broń produkowano w dwóch odmianach: z celownikiem stałym oraz regulowanym, krzywiznowo-ramieniowym. Z tyłu chwytu znajdowało się wycięcie umożliwiające zamocowanie kolby/kabury. Prawdziwa kariera Browninga HP rozpoczęła się podczas II wojny światowej. W 1941 roku Niemcy wznowili jego produkcję i do roku 1944 z taśm montażowych zeszło przeszło 300 tys. pistoletów. Także alianci docenili walory broni, a dzięki seryjnej produkcji w Kanadzie (konstruktor pistoletu uniknął w 1940 roku niewoli i ewakuował się do Wielkiej Brytanii) High Powery trafiły na uzbrojenie armii kanadyjskiej i brytyjskiej. Pistolet „Łupaszki” ma numer seryjny 5102 i pochodzi z partii wyprodukowanej w Herstal dla armii litewskiej; świad-

▶ Ksiądz Władysław Gurgacz z bronią i plikami pieniędzy – tak zaaranżowane zdjęcie miało skompromitować w oczach społeczeństwa duchownego działającego w podziemiu antykomunistycznym; obok – pistolet ze zdjęcia, obecnie w zbiorach Muzeum Wojska Polskiego

czą o tym tzw. „słupy Giedymina” wybite na suwadle (tak oznaczano regulaminową broń litewską).

Propagandowe zdjęcie

Poza browningiem mjr. Szendzielarza z Żołnierzami Wyklętymi związane są jeszcze dwa visy: polski, wyprodukowany w 1938 roku, o numerze 14515 oraz niemiecki z 1942 roku (nr L 3424). Ten pierwszy został zdobyty w maju lub czerwcu 1946 roku w rejonie Radomska podczas akcji prowadzonej przez pododdziały 6. pułku piechoty i słuchaczy Oficerskiej Szkoły Politycznej z Łodzi przeciwko członkom Konspiracyjnego Wojska Polskiego dowodzonego przez Stanisława Sojczyńskiego „Warszyca”.

▶ Pistolet VIS zarekwirowany podczas likwidacji oddziału „Warszyca”

należał natomiast do ks. Władysława Gurgacza, kapelana Polskiej Podziemnej Armii Niepodległościowej rozstrzelanego w 1949 roku w więzieniu przy Montelupich w Krakowie. Broń została przekazana do muzeum w roku 1953 przez Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Z tym właśnie pistoletem sfotografowano księdza, w celach propagandowych, w Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Krakowie. ■

Michał Mackiewicz – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historyczno-wojskowej, współautor książki *Kircholm–Kłuszyn, zwycięstwa husarii* (2011)



Fot. AIPN

Fot. Muzeum Wojska Polskiego

Polskie oznaki w Legionie Puławskim

Tomasz Zawistowski

Legiony Polskie – ta nazwa kojarzy się dzisiaj jednoznacznie. Komendant Józef Piłsudski, zbiorówka w Oleandrach, wymarsz Kompanii Kadrowej, później Kostiuchnowka i Mołotków, Nida, Karpaty, Wołyń... A przecież nie były to jedyne Legiony powstałe w 1914 roku. Po drugiej stronie frontu, pod dowództwem rosyjskim, powstały również oddziały pod tą samą nazwą. Ich organizatorzy uzyskali od Rosjan zapewnienie, że Legiony Polskie po stronie rosyjskiej nie otrzymają rozkazu walki przeciwko Legionom Polskim po stronie austriackiej.

Wielka wojna, która jeszcze nie miała swego numeru, przez pierwszy rok swego trwania systematycznie zamieniała środkową Galicję i lewy brzeg Wisły w wypalone pobojuwisko. Od pierwszych chwil obie strony – zmagające się ze sobą na froncie wschodnim – podjęły starania o pozyskanie ochotników wśród swych poddanych mówiących po polsku. Dotychczasowi zaborcy wydali natychmiast odezwy, akcentując swe przyjazne nastawienie do sprawy polskiej i podkreślając konieczność zjednoczenia się przeciwko wspólnemu wrogowi. Oczywiście, najbardziej pożądanym byłoby dla nich pozyskanie polskich ochotników do własnych armii,

► Ułan Belina-Belinowicz z 1. szwadronu; wyraźnie widoczne naramienniki z monogramami „LP” i cyfrą „1”





Fot. ze zbiorów autora

► Pocztówka propagandowa z 1915 roku przedstawiająca ułana w polskim mundurze

niemniej z przyczyn propagandowych byli skłonni zaakceptować powstanie sprzymierzonych z nimi oddziałów polskich. O ile jednak w monarchii austro-węgierskiej istniały już w chwili wybuchu wojny dobrze rozwinięte polskie organizacje paramilitarne, to w imperium carów taka sytuacja była dotąd nie do pomyślenia. Nieufność wobec aspiracji polskich była tak silna, że nawet odezwe z 14 sierpnia 1914 roku, obiecując Polakom wolność samorządu, wiary i języka (pod moskiewskim berłem) podpisał nie monarcha, lecz wódz naczelny, wielki książę Mikołaj Mikołajewicz.

Organizatorem pierwszej polskiej formacji po stronie rosyjskiej był profesor kieleckiego gimnazjum, Bonawentura Snarski, dziś uznawany przez wielu za agenta carskiej Ochrany. Zorganizowany przez niego w Warszawie oddział w sile około 200 ochotników, ubrany w rosyjskie mundury, wyruszył na front w składzie 2. armii rosyjskiej, a po poniesieniu znacznych strat został rozformowany w październiku 1914 roku.

Kolejne próby tworzenia polskich oddziałów, tym razem kawalerskich, podjęli hr. Waldemar Tyszkiewicz i Kazimierz Łaszcz, ale natrafili na silny opór strony rosyjskiej. Sukcesem zo-

stała uwieczniona dopiero inicjatywa Witolda Gorceżyńskiego, ziemianina z guberni kowieńskiej. Za zgodą wielkiego księcia rozpoczął on werbunek do Legionów Polskich, którą to nazwę „stawka” (sztab główny Naczelnego Dowódcy) zaaprobowała 10 listopada. Początkowo organizowano oddziały w Chełmie i w Brześciu Litewskim, po czym w listopadzie przewieziono je do Puław. Od nazwy tego miasta wzięła się najpopularniejsza, choć nie do końca ścisła nazwa: Legion Puławski. Identyeczność nazwy polskich oddziałów po stronie rosyjskiej z mianem znacznie lepiej znanej, większej i dłużej istniejącej formacji walczącej po stronie austro-węgierskiej sprawiła, że już w okresie międzywojennym przymiotnik „puławski” przypisywano pozostałym polskim formacjom u boku Rosji, powstałym na przełomie lat 1914 i 1915: Legionowi Lubelskiemu oraz dywizjonowi kawalerii sztab-rotmistrza Henryka Budkowskiego.

Polskie oznaki na mundurach legionistów

Ochotnik wstępujący do Legionów był zobowiązany do umundurowania się na własny koszt. W praktyce często oznaczało to konieczność uiszczenia opłaty za mundur z własnej kieszeni. Ubożsi ochotnicy korzystali z mundurów opłaconych przez darczyńców, wspierających sprawę Legionów finansowo.

Pierwszym wzorem munduru, wprowadzonym do użycia jeszcze przed wyjazdem oddziału do Puław, były polskiego kroju ciemnoszare czamary, ozdobione bogatym szamerunkiem z czarnej taśmy, oraz okrągłe czapki. Oznaki stopni umieszczane na rękawach miały postać szamerunków z czarnych taśm w piechocie i czarnych sznurów w kawalerii. Zarówno forma mundurów, jak i nieczytelność oznak stopni, były nie do przyjęcia dla zwierzchnictwa rosyjskiego, wobec czego już w grudniu przemundurowano piechotę Legionu w uniformy rosyjskie z amarantowymi wypustkami. Czamar oficjalnie nie odebrano, lecz pozostawiono je jako mundury galowe. ►

Elementem tradycyjnym w armii rosyjskiej było oznaczanie oddziału za pomocą tzw. szyfrowki, czyli monogramu składającego się z cyfr bądź cyfr i liter, wkomponowanego w oznaki stopnia, umieszczone na naramiennikach. Żołnierze Legionów Polskich otrzymali prawo noszenia monogramów wiązanych z liter „LP”, niekiedy uzupełnianych numerem Legionu. Sceptycy, których w Królestwie nie brakowało, tłumaczyli ten skrót jako „lepiej poczekać”. Monogramy, według wspomnień braci Koźmińskich, rozprowadzała między innymi znana warszawska firma Dawida



Fot. ze zbiorów autora

► Rosyjska kokarda oficerska z nakładką produkcji warszawskiej

Karpa, mieszcząca się przy ulicy Marszałkowskiej.

Oprócz tych oznak legioniści mieli prawo noszenia guzików srebrzonych, w odróżnieniu od większości jednostek piechoty rosyjskiej, które używały guzików złoconych.

Ten kolor był ukłonem w stronę polskiej tradycji, cóż jednak z tego, skoro na guzikach tak czy inaczej widniał wizerunek dwugłowego orła.

Amaranty związane pod szyją

W składzie oddziałów pieszych, formowanych na przełomie października i listopada 1914 roku, było kilku ochotników do kawalerii, niemniej początkowo nie było możliwości stworzenia takiego oddziału. Dopiero w pierwszych dniach grudnia zgłosił się do Legionu ziemianin z powiatu grójeckiego, Kazimierz Łaszcz, który zobowiązał się własnym sumptem wystawić oddział w sile pięćdziesięciu szabel. Mianowany przez Witolda Górczyńskiego honorowym rotmistrzem – Łaszcz został organizatorem kawalerii Legionu. Już w grudniu pierwsza grupa kawalerzystów dotarła z Warszawy do Puław, gdzie 13 stycznia zakończono formowanie 1. szwadronu. W końcu stycznia istniał już dwuszwadronowy dywizjon, dowodzony przez zawodowego oficera przybyłego z włodzimierskiego pułku ułanów, wspomnianego sztabrotmistrza Henryka Budkowskiego.

Barwne mundury ułanów – wprowadzone po wycofaniu z użycia czamar –

były swoistą kompilacją tradycyjnych elementów polskich z rosyjskimi. Granatowe ułanki z amarantowymi kołnierkami, naramiennikami, wyłogami na rękawach i wypustkami, uzupełnione amarantowymi rabatami, nawiązywały do tradycji z czasów Królestwa Kongresowego, lecz czapki amarantowe z białymi otokami i czarnymi daszkami były kroju typowo rosyjskiego. Spodnie noszono z podwójnymi, amarantowymi lampasami. Podobnie jak w piechocie, przyjęto guziki srebrzone i monogramy „LP” na naramiennikach. Wygląd mundurów sprawiał, że ułanów przebywających w Warszawie nierzadko aresztowano „omyłkowo” jako osoby podejrzane, co w wielu przypadkach odbierano jako szykanę ze strony Rosjan niechętnych sprawie Legionów.

Sprawa oznak czapkowych

17 listopada 1914 roku dowództwo rosyjskie wyraziło zgodę na nadanie Legionom Polskim sztandaru. Symbol polskiego orła nie został zaakceptowany; na płatach sztandaru znalazły się: wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej oraz napis „Legion Polski 1914”. Witold Górczyński, organizator Legionów i fundator sztandaru, wspominał: „kazałem dorobić dużego srebrnego orła białego dla wkręcenia na drzewcu u góry, lecz zatwierdzić mi go nie chcieli bez wyszczenia monogramu Mikołaja II-go na sztandarze, na co



Fot. ze zbiorów autora

► Rosyjska kokarda szeregowych z nałożonym polskim orłem



► Przykład nieregulaminowego noszenia polskiego orła nałożonego na rosyjską kokardę oficerską

Fot. ze zbiorów autora

ja się znów nie zgodziłem, i zostawiając przy sztandarze orła, oddałem go pułkownikowi [Antoniemu] Reuttowi w Puławach, z poleceniem wkręcania na drzewce podczas boju”.

Oczywista była też chęć umieszczenia orła na żołnierskich czapkach. Powstała koncepcja spolszczenia rosyjskich, trójbarwnych kokard przez nałożenie na ich centrum owalnej nakładki z orłem i zakrycie w ten sposób barw czarnej i pomarańczowej. W rezultacie uzyskać chciano srebrnego, polskiego orła na czerwono lakierowanym owalu, wpasowanym w obrys zewnętrznego, srebrnego pola kokardy (il. na poprzedniej stronie). Mimo wyprodukowania sporej liczby takich oznak, prawdopodobnie przez warszawską firmę grawerską Bronisława Kuszczynskiego, orły nie zostały zaaprobowane przez rosyjskie zwierzchnictwo. Koncepcja ich użycia przetrwała jednak w szeregach legionistów polskich, chętnych do omijania oficjalnych regulaminów. Oprócz stosowania oznak owalnych zdarzały się przypadki nakładania na rosyjskie, metalowe kokardy innych orłów polskich, dobranych wielkością.

Na marginesie warto wspomnieć o pewnej nieściśłości w rozkazodawstwie rosyjskim. W okresie formowania Legionów owalne kokardy były noszone jedynie przez jednostki regularne, natomiast pospolite ruszenie nosiło charakterystyczne krzyże równoramienne z monogramem cara i dewizą. Oznaki te znikły dopiero po wcieleniu całości pospolitego ruszenia do armii regularnej, co nastąpiło wiosną 1915 roku. Zasadniczo więc, otrzymując w lutym 1915 roku status pospolitego ruszenia, Legiony powinny były założyć na czapki krzyże. Dlaczego tak się nie stało – dzisiaj nie wiemy.

Koniec niezależności

Ze względu na nieufne przyjęcie wojskowej inicjatywy płynącej ze strony osoby cywilnej, to jest Witolda Górczyńskiego, patronat nad powstającymi oddziałami przejął Komitet Narodowy Polski. Po negocjacjach uzyskał

on zgodę na wcielenie Legionów Polskich do regularnej armii rosyjskiej, a bezpośrednie dowództwo objął 9 stycznia 1915 roku generał Edmund Świdziński. Jednakże na skutek przejęcia zwierzchnictwa nad Legionami przez księcia Pawła Jengałyczewa – generał-gubernatora warszawskiego i dowódcę Warszawskiego Okręgu Wojskowego, przeciwnika przyznawania Polakom jakiegokolwiek formy autonomii – w zasadzie wszystkie elementy polskie zostały zakazane, włącznie ze zmianą nazw oddziałów. W początku lutego Legion I formowany w Puławach stał się 739. nowoaleksandryjską drużyną pospolitego ruszenia, Legion II – 740. drużyną lubelską, a przypisane do nich szwadrony ułanów – 104. i 105. – sotniami konnymi pospolitego ruszenia. Polskie oddziały wyruszyły więc na front jako rosyjskie drużyny i sotnie i walczyły oddzielone od siebie.

Zakaz używania nazwy Legionów oznaczał też konieczność usunięcia monogramów „LP” z naramienników. Stosowny rozkaz wydano w lutym 1915 roku, lecz był przez legionistów bojkotowany. Chcąc wyegzekwować posłuszeństwo, Jengałyczew zakazał produkcji i sprzedaży monogramów. Jak opowiadał bratu legionista Ksawery Koźmiński, „widziało się żołnierzy z wymalowanymi wprost ołówkiem chemicznym literami L.P. na naramiennikach mundurów”.

739. nowoaleksandryjska drużyna pospolitego ruszenia, zwana ciągle przez żołnierzy Legionem Puławskim, została wysłana na front w marcu 1915 roku. Chrzest bojowy oddziału miał miejsce pod Pakosławiem 20 maja. 740. drużynę wykorzystano w lipcu jako uzupełnienie I Legionu. Z kolei wymarsz ułanów opóźniał się, po czym w sierpniu został wymuszony przez nieprzyjacielską ofensywę. Oddziały walczyły osobno w szeregach różnych armii rosyjskich. W sierpniu 1915 roku stały się kadrą formowanej Brygady Strzelców Polskich, która z czasem miała się rozrosnąć w I Korpus Polski.



► Para naramienników pułkownika z monogramami „LP”



► Para naramienników ułana 1. szwadronu z haftowanymi monogramami „LP”; białoczerwony sznurek dookoła krawędzi oznacza ochotnika

Tradycja nieformalnego polonizowania rosyjskich mundurów przez niektórych żołnierzy trwała przy milczącej aprobacie części polskich dowódców przez kolejne lata, by wreszcie zostać zalegalizowana w wyniku zmian zachodzących w armii po rewolucji lutowej/marcowej 1917 roku.

Mimo formalnego odebrania Legionom ich nazwy w lutym 1915 roku przez Jengałyczewa, żołnierze nie przestali jej używać. Legionista Wacław Sakierski wspominał: „W miejscach postoju Legionu stawialiśmy krzyże drewniane wysokości około 5 mtr. z napisami z wbitych kul karabinowych: »Tu stał 1 Legion Puławski«”.

Tomasz Zawistowski – autor trzech tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1917–1945*

Żołnierze Wyklęci – po co o nich uczyć?

Lukasz Michalski

To pytanie, rozmaicie formułowane, pojawiło się wraz z pierwszymi obchodami Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych (1 marca 2011 roku) i wciąż powraca. Nic w tym dziwnego, bo z jednej strony do pamięci o bohaterach zbrojnego podziemia antykomunistycznego zachęcają nie tylko liczne organizacje i instytucje, ale także najwyższe władze Państwa Polskiego z Sejmem RP na czele; z drugiej zaś próżno szukać odniesień do Żołnierzy Wyklętych tak w nowej podstawie programowej do nauczania historii, jak i w większości nowych programów i podręczników.

W rezultacie polski nauczyciel historii znajduje się w iście schizofrenicznej sytuacji, kiedy to samo państwo uchwałą sejmu i deklaracjami Prezydenta RP oraz działaniami poważnych instytucji (choćby IPN) zachęca do przypominania dziedzictwa i tragedii Żołnierzy Wyklętych, a równocześnie poprzez formalne i programowe postanowienia Ministerstwa Edukacji Narodowej *de facto* radzi ten trudny temat zignorować. Inaczej mówiąc, decyzję nauczyciel musi podjąć samodzielnie, ale żeby mógł to zrobić sensownie, potrzebuje argumentów. Wśród nich najważniejsze są cztery.

Nie byli marginesem

Po pierwsze: skala. W powojennych walkach polskiego zbrojnego podziemia niepodległościowego wzięło udział co najmniej 30 tys. żołnierzy, działających od Pomorza po Podhale. Jeśli wziąć pod uwagę, że – najostrożniej licząc – poważne walki trwały do końca 1947 roku, a proces likwidacji oporu zbrojnego komunizmu musieli ciągnąć aż do lat pięćdziesiątych, to w rzeczywistości możemy mówić o swego rodzaju regularnej wojnie, trwającej – w zależności od wyliczeń – od trzech do siedmiu, ośmiu lat! Okazuje się zatem, że – patrząc na rzecz zimnym okiem statystyka – mówimy o największym, po Solidarności, procesie oporu społecznego wobec władz komunistycznych w całym okresie Polski Ludowej. Skoro więc uznajemy, że należy uczyć młodzież o protestach i oporze w nieporównywalnie mniejszej skali, nie mówiąc już o liczbie ofiar (by wspomnieć choćby tzw. lata przełomów, a więc marzec 1968,

grudzień 1970 na Wybrzeżu czy też protesty w Radomiu i Ursusie w roku 1976), tym bardziej konieczne wydaje się przedstawienie zjawiska o bez porównania większym zasięgu, czasie trwania i stopniu represji.

Zwalczyć kłamstwa założycielskie

Powód drugi jest bardziej skomplikowany, a zarazem głębszy. Chodzi tu o przyczyny sprzeciwu i formę zakłamywania tych wydarzeń przez komunistów. W przekazie propagandy PRL zbrojne podziemie niepodległościowe lat czterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego wieku było przedstawiane (jeśli w ogóle o nim wspomniano) jako składające się z nielicznych „band”, do których należeli wykolejeni przez wojnę mordercy i rabusie, przesłaniający „rzekomym” antykomunizmem zwykły gwałt na spokojnych, praworządnych obywatelach. Najczęściej zaś po prostu z żelazną konsekwencją przemilczano istnienie tego ruchu. Słynna herbertowska „historia o nich głucho milcząca” miała w praktyce postać urzędu cenzury przy Mysiej, ponurego gmaszyska Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, a w ostateczności osławionego Pałacu Mostowskich (warszawskiej siedziby Milicji Obywatelskiej) z jego pokojami przesłuchań i kazamatami. Ta bardzo precyzyjna i zakrojona na wielką skalę akcja propagandowo-represyjna okazała się skuteczna. W kolejnych pokoleniach Polaków udało się utrwalić pokutujące po dziś dzień przekonanie o rzekomym braku masowego i zorganizowanego sprzeciwu wobec intronizowanej w Polsce na sowieckich bagnietach władzy rodzimych komunistów, czego pochodną jest opinia, według której pierwociny zorganizowanej



opozycji miały się pojawić w początkach lat siedemdziesiątych, a pierwszym masowym ruchem sprzeciwu miała być dopiero Solidarność. Logicznym, „podprogowym”, by tak rzec, przekazem takiego przekonania jest następująca konstrukcja: skoro pierwsze zorganizowane formy oporu wobec władzy komunistycznej w Polsce pojawiły się dopiero niemal ćwierć wieku po jej powstaniu, oczywiste jest, że sprzeciw wywołały nadużycia działającej władzy, nie zaś sam fakt jej pojawienia się. Innymi słowy, w najbardziej zasadniczym, ideowym sensie, społeczeństwo polskie jako wspólnota rzekomo nie zakwestionowało samego faktu przejścia władzy w kraju przez Polską Partię Robotniczą, a później PZPR, lecz jedynie nie było zadowolone z praktyki jej sprawowania.

Jest to fundamentalny fałsz, który bez wielkiej przesady można – obok kłamstwa katyńskiego, fałszowania dokonania Armii Krajowej i Armii Ludowej, faktycznego stopnia podległości komunistów polskich Sowietom oraz poziomu „zacofania” II RP i skali „osiągnięć” gospodarczych i społecznych PRL – uznać za „kłamstwo założycielskie” komunizmu w Polsce. Rzeczywistość lat powojennych wyglądała bowiem dokładnie odwrotnie. Polskie społeczeństwo nie tylko nie udzieliło komunistom legitymacji, lecz sprzeciwiało się im, i to masowo, zarówno „biernie” – poprzez polityczne poparcie dla PSL – jak i czynnie – poprzez opór zbrojny. Ów opór zaś trwał od samego początku tworzenia zrębów „Polski Lubelskiej” (a więc od 1944 roku). Dotyczył zatem faktu narzucenia sowieckich rządów w Polsce, nie zaś później-



DANUTA SIEDZIKÓWNA „INKA”
(3.09.1928–28.08.1946)

szych nadużyć. W dodatku miał charakter zorganizowanego ruchu zbrojnego, podległego wojskowej dyscyplinie i hierarchii – od pierwszej organizacji „NIE” (nazwa od słowa „niepodległość”) aż po kolejno likwidowane przez Urząd Bezpieczeństwa komendy Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”. Co więcej, udział w tej tragicznej, skazanej na przegraną walce wzięło nie kilka czy kilkanaście pojedynczych oddziałów partyzanckich, lecz – powtórzymy – ponad 30 tys. żołnierzy. Śmiało możemy za-

tem mówić o masowym oporze zbrojnym wobec wprowadzenia władzy komunistycznej w Polsce.

Skoro zatem jednym z podstawowych celów naszego współczesnego kształcenia historycznego ma być rzeczywistość powrót do przekazywania historii prawdziwej i odejście od fałszerstw propagandy komunistycznej – a taki cel głosiły wszystkie ekipy rządzące w Polsce po 1989 roku i wszyscy kolejni ministrowie edukacji – bezwzględnie konieczne jest przybliżenie młodzieży doświadczenia i tradycji Żołnierzy Wyklętych. Bez tego nie może być bowiem mowy o zrozumieniu istoty komunizmu w Polsce po II wojnie światowej. Bardzo trudno także będzie pojąć rzeczywiste konteksty i znaczenie kolejnych prób oporu wobec władzy w PRL.

Kopalnia fascynujących historii

Powód trzeci nazwałbym dydaktycznym. Historia zbrojnego podziemia powojennego dostarcza całego wachlarza istic hollywoodzkich scenariuszy bohaterstwa, patriotyzmu, sprzeciwu wobec terroru i totalitarnego państwa. Jest to kopalnia fenomenalnych wzorców osobowych, które można przedstawić współczesnym uczniom, w dodatku – co tu kryć – w bardzo atrakcyjnej otoczce walk, pościgów, ucieczek czy konspiracji. Innymi słowy, nauczyciel przy odrobinie wysiłku może zczerpnąć niemal nieograniczoną liczbę arcyciekawych i bardzo pożytecznych wychowawczo historii osób, nie tylko przekazujących i utrwalających wiedzę o tym ponurym okresie, lecz także wyzwalających naturalną fascynację młodego człowieka przygodą w imię wielkich ideałów – nawet jeśli zakończoną tragicznie. Współczesna dydaktyka historii wyraźnie wskazuje na potrzebę personifikacji przekazu, szczególnie jako nośnika treści łączących w sobie istotne cele kształcące z wychowawczymi. W dziedzictwie historii Żołnierzy Wyklętych można takich spektakularnych, a niejednokrotnie wstrząsających przykładów znaleźć bardzo dużo.

Przy tym, jak to już wiele razy w naszej praktyce szkolnej bywało, sama młodzież wyprzedza wyraźnie decydentów, ▶



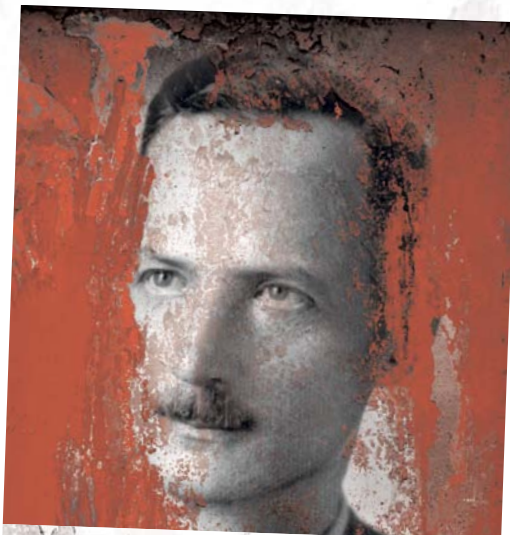
TADEUSZ DANILEWICZ
„DOMAN” (21.09.1895–21.11.1972)

dając niedwuznaczny sygnał rosnącego z roku na rok zainteresowania omawianą tu tematyką. Warto prześledzić pojawiające się w ostatnich latach, a szczególnie w zeszłym i obecnym roku, inicjatywy upamiętniające Żołnierzy Wyklętych oraz rozmaite projekty kulturowe i społecznościowe oparte na ich historiach i tradycji. Mamy już nie tylko inicjatywy znane i tradycyjne (by nie powiedzieć: sztampowe) w rodzaju wmurowywania tablic czy organizowania apeli poległych, ale złoty i „wydarzenia” facebookowe, niezliczone „memy” internetowe, komiksy, gry internetowe i aplikacje na telefony komórkowe, filmy dokumentalne i fabularne (zarówno profesjonalne, jak i amatorskie), spektakle i widowiska teatralne, liczne rekonstrukcje historyczne (a nawet specjalne grupy rekonstrukcyjne zajmujące się tylko tym fragmentem naszej historii), wreszcie imprezy sportowe upamiętniające los uczestników polskiego podziemia zbrojnego po 1945 roku. W zdecydowanej większości są to inicjatywy samej młodzieży, powstające oddolnie, w wyniku fascynacji losami konkretnych bohaterów tamtych wydarzeń.

Ogromny wzrost zainteresowania tą przestrzenią naszej historii, przez lata zakazaną, znakomicie obrazuje poziom oddźwięku medialnego wobec prowadzonego przez IPN pod kierownictwem dr. hab. Krzysztofa Szwagrzyka projektu ekshumacji i identyfikacji bohaterów czasów wojny i oporu powojennego, zamordowanych przez funkcjonariuszy UB i bezprawnie skazanych na śmierć przez komunistyczne sądy. Z ogromnym zainteresowaniem spotkała się też dokumentująca miejsca zbrodni i terroru stalinowskiego w Polsce monumentalna publikacja Instytutu *Śladami zbrodni*, opracowana pod kierownictwem dr. Tomasza Łabuszewskiego. Również w wyraźnej, pozytywnej zmianie nastawienia mediów do podobnych projektów, wydawnictw czy wydarzeń widać skokowy wzrost zapotrzebowania społecznego na takie informacje. Biorąc pod uwagę, że owo zainteresowanie dotyczy głównie młodego pokolenia, zignorowanie go w praktyce szkolnej wydaje się – najdelikatniej mówiąc – nierozsądne.

Jesteśmy im winni pamięć

Na koniec powód najważniejszy. Tragiczna, pozbawiona nadziei na zwycięstwo walka członków zbrojnego podziemia niepodległościowego z narzuconą władzą komunistyczną jest nie tylko kluczowym dla historii PRL procesem historycznym. Nie stanowi też jedynie zbioru cieka-



FRANCISZEK NIEPOKÓLCZYCKI
„HALNY” (27.10.1900–11.06.1974)

wych – gotowych do zastosowania na lekcjach historii – przykładów postaw patriotycznych. To przede wszystkim wołające do nas spod zwalów celowo kształtowanej przez całe dekady niepamięci, pogardy i lekceważenia świadectwo dane prawdzie, niepodległości państwa i wolności osobistej obywateli, czyli wartościom najważniejszym dla milionów. Tego świadectwa tysięcy zwykłych Polaków, wyrażonego ostateczną formą sprzeciwu – walką zbrojną – i przypieczętowanego własną śmiercią, nie można zignorować. Jedną z najważniejszych ról, które mają do odegrania nauczyciele historii, obdarowani prawdziwym powołaniem, jest uświadomienie kolejnym pokoleniom znaczenia pamięci

ci dla trwania wspólnoty. Naszym podstawowym obowiązkiem jest zatem przekazywanie wiedzy o tych, którzy stali się jednym z najważniejszych fundamentów przetrwania tej wspólnoty w jej prawdziwym kształcie w XX wieku. My, nauczyciele w wolnej, niepodległej Polsce ludziom takim jak rtm. Witold Pilecki, ppłk Łukasz Ciepliński, gen. August Fieldorf „Nil”, Danuta Siedzikówna „Inka” i dziesiątkom tysięcy ich bezimiennych towarzyszy broni, zastrzelonych w obławach Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i NKWD, zakatowanych w ubeckich piwnicach, zabitych strzałem w tył głowy i powieszonych z wyroków sądownych sądów, jesteście to po prostu winni. 🇵🇱

dr Łukasz Michalski – zastępca dyrektora Biura Edukacji Publicznej IPN



WALERIAN JÓZEF TUMANOWICZ
„JAGODZIŃSKI” (1.03.1894–13.11.1947)



Fot.: Terror Háza Múzeum

Dom Terroru

Jerzy Morawski

Nowoczesne muzea z pewnością mocniej oddziałują na naszą pamięć aniżeli książki. Niektóre placówki wywołują również spore kontrowersje. Dom Terroru w Budapeszcie, upamiętniający zbrodnie totalitaryzmów na Węgrzech, jest tego najlepszym przykładem.

Odwiedzając to muzeum po raz pierwszy, zwróciłem uwagę na schowaną w ciemnej sali czerwoną limuzynę, którą podróżowali – nazywani awoszami – funkcjonariusze węgierskiej tajnej policji komunistycznej, aby ścigać „wrogów systemu”. A także na ścianę, na której wisiały pocztówki. Przysyłali je z Zachodu ludzie, którzy wyemigrowali z kraju, uciekając przed represjami lub nie mając nadziei na spokojne życie w ojczyźnie. Jest to niewątpliwie jedno z najbardziej efektownych muzeów w Europie. Wykorzystuje ono techniki multimedialne, przemawia do emocji i odwołuje się do wszystkich zmysłów. Zjechawszy windą do piwnic, gdzie awosze przesłuchiwali więźniów politycznych, odczułem zapach stęchlizny. Zajrzenie do ponurych i ciasnych pomieszczeń daje wyobrażenie o tym, co czuli ci, którzy byli tam przetrzymywani i przesłuchiwani.

Dom Terroru, podobnie jak wiele współczesnych muzeów, aby uatrakcyjnić swój przekaz i przyciągnąć jak najwięcej ludzi, sięga po rozwiązania, które odpowiadają współczesnemu odbiorcy. Nie ma tu nieruchomych gablot z eksponatami, którym przyglądają się nieliczni miłośnicy historii czy sztuki oraz wycieczki szkolne.

– Ludzie są przede wszystkim stworzeniami emocjonalnymi. Najpierw trzeba zatem przemawiać do ich emocji, a dopiero później do intelektu – stwierdziła w wywiadzie dla „The Budapest Times” Mária Schmidt, główna twórczyni i obecna dyrektor Domu Terroru.

Niezależnie od tego, czy zgadzamy się z takim podejściem, faktem jest, że wciąż rośnie wpływ tego rodzaju muzeów na pamięć historyczną. W związku z tym wśród historyków i polityków oraz ludzi kultury mogą narastać spory wokół tego, jak powinna być przedstawiana historia ▶

► Muzeum
Dom Terroru
w Budapeszcie

– na co zwracać szczególną uwagę, a jakie sprawy można pominąć.

Dotyczy to także Domu Terroru. W dzień po jego odwiedzeniu rozmawiałem z profesorem Zsuzsanną Vargą z Instytutu Historii Uniwersytetu Loránda Eötvösa. Opowiadała o gorącej debacie, która towarzyszyła otwarciu muzeum w 2002 roku i podzieliła społeczeństwo węgierskie. Trudno bowiem zaprzeczyć, że Dom Terroru upowszechnia wiedzę o przeszłości i stanowi rodzaj pomnika dla ofiar zbrodniczych systemów, ale również wywołuje spory na temat sposobu prezentowania w nim historii.

Zamiarem twórców Domu Terroru było przedstawienie dwóch dyktatur w najnowszej historii Węgier – faszystowskiej i komunistycznej. Zamysł ten odzwierciedlają siedziba muzeum i jego logo. Placówka mieści się w kamienicy, która w czasie II wojny światowej służyła za siedzibę strzałokrzyżowcom, czyli węgierskim faszystom, a po wojnie – komunistycznej służbie bezpieczeństwa (ÁVH). Logo muzeum zaś łączy w sobie wzorowany na swastyce znak strzałokrzyżowców i czerwoną gwiazdę.

– Naszym celem jest pokazanie, że oba systemy totalitarne: faszyzm i komunizm, były do siebie bardzo podobne – mówi Károly Szerencsés, profesor historii na Uniwersytecie Loránda Eötvösa w Budapeszcie i zarazem jeden z twórców wystawy. Jego argumentację odrzuca András Mink, historyk z Open Society Archives w Budapeszcie:

– Takie uzasadnienie to jedynie listek figowy. To obskurna i fałszująca historię propaganda – twierdzi. Skąd się bierze taka różnica zdań?

Podwójna okupacja czy wielka manipulacja?

Wielkie emocje wzbudza już pierwsza ekspozycja, zatytułowana „Podwójna okupacja”. Wyświetlana na dużej ścianie animacja przedstawia, jak zmieniały się granice Węgier w XX wieku. Dowiadujemy się, że po I wojnie światowej „rozbrojone i otoczone przez wrogie państwa Węgry stały się najmniejszym i najsłabszym państwem w środkowej Europie”, „w połowie lat trzydziestych znalazły się [zaś] w ogniu krzyżowym agresywnego reżimu nazistowskiego w Niemczech, a także groźnego i silnego Związku Radzieckiego”. Wreszcie – w czasie II wojny światowej „podjęmowały desperackie próby utrzymania swojej kruchej niepodległości i demokracji, tak, aby uniknąć najgorszego: niemieckiej okupacji”.

Krytycy zwracają uwagę na to, że taka narracja zniekształca historię. Na wystawie nie ma bowiem mowy o tym, że Węgry były sojusznikiem III Rzeszy i dzięki poparciu Hitlera odzyskały część terytoriów utraconych po I wojnie światowej. Nie ma też mowy o przyjętych przez węgierski parlament w latach 1938 i 1941 ustawach antyżydowskich, które m.in. zakazywały małżeństw pomiędzy Żydami i innymi obywatelami kraju. Zatem – zdaniem krytyków – przedstawianie Węgier wyłącznie jako ofiary raczej zaciemnia, aniżeli wyjaśnia historię.

Rozbieżności pomiędzy twórcami Domu Terroru a ich adwersarzami są również przejawem toczonego na Węgrzech od dawna sporu o postać admirała Miklósa Horthyego oraz dzieje Węgier w okresie międzywojennym i w czasie II wojny światowej.

Horthy sprawował autorytarną władzę na Węgrzech od roku 1919. W sojuszu z III Rzeszą widział nadzieję na odzyskanie części terytoriów Rumunii i Słowacji, które przed I wojną należały do Węgier i były zamieszkałe przez Węgrów. Po wybuchu II wojny światowej rządony przez Horthyego kraj utrzymał niepodległość, ponieważ zdecydował się na sojusz z Niemcami. Jednak w marcu 1944 roku Hitler wydał Wehrmachtowi rozkaz wkroczenia na Węgry, gdyż obawiał się, że Horthy przejdzie na stronę aliantów. Dyktator III Rzeszy pozostawił jednak Horthyego na stanowisku regenta państwa do października 1944 roku. W tym to miesiącu władzę przejęła węgierska faszystowska partia strzałokrzyżowców, w pełni podporządkowana Niemcom.

Zdaniem krytyków, twórcy muzeum dopuścili się manipulacji w opisie deportacji węgierskich Żydów do obozu śmierci w Auschwitz. Wynika z niego bowiem, że za deportacje jest odpowiedzialny rząd strzałokrzyżowców. Tymczasem największe deportacje przeprowadzono w okresie od maja do lipca 1944 roku, czyli w czasie, kiedy na czele państwa stał jeszcze Horthy.

– Pomysłodawcy muzeum chcą oczyścić węgierskie elity władzy z lat 1919–1944, w tym Miklósa Horthyego, z odpowiedzialności za udział w Holocauście i zrzucić ją na marionetkowy rząd narzucony przez Hitlera – tłumaczy Mink. Krytycy wystawy uważają, że opowiadając o okre-



► Zrekonstruowana cela więzienna

sie faszystowskim, Dom Terroru widzi źródło zła jedynie na zewnątrz, w hitlerowskich Niemczech, pomija natomiast partycypację Węgrów w tym systemie.

Obrońcy admirała Horthyego podkreślają jednak, że przystał on na deportacje Żydów wyłącznie pod presją niemiecką – Węgry stały się przecież krajem okupowanym – i, co więcej, starał się je zablokować. Nie można zatem – przekonują – sugerować w muzeum, że długoletni przywódca Węgier brał udział w Holocauście.

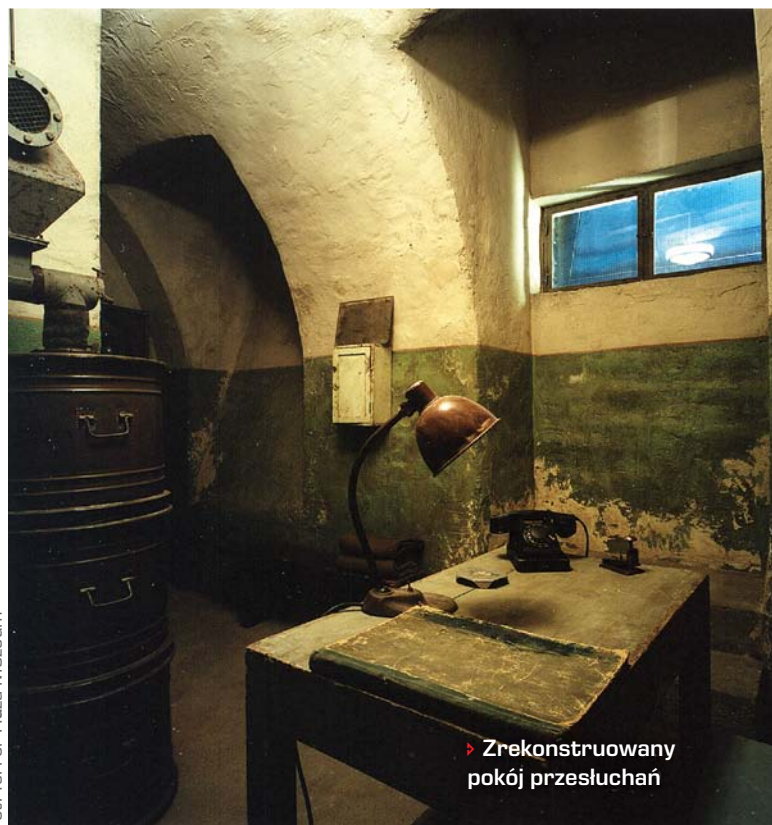
Jaką twarz miał komunizm?

András Mink siada przede mną z zaparzoną herbatą. – Przed chwilą widziałem badania opinii publicznej, z których wynika, że na Węgrzech János Kádár jest trzecią co do popularności postacią historyczną – mówi. W latach 1956–1988, czyli przez zdecydowaną większość okresu, kiedy Węgry były satelitą Związku Radzieckiego, Kádár był sekretarzem generalnym Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej, czyli najważniejszą osobą w państwie. – Dom Terroru nie wyjaśnia, jak to się stało, że sekretarz generalny komunistycznej partii cieszył się i nadal się cieszy taką popularnością wśród Węgrów. Jest to ciekawe tym bardziej, że Kádár pacyfikował węgierską rewolucję antykomunistyczną w 1956 roku. Czy to muzeum pozwala Węgom zrozumieć ich własną historię? Nie, nie wyjaśnia ono różnic pomiędzy okresem stalinizmu a epoką Kádára. Cały okres od 1945 do 1989 roku jest przedstawiony jako kontynuacja straszliwego terroru, wobec którego niemal całe społeczeństwo węgierskie było w opozycji. To się różni z wynikami sondaży. Ten uproszczony przekaz odpowiada tej części węgierskiego społeczeństwa, która słabo zna historię – tłumaczy Mink.

Według krytyków zatem, Dom Terroru niewiele uwagi poświęca ewolucji systemu komunistycznego w drugiej połowie XX wieku, bo przecież – jak podkreślają – lata pięćdziesiąte, kiedy trwał terror stalinowski, miały inną twarz niż lata sześćdziesiąte, siedemdziesiąte czy osiemdziesiąte, kiedy na Węgrzech rządził Kádár.



► Symbol terroru państwowego – czołg w holu muzeum



Fot. Terror Háza Múzeum

► Zrekonstruowany pokój przesłuchań

Muzeum broni Márkus Keller z budapeszteńskiego Instytutu Historii Rewolucji Węgierskiej 1956 roku: – Okres, który jest pokazany w Domu Terroru, czyli od początku niemieckiej okupacji w roku 1944 do upadku komunizmu w 1989, w węgierskiej pamięci jest pewnym ciągiem. To jest historia zbrodni, okrucieństwa, strat. Dla zachodnich intelektualistów faszyzm i komunizm były zupełnie inne. Dostrzeżenie kontynuacji między nimi to jest wynik doświadczenia krajów Europy Środkowej. Myślę, że to może być przyczyną nieporozumień – przekonuje.

Przykład Domu Terroru pokazuje, jak trudno jest uzgodnić wspólną wersję narracji historycznej, którą można przekazywać turystom i następnym pokoleniom. Spory wywoływało zresztą także u nas Muzeum Powstania Warszawskiego, choć były to dyskusje o innym charakterze niż te na Węgrzech. Tylko czy na pewno wypracowanie takiej wspólnej wersji narracji jest najważniejsze, jeśli w ogóle możliwe? Zapewne nieprzypadkowo jednym z głównych projektantów wystawy w Domu Terroru jest Attila Kovács, znany węgierski scenograf filmowy, który pracował przy oscarowych produkcjach. Dom Terroru, tak jak inne podobne instytucje w różnych krajach świata, jest bowiem jak film: ma opowiadać historię i dostarczać emocji. 🎬

Fot. Terror Háza Múzeum

Jerzy Morawski – student historii na Uniwersytecie Warszawskim, studiował także na Uniwersytecie Loránda Eötvösa w Budapeszcie; współpracownik miesięcznika „Nowe Książki”

Redakcja dziękuje Muzeum Dom Terroru (Terror Háza) za pomoc w zilustrowaniu artykułu. Köszönöm!

Wałęsa oczami strażników

Rzadko się zdarza, żeby publikacja zawartości archiwów znalazła się w centrum uwagi mediów. Do takiej wyjątkowej sytuacji doszło ostatnio, po tym jak ukazał się zbiór dokumentów *Kryptonim 333. Internowanie Lecha Wałęsy w raportach funkcjonariuszy Biura Ochrony Rządu*.

O tym, że rozgłos nie zawsze pomaga w rzeczowej dyskusji, przekonali się w tym przypadku autorzy opracowania: Tomasz Kozłowski i Grzegorz Majchrzak. Żle się stało, że rezultat ich pracy został sprowadzony do tak niepoważnego tematu, jak to, ile internowany Wałęsa zdołał wypić alkoholu.

Pamiętajmy, że w 1982 roku Wałęsa był przez władze traktowany jak więzień stanu. W porównaniu z warunkami, w jakich umieszczono pozostałych internowanych, był wręcz rozpieszczany. „Byłego przewodniczącego byłej Solidarności” przetrzymywano w rządowych ośrodkach wypoczynkowych, najpierw w Chylicach i Otwocku, a od maja 1982 roku w Arłamowie. Cel był jasny: komuniści chcieli kupić poparcie Wałęsy.

Kryptonim 333... zawiera wiele wartościowych informacji na temat codziennego zachowania lidera Solidarności. Są to raporty przygotowane przez funkcjonariuszy Biura Ochrony Rządu, którzy mieli bezpośredni kontakt z Lechem Wałęsą. Pilnowali go, dostarczali mu posiłków, obserwowali jego zachowania. Następnie sporządzali szczegółowe notatki, które łądowały na biurkach najważniejszych decydentów w PRL. Jest to cenne źródło wiedzy, które rzuca więcej światła na decyzje, które wówczas podejmował bohater książki.

W Arłamowie doszło do najbardziej kontrowersyjnych wydarzeń podczas internowania Wałęsy. To właśnie tam miała miejsce jego słynna rozmowa z bratem, podczas której nietrzeźwy Lech Wałęsa twierdził m.in., że jest potomkiem rzymskiego cesarza Walensa. Nagrana i umiejętnie spreparowana przez Służbę Bezpieczeństwa, stała się jednym z głównych elementów ataków propagandowych na lidera zdelegalizowanego związku zawodowego. Również w Arłamowie powstał „list kaprala Wałęsy do generała”, który był próbą szukania porozumienia z Wojciechem Jaruzelskim. Przez dużą część środowisk opozycyjnych został przyjęty bardzo negatywnie. Przewodniczący Solidarności był w tym czasie odcięty od swoich doradców, nie miał też wiedzy o faktycznej sytuacji w kraju. Trudno bowiem potraktować oglądany w odosobnieniu „Dziennik Telewizyjny” jako rzetelne źródło informacji.

Zresztą jednym z kluczy do zrozumienia postawy Wałęsy jest poznanie kontekstu historycznego. Dlatego pozytywnie należy ocenić poprzedzenie dokumentów obszernym, autorskim wstępem. Zarysowano w nim okoliczności samego internowania i usystematyzowano dotychczasową wiedzę na temat tego epizodu z biografii Wałęsy. To o tyle istotne, że publikacja jest skierowana nie tylko do zawodowych historyków. Z lektury wstępu możemy również poznać stanowisko autorów publikacji na temat ówczesnego zachowania Wałęsy. Oceniają oni, że w tym trudnym okresie

„333” – jak określali go w raportach oficerowie BOR – zdał egzamin z bycia liderem niezależnego ruchu związkowego.

Oczywiście, jest to ocena subiektywna i czytelnik może sobie wyrobić odmienną opinię. Jeżeli jednak ktoś oczekuje od *Kryptonimu 333...* rozwiązania zagadek dotyczących politycznych decyzji, które rodziły się w zaciszu arłamowskiego ośrodka myśliwskiego, to srodze się zawiedzie. Funkcjonariusze BOR notowali bowiem jedynie codzienne zachowanie więźnia, jego humory i kaprysy, nastrój itp. Raportowali również o odwiedzających go członkach rodziny i oficjalnych delegacjach (m.in. rządowych czy Międzynarodowego Czerwonego Krzyża). Są też – niekiedy już wcześniej publikowane – dokumenty dotyczące wizyt funkcjonariuszy SB. Oczywiście „borowcy” nie brali udziału w tych rozmowach, co nie przeszkadzało im sporządzać raportów z zachowania Wałęsy po każdej z tych wizyt.

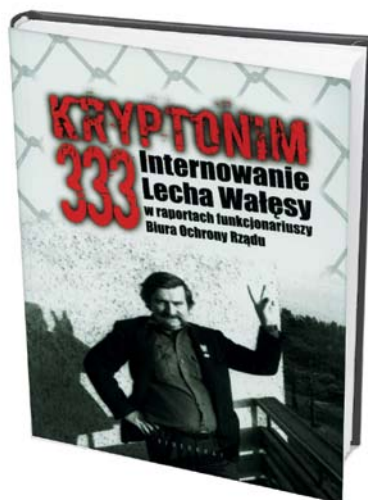
Obraz Wałęsy, który wylania z lektury, nie jest jednoznaczny. Nie zdradzając wszystkich tajemnic książki, wypada wspomnieć, że z raportów dowiemy się m.in. tego, jak „333” świętował wiadomość o narodzinach córki, a także dlaczego jedna z wizyt „smutnych panów” z SB sprawiła, że był „ponury i zły”. Dowiemy się też, ile litrów alkoholu wydano Wałęsie. I tu czeka na nas pułapka. Bo chociaż ilości alkoholu „zaksięgowanego na Wałęsę” robią wrażenie, to jeśli skonfrontujemy je z raportami na temat zachowania więźnia, okaże się, że Wałęsie spożywanie alkoholu zdarzało się stosunkowo rzadko i znajdowało odzwierciedlenie w okresowych raportach BOR-u.

Dużo ciekawsze są inne fragmenty książki. Niektóre stawiają lidera Solidarności w niekorzystnym świetle. Nie wszystkie jego działania można usprawiedliwić. Zakładając nawet, że Wałęsa prowadził z władzami grę i jego wypowiedzi były jej elementem, to i tak antysemitki komentarz pod adresem Anny Walentynowicz (o której miał powiedzieć, że „była dobra kiedyś, ale dalej pracować z Żydami nie mógł”) w tych kategoriach się nie mieści. Podobnych sytuacji jest kilka, a niektóre (np. chowanie w pokoju czekolady podczas odbywania głodówki) powodują, że

Wałęsa jawi się niekiedy jako postać komiczna.

Publikacja pozwala częściowo zrozumieć postępowanie bohatera książki. Podczas lektury dokumentów należy jednak pamiętać, by – jak zawsze – nie podchodzić bezkrytycznie do zawartych w źródłach informacji. Nie można przecież traktować funkcjonariuszy BOR jako „jedynych sprawiedliwych”, których słowa mają przesądzać sprawę. Zabrzmi to jak banał, ale obraz Wałęsy wylaniający się z raportów jest bardzo skomplikowany. Jak twierdzi Grzegorz Majchrzak, „zwolennicy Wałęsy znajdują w książce dowody na jego wielkość, a przeciwnicy na małość”. Jeżeli potraktujemy ten spór w kategoriach wojennych, to *Kryptonim 333...* nie jest bombą atomową, która mogłaby przesądzić o zwycięstwie jednej ze stron. Raczej obie będą z tej publikacji czerpać niczym ze skrzynki amunicji. A tak naprawdę najważniejsze jest to, że książka wnosi wiele nowych, ciekawych informacji. ■

Grzegorz Wołk



Kryptonim 333. Internowanie Lecha Wałęsy w raportach funkcjonariuszy Biura Ochrony Rządu, wstęp i oprac. Tomasz Kozłowski, Grzegorz Majchrzak, Videograf, Chorzów 2012, ss. 396

Zapomniany generał

Wśród wybitnych polskich postaci XX wieku trudno wskazać osobę w równym stopniu zasługującą na uwagę, a jednocześnie tylekroć niesłusznie pomijaną, co gen. Kazimierz Sosnkowski. Kluczowa rola, jaką odgrywał zarówno przed I wojną światową, jak i w jej trakcie, w walkach o granice Rzeczypospolitej w latach 1918–1920, w państwie polskim w okresie międzywojennym oraz podczas II wojny światowej, stawia go w jednym szeregu z innymi polskimi wodzami naczelnymi i przywódcami politycznymi tego okresu. A jednak dla opinii publicznej, a później dla historyków, długo pozostawał w głębokim cieniu marszałka Józefa Piłsudskiego czy generałów Władysława Sikorskiego i Władysława Andersa.

Wśród powodów takiego stanu rzeczy badacze wskazują m.in. na złożony charakter Sosnkowskiego, którego odbicie było intelektualizowanie problemów i niekiedy przesadna skłonność do analizy, a w konsekwencji niejednoznaczność decyzji lub wręcz ich brak. Sosnkowski jednocześnie był postacią wybitną i nie brakowało mu charyzmy. Dylemat, przed jakim stawali publicyści, a później badacze życiorysu generała, oceniając jego postać, doskonale wyraził dr Ireneusz Wojewódzki niezwykle trafnie wybranym podtytułem znakomitej książki: *Kazimierz Sosnkowski podczas II wojny światowej. Książkę niezłomny czy Hamlet w mundurze?* (Warszawa 2009). Owa złożoność postaci Kazimierza Sosnkowskiego i jej znaczenie w dziejach Polski stanowi zatem dla historyków wyzwanie, a jednocześnie pole do popisu.

Ten pasjonujący życiorys został przedstawiony w książce Jerzego Kirszaka *General Kazimierz Sosnkowski 1885–1969* szczegółowo, choć w nietypowy sposób. Zawiera ona wprawdzie dość obszerny, pięćdziesięciostronicowy zarys biografii generała, ale jej zasadniczą część stanowią ilustracje. Podzielone chronologicznie na rozdziały (1885–1913, 1914–1920, 1921–1939, 1939–1944, 1944–1969), wielowymiarowo prezentują barwną postać Kazimierza Sosnkowskiego, ukazując jego działalność wojskową i polityczną, a także życie prywatne. Klamrę tej ilustrowanej biografii stanowią rozdziały poświęcone korzeniom rodzinnym i synom generała, zwanym przez niego żartobliwie „pięcioroma budrysami”. Na zakończenie autor opisuje starania podejmowane dla upamiętnienia Sosnkowskiego.

Prezentowany w książce materiał ilustracyjny jest niezwykle ciekawy, bo bardzo różnorodny, a przede wszystkim unikatowy. Wiele spośród reprodukowanych fotografii i dokumentów jest publikowanych po raz pierwszy. Wśród nich znajdują się również zdjęcia przeróżnych pamiątek związanych z Kazimierzem Sosnkowskim i jego rodziną – możemy oglądać m.in. odznaczenia, mundury, dyplomy, listy i wycinki prasowe. Osobną kategorię stanowią reprodukcje okładek czasopism

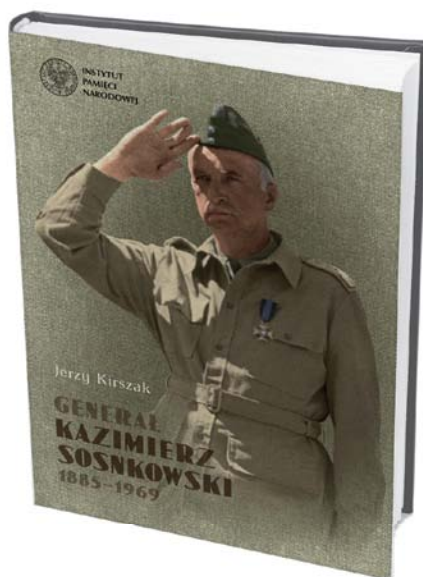
i książek, znaczków i kart pocztowych, numizmatów oraz pomników i tablic pamiątkowych. Prezentowany materiał ilustracyjny pochodzi ze zbiorów licznych instytucji krajowych i emigracyjnych oraz osób prywatnych, w tym także rodziny generała. Ten zbiór to najlepszy dowód na pasję autora i lata systematycznej pracy.

Doktor Jerzy Kirszak, pracownik wrocławskiego oddziału IPN, jest nie tylko historykiem od lat prowadzącym badania nad życiorysem Kazimierza Sosnkowskiego, ale także inicjatorem wielu przedsięwzięć upamiętniających postać generała. Warto wspomnieć zwłaszcza o jednym, najoryginalniejszym. W 2009 roku dr Kirszak, a także wspomniany już Ireneusz Wojewódzki oraz znawcy Karpat: Kazimierz Ciechanowicz i Tomasz Borucki zorganizowali górską wyprawę śladami Sosnkowskiego – przeszli tę samą trasę, którą przemierzył generał we wrześniu 1939 roku z Polski na Węgry.

Książka *General Kazimierz Sosnkowski 1885–1969* jest starannie opracowanym albumem, w którym ilustracje zostały dokładnie opisane i opatrzone wyczerpującym wstępem. Poprzedza go przedmowa Jadwigi Piłsudskiej-Jaraczewskiej, córki marszałka, która знаła osobiście Kazimierza Sosnkowskiego. Niestety, tylko mała część pracy jest dwujęzyczna (po polsku i po angielsku), mianowicie rozdział *Pięciu Budrysów*, co zapewne jest ukłonem w stronę żyjącej w Kanadzie rodziny generała. Reszta tekstów jest dla obcokrajowców niezrozumiała, a to ogranicza możliwość promowania polskiej historii za granicą. Szkoda, bo ta książka świetnie by się do tego nadawała.

Warto jeszcze zwrócić uwagę, że autor przemilczał (nie wymienił w bibliografii ani nie zamieścił reprodukcji okładki) istnienie biografii Kazimierza Sosnkowskiego opublikowanej przez prof. Lecha Wyszczelskiego. Niewykluczone, że uczynił to świadomie, gdyż wspomniana książka – co udowodnił Kirszak wspólnie z dr. Danielem Koresiem m.in. na łamach „Przeglądu Historyczno-Wojskowego” – zawiera liczne zapożyczenia i poważne błędy faktyczne.

Forma edytorska albumu jest wzorowa i wyraźnie nawiązuje do pracy Janusza Kurtyki i Jacka Pawłowicza *General Leopold Okulicki 1898–1946*, Warszawa 2010. Jakość reprodukcji ilustracji jest znakomita, a redakcja techniczna wykonana z ogromną dbałością. Mam nadzieję, że wkrótce zostaną opublikowane w tej serii kolejne równie udane i ambitne prace. 📖



Jerzy Kirszak, *General Kazimierz Sosnkowski 1885–1969*, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2012, ss. 472

Kenkarta z literą G

Do niedawna okupacja na Podhalu kojarzyła się przede wszystkim z działalnością tatrzańskich kurierów – bardzo chętnie opisywaną w różnych książkach zarówno w PRL, jak i w III RP. Zdecydowanie mniej pisano o zdradzie części społeczności góralskiej. Tę lukę wypełnia monografia Wojciecha Szatkowskiego poświęcona problematyce Goralenvolku.

Autor to pracownik Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem, a zarazem wnuk Henryka Szatkowskiego, jednego z twórców ideologii uzasadniającej kolaborację i jawnego zdrajcy sprawy polskiej w czasie II wojny światowej. Z tego też powodu publikacja budzi na Podhalu różne spory i kontrowersje.

Wojciech Szatkowski podchodzi do problemu bardzo uczciwie, nie wybielając na siłę żadnego uczestnika tamtych wydarzeń. Jego książka liczy prawie 700 stron. W kolejnych rozdziałach przedstawia genezę zdrady, koncepcje okupanta względem Podhala, współpracę niemiecko-góralską, akcję wprowadzania kenkart góralskich, funkcjonowanie Legionu Góralskiego Waffen SS, koniec koncepcji Goralenvolku i losy jej współtwórców. W kilkunastu miejscach pewne wątki niepotrzebnie się powtarzają.

Zakopane zostało zajęte przez oddziały niemiecko-słowackie już 2 września 1939 roku. Ludność miasta od razu odczuła duże braki w zaopatrzeniu w żywność. W willi „Palace” przy ul. Chałubińskiego powstała placówka gestapo (która z upływem czasu budziła coraz większą grozę wśród zakopiańczyków). Rozpoczęto akcję wyburzania symboli polskości, między innymi pomnika Władysława Jagiełły. Podobne działania można było zauważyć także w innych częściach Podhala. Ponadto Niemcy coraz chętniej traktowali te tereny jako ośrodki wypoczynkowe. W takich okolicznościach okupantowi udało się pozyskać grupę górali i przekonać ją do złożenia tzw. „holdu wawelskiego”, do którego doszło 7 listopada 1939 roku. W tej grupie wyróżnia się Wacław Krzeptowski, przed wojną działacz ludowy, przedstawiony w książce jako karierowicz. Ideologiczne uzasadnienie współpracy górali z Niemcami przygotował w większości wspomniany dr Henryk Szatkowski, żyjący na Podhalu uznany działacz kulturalny, coraz bardziej zafascynowany nazistowską Rzeszą.

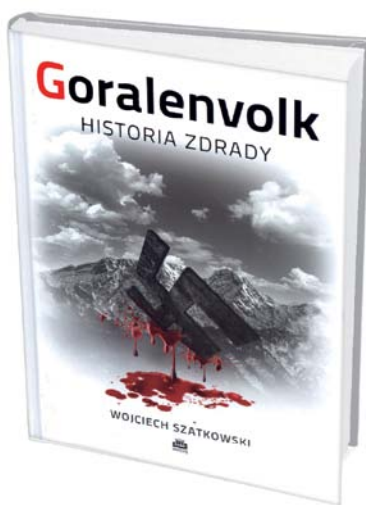
„Hold wawelski” został złożony generalnemu gubernatorowi Hansowi Frankowi. Oznaczał on początek formalnej współpracy pomiędzy Niemcami a częścią górali. Podczas holdu po raz pierwszy zostali oni określani nie jako Polacy, ale mniejszość narodowa przez Polaków uciskana. Doszukiwano się w coraz większym stopniu germańskich korzeni górali, wykorzystując do tego celu pseudonaukowe traktaty. Krzeptowski zaczął być określany jako „książę góralski”, który na czele reaktywowanego Związku Górali, a później Komitetu Góralskiego, starał się pozyskiwać coraz większe wpływy. Teoretycznie on i jego

współpracownicy mogli pomagać góralom zdobyć żywność, wyjść z więzienia czy uniknąć deportacji. Rzeczywiście, wystąpiły takie przypadki (i kontrowersyjni działacze góralscy zaskarbiali sobie w ten sposób wdzięczność poszczególnych górali), ale bardzo często te możliwości były wykorzystywane instrumentalnie – do pozbywania się politycznych przeciwników. Z upływem czasu Krzeptowski cieszył się jednak coraz mniejszym uznaniem Niemców. Sam zresztą odczuwał przed nimi różne obawy.

Spółczesność polskie zareagowało na wydarzenia związane z „holdem wawelskim” bardzo negatywnie. Należy zgodzić się z autorem, że niewątpliwie przyczyną tego był niezwykle sentymentalny Polaków do góralszczyzny. Zdrada – nawet dokonana tylko przez mniejszość górali – w połączeniu z tym sentymentem spowodowała szczególnie silną złość zwłaszcza w trudnych warunkach okupacji. Dochodziło do tego, że w obawie przed zaczepkami górale nie jeździli w swoich ludowych strojach do Warszawy czy Krakowa. Podkreślić należy także to, że duża część samych mieszkańców Podhala bardzo negatywnie odnosiła się do działań Krzeptowskiego i jego współpracowników. Powyższe odnosiło się także do dużej i uznanej na Podhalu rodziny Krzeptowskich, której przedstawiciele chcieli zmyć piętno „hańby rodzinnej”, działając w różnych formach konspiracji.

Jednym z najważniejszych przejawów specyficznej polityki okupanta na Podhalu miała być akcja wprowadzania kenkart – dokumentów dla górali. Wybierając kenkartę, górale mogli opowiedzieć się za „narodowością”, do której się przyznawali. Wybranie na dokumencie litery G oznaczało niezależną „narodowość góralską”, wyodrębnioną z narodowości polskiej, i miało też oznaczać poparcie dla Goralenvolku. Wybory górali w tym zakresie były bardzo zróżnicowane w poszczególnych miejscowościach. Trzeba pamiętać też o tym, że stosowano wobec ludności nacisk, grożąc karami za niepodjęcie karty. W Poroninie czy Białym Dunajcu próbowano także przekupywać górali racjami żywnościowymi. W samym Zakopanem kenkarty góralskie G wzięło około 23 proc. ludności. Zdaniem Wojciecha Szatkowskiego, nie był to zbyt wielki sukces kolaborantów, zważywszy na fakt, że wskazany ośrodek był centrum prowadzonej w tym zakresie akcji. Duża część górali, którzy brali karty, robiła to tylko „dla świętego spokoju”, w sercu zachowując dalej uczucia patriotyczne. Należy więc powtórzyć za autorem, że akcja okazała się kłęską.

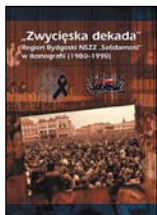
Książka Wojciecha Szatkowskiego odkrywa bardzo istotne zagadnienie i w ograniczonym dotąd zakresie charakteryzowane w literaturze przedmiotu. Przypomina przy tym, że większość górali nie była zainteresowana ofertą Niemców. I to właśnie ten brak chęci współdziałania przesądził o niepowodzeniu – przynajmniej w dłuższej perspektywie – idei Goralenvolku. 🍌



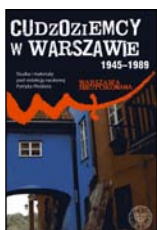
Wojciech Szatkowski,
Goralenvolk. Historia zdrady,
Kanon, Kraków 2012,
ss. 674



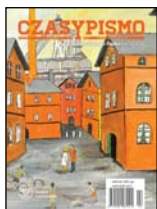
■ Krzysztof Busse, Arkadiusz Kutkowski, *Bić się do końca. Podziemie niepodległościowe w regionie radomskim w latach 1945–1950*, IPN, Lublin–Radom 2012, ss. 199.



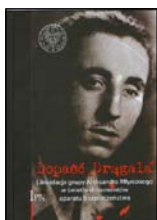
■ Kamila Churska, Katarzyna Maniewska, Krzysztof Osiński, *„Zwycięska dekada”. Region Bydgoski NSZZ „Solidarność” w ikonografii (1980–1990)*, IPN, Bydgoszcz 2010, ss. 214.



■ *Cudzoziemcy w Warszawie 1945–1989. Studia i materiały* (seria „Warszawa niepokonana” t. IV), red. Patryk Pleskot, IPN, Warszawa 2012, ss. 416.



■ „CzasyPismo” 2012 nr 2, IPN, Katowice, ss. 206.



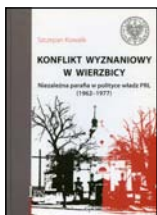
■ *Dopaść „Draęala”. Likwidacja grupy Aleksandra Młyńskiego w świetle dokumentów aparatu bezpieczeństwa*, red. Krzysztof Busse, IPN, Lublin–Radom 2012, ss. 383 + ss. 16 wkł. zdj.



■ Kamil Dworacek, *Burzliwa dekada. NZS we Wrocławiu 1980–1989*, IPN, Warszawa 2012, ss. 264.



■ Adam Dziurok, *Kruczoizacja. Polityka władz partyjno-państwowych wobec Kościoła katolickiego w latach 1945–1956 w województwie śląskim / Katowickim*, IPN, Katowice 2012, ss. 750.



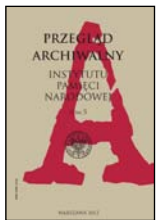
■ Szczepan Kowalik, *Konflikt wyznaniowy w Wierzbicy. Niezależna parafia w polityce władz PRL (1962–1977)*, IPN, Lublin 2012, ss. 391 + ss. 32 wkł. zdj.



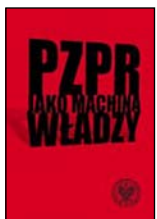
■ *„Masz rywalkę Polskę”. Korespondencja więzienna Władysława Galki (1949–1956)*, red. Maria Kamykowska i Jan Żaryn przy współpracy Leszka Rysaka, IPN, Warszawa 2012, ss. 440.



■ *Ostatnia dekada. Lata 1980–1990 w Łodzi i regionie okiem fotoreportera „Głosu Robotniczego”* (Biblioteka IPN w Łodzi, t. XXIV), zdjęcia Marek Kowal, wstęp i oprac. Paweł Spodenkiewicz, IPN, Łódź 2012, ss. 192.



■ „Przegląd Archiwalny Instytutu Pamięci Narodowej” t. 5, IPN, Warszawa 2012, ss. 320.



■ *PZPR jako maszyna władzy*, red. Dariusz Stola, Krzysztof Persak, IPN – ISP PAN, Warszawa 2012, ss. 342.



■ *Represje wobec żeńskich zgrupowań zakonnych w PRL. Zagadnienia wybrane*, red. Jerzy Myszor, Adam Dziurok, IPN, Katowice 2012, ss. 224.



■ Bogdan Sekściński, *Ogniu terroru. Delegatura Komisji Specjalnej do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym w Lublinie* (seria „Monografie”, t. 87), IPN, Warszawa 2012, ss. 336 + ss. 24 wkł. zdj.



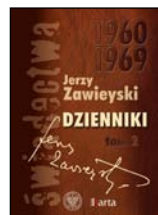
■ *Sobibór. Bunt wobec wyroku*, IPN – Ośrodek KARTA, Warszawa 2012, ss. 172 + ss. 20 wkł. zdj.



■ *Śladami zbrodni. Przewodnik po miejscach represji komunistycznych lat 1944–1956*, red. Tomasz Łabuszewski, IPN, Warszawa 2012, ss. 632.



■ *Środki masowego zakłamania. Gadzinówki w czasie stanu wojennego*, red. Sebastian Ligarski, IPN, Szczecin 2012, ss. 165.



■ Jerzy Zawieyski, *Dzienniki. Wybór z lat 1960–1969*, t. 2, IPN – Ośrodek KARTA, Warszawa 2012, ss. 956 + ss. 17 wkł. zdj.